



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



AKADEMIA OBRONY NARODOWEJ

Janusz ZUZIAK

1 DYWIZJA PANCERNA GEN. STANISŁAWA MACZKA WE WSPOMNIENIACH ŻOŁNIERZY

(Część I)

Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej
S/4490 cz.1



05-004490-001-0

68960

WARSZAWA



AKADEMIA OBRONY NARODOWEJ
WOJSKOWY INSTYTUT HISTORYCZNY



Janusz ZUZIAK

1 DYWIZJA PANCERNA
GEN. STANISŁAWA MACZAKA
WE WSPOMNIENIACH ŻOŁNIERZY

(CZĘŚĆ I)



WARSZAWA 2000

Wstęp

Po zakończeniu drugiej wojny światowej i niemal dwuletniej służbie okupacyjnej na terenie północno – zachodnich Niemiec żołnierzy 1 Dywizji Pancерnej, dowodzonej przez generała Stanisława Maczka, czekał rozbrat z mundurem. W drugiej połowie 1947 roku większość z nich została zdemobilizowana i ze skromną odprawą pieniężną przeszła do życia cywilnego.

Przed wszystkimi żołnierzami generała Maczka stanął niezwykle trudny dylemat, przed wszystkimi stało pytanie o dalsze losy, ale przede wszystkim o to czy wracać do Polski czy też pozostać na obczyźnie. Po zdjęciu munduru rozpocząć mieli oni nowy etap swego życia. Wszyscy myśleli o tym aby dalsze życie ułożyć sobie jak najlepiej. Niektórzy zdecydowali się na powrót do Ojczyzny, gdzie większość miała przecież rodziny, matki, ojców, rodzeństwo, przyjaciół. Większość jednak postanowiła pozostać na emigracji. Nie wszystkie te decyzje miały charakter polityczny, nie wszystkie były wyrazem żołnierskiego sprzeciwu wobec zaistniałej w Polsce - na skutek decyzji jałtańskich i poczdamskich – sytuacji politycznej, chociaż bez wątplenia to stanowiło główny motyw. Wielu spośród żołnierzy Maczka kierowało się w podejmowaniu decyzji o pozostaniu na Obczyźnie względami głęboko osobistymi.

Kilkuset byłych polskich pancerniaków po wojnie osiedliło się na terenie wyzwolanej przez siebie we wrześniu i październiku 1944 roku Holandii. Większość z nich swoje korzenie zapuściła w północnej Brabancji, której stolicą jest miasto o wielowiekowej historii, Breda. W Bredzie i jej pięknej okolicy osiedliło się 236 żołnierzy Maczka. Dzisiaj są to już weterani w mocno zaawansowanym wieku, niemal wszyscy po osiemdziesiąt i więcej lat. Mają za sobą kilkuletni szlak wojenny i kilkudziesięcioletni szlak życia cywilnego na bardzo przyjaznej dla nich ziemi holenderskiej.

Dlaczego właśnie Breda i okoliczne miasta i miasteczka, jak Tilburg, Dongen, Geertruidenberg, Sprang – Capelle, Baarle – Nassau, Oosterhout czy nieco bardziej od stolicy północnej Brabancji oddalone Den Bosch, Rosmalen zostały wybrane przez polskich weteranów na miejsce osiedlenia? Odpowiedź na to pytanie jest bardzo prosta. Po wyzwoleniu ziem północnej Brabancji i osiągnięciu linii Mozy (ostatnim aktem było wyzwolenie mocno ufortyfikowanej miejscowości Moerdijk) 1Dpanc. przeszła do kilkumiesięcznego postoju na linii tej rzeki. Służba polegała na stałym patrolowaniu i

obronie osiągniętej w ciężkich walkach linii. Wyglądało to z reguły tak, że żołnierze spędzali dwa tygodnie na posterunkach i patrolach, po czym powracali do miejsc stałego postoju na odpoczynek. Miejscami stałego postoju były prywatne kwatery rodzin holenderskich, hotele, szkoły czy też inne nadające się do tego celu obiekty. W okresie kilku kolejnych miesięcy doszło do zawiązania licznych znajomości i serdecznych przyjaźni pomiędzy żołnierzami polskimi i miejscową ludnością holenderską. Szczególnie gorące przyjaźnie żołnierze polscy zawierali z holenderskimi dziewczętami. Pół roku spędzone na linii Mozy było okresem wystarczająco długim dla powstania licznych związków uczuciowych. Nie ma zatem niczego dziwnego w tym, że na terenie północnej Brabancji osiedliło się tak wielu polskich pancerniaków.

Od września 1939 roku przeszli oni bardzo różne koleje losu. Niektórzy służyli w wojsku już przed wybuchem wojny, inni do żołnierskich szeregów organizujących się najpierw we Francji, później w Wielkiej Brytanii, oddziałów polskich docierali wszelkimi możliwymi drogami. Poprzez obozy dla internowanych na terenie Rumunii, przez Węgry, Jugosławię, przez kraje skandynawskie, w grupach i indywidualnie zgłaszali się ochotniczo do odradzającego się wojska. Znaczną część stanowili żołnierze mający za sobą służbę w armii niemieckiej, do szeregów której wcielani byli przymusowo. Wśród tych ostatnich znajdowali się przede wszystkim mieszkańcy Pomorza, Wielkopolski i Śląska. Liczną grupę stanowili ci, którzy wyszli z armią generała Władysława Andersa ze Związku Radzieckiego, później zasilając szeregi 1 DPanc.

Z dywizją generała Stanisława Maczka przeszli cały szlak bojowy od Normandii po Wilhelmshaven. Ich wspomnienia i relacje, pieczołowicie przechowywane liczne pamiątki i fotografie stanowią dla historyków, dla badaczy i miłośników historii wojskowej, ale przede wszystkim chyba dla przyszłych polskich – i nie tylko – pokoleń, źródło bezcennych wręcz informacji. Z wielogodzinnych czasami rozmów i wspomnień polskich weteranów wyłania się obraz wydarzeń wojennych znacznie odbiegający od tego, jaki spotykamy we wspomnieniach wyższych dowódców. Ukazuje nam się bowiem obraz widziany z pozycji szeregowego żołnierza, który obserwował i zapamiętał rzeczy i wydarzenia drobiazgowo, takie, które otaczały go na co dzień w trudnej żołnierskiej, wojennej służbie. Zwykłego żołnierza z reguły nie bardzo interesowało to co działo się w wielkiej polityce, nie interesowało zbytnio to co działo się na najwyższych szczeblach dowodzenia. Dla szeregowego żołnierza

najważniejsze było przede wszystkim to aby wyjść z wojny – oczywiście zwycięskiej - cało i szczęśliwie powrócić do domu, do rodziny , do bliskich.

Z rozmów z polskimi kombatantami, z ich wspomnień wyłaniają się cztery następujące okresy ich służby w 1 DPanc. Pierwszy obejmuje okoliczności wstąpienia do wojska i cały proces szkolenia i przygotowań do inwazji przeprowadzonej w Normandii latem 1944 roku. Okres drugi, który nam się wyłania obejmuje etap bezpośredniego udziału w walkach, wielu miesięcy spędzonych na froncie. Okres trzeci to dwa lata spędzone w służbie okupacyjnej na terenie północno – zachodnich Niemiec. Wreszcie ostatni, czwarty etap to kilkadziesiąt lat przeżytych na ziemi holenderskiej.

Każdy z wyżej wyszczególnionych okresów jest oczywiście różny, ale każdy z nich mocno przykuwa uwagę słuchacza. Każdy z nich przepełniony jest wydarzeniami o różnym charakterze, często dramatycznymi, tragicznymi, ale także wesołymi czy zwykłymi codziennymi wojennymi przeżyciami (o ile oczywiście przeżycia wojenne można w ogóle określić zwykłymi). Jakże często przeplatają się tu łzy rozpacz po zabitym przyjacielu i koledze, ze łzami szczęścia po wygranej walce, po wyzwoleniu kolejnych miejscowości. Mamy tu obraz żołnierskiej tragedii i zwykłej bezradności i złości, jak choćby w czasie pomyłkowego zbombardowania pozycji 1 DPanc. przez lotnictwo sojusznicze na terenie Francji. Kiedy indziej chwile szczęścia, jak te po zwycięstwie pod Falaise, po wyzwoleniu Ypres, Lokeren, St. Nicolas, Axel, Baarle – Nassau , Bredy i wielu innych miejscowości.

Cechą charakterystyczną poniższych wspomnień jest również inny od ogólnie znanych z relacji i wspomnień wyższych oficerów, wyższych dowódców, obraz wojny i osobistych wojennych przeżyć. Szeregowy żołnierz inaczej postrzega bieżące wydarzenia wojenne, inaczej widzi wszystko to co się wokół niego w warunkach wojennych, na froncie dzieje. Często to co dla dowódcy wyższego szczebla ma znakomite znaczenie, dla szeregowego żołnierza może przejść zupełnie niezauważalnie, może on do tego nie przykładać żadnej wagi. Z wielu ważnych wydarzeń nie zdawał sobie nawet sprawy. I odwrotnie, jak się okazuje dla dowódców i oficerów wyższych szczebli wiele zdarzeń nie zasługuje na zachowanie ich w pamięci, nie zasługuje na dzielenie się nimi z czytelnikami czy słuchaczami. Dowódcy wyższych szczebli nie zawsze są dostatecznie zorientowani czym żyją ich podwładni, szeregowi żołnierze.

Wydaje się zatem, iż zaprezentowany poniżej materiał wspomnieniowy stanowi cenne źródło dla historyków, ale także dla czytelnika interesującego się problematyką

drugiej wojny światowej. W szczególności zainteresuje być może tych wszystkich, którzy zajmują się dziejami Polskich Sił Zbrojnych na zachodzie w latach drugiej wojny światowej i ich losem, losem pojedynczych żołnierzy, po wojnie, na obcej ziemi. Na ziemi, która niebawem stała się ich nową ojczyzną, na której założyli własne rodziny i zbudowali własne domy. Przy czym nie wolno zapominać o tym, że ich prawdziwą ojczyzną do końca pozostawała i pozostaje Polska.

Janusz ZUZIAK

Wywiad z Janem BULĄ przeprowadzony we wrześniu 1999 roku w Bredzie

Jan BULA urodził się 22 lutego 1915 roku w Katowicach Dąbiu. Matka: Gorczyńska Agnieszka; ojciec: Teodor.

Jan Bula: 4 listopada 1937 roku przydzielony zostałem do lotnictwa w Świeciu nad Wisłą. Był to kurs mechaników samolotowych. Ze względu na to, że byłem kierowcą, to wszystkich tych technicznych kierowano do lotnictwa. W rekruckim czasie było ostro, dyscyplina, nawet okazji nie było, ani możliwości listu napisać do narzeczonej. Jeden z sierżantów powiadał od pierwszego dnia, że nie będziemy mieli okazji w rekruckim czasie ani „kapucyna” wytrześć. Tak powiedział. I co się okazało, tak było. Rano pobudka. Z miejsca, na drugi dzień do fryzjera. Następnego dnia przychodzi plutonowy do mnie, nie wiem co widział we mnie, i pyta: „Jaki zawód?” Odpowiedziałem, że kierowca. „Jesteście obrani jako komendant sali.”- powiedział plutonowy. Zaraz z miejsca komendantem sali zostałem. Nie wiedziałem co to jest, co to znaczy komendant sali. Ja nic o niczym nie wiem, miałem 30 ludzi w sali i byłem komendantem. Ale ja wychowany byłem w domu w dyscyplinie, naprawdę byłem zdyscyplinowany, chciałem aby był porządek. Bo w wojsku byli różni. Byłem ostry pod względem dyscypliny. Funkcja ta nie bardzo mi odpowiadała. Podoficer powiedział mi czego należy najbardziej pilnować, na co zwracać szczególną uwagę. Ubrania, jak się do spania szło miały być ułożone w kostkę, elegancko. Nie było dobrze, ja uwagę zwróciłem. Łóżko nie było poslane, uwagę zwróciłem. I wrogów sobie narobiłem. Był tam jeden rzeźnik z Dąbrowy Górniczej. Jemu się nie podobało, coś go „bolało”, że ja mu te poprawki robiłem. Raz, jak taki zły był, rzucił taboret, ja siedziałem akurat przy stole i nazwiska zapisywałem, jak rzucił tym taboret w szafę to w niej dziurę zrobił. Tym taboret! We mnie chciał nim rzucić! Różne sytuacje były w wojsku. Nie chciałem dalej pełnić tej funkcji. Jeszcze jakieś dwa miesiące byłem tym komendantem sali. Dalej trwało przeszkolenie. Dyscyplina była bardzo ostra. Trzy razy na dzień korytarz trocinami na kolanach trzeba było czyścić. Żołnierze zawsze mówili, że to moja wina. Ale ja miałem nad sobą kaprala, później byli instruktorzy. Ja nie chciałem już dłużej być tym komendantem sali. Prosiłem o to, aby mnie zmieniono. Powiedzieli przełożeni, że mnie zmieniają. 4 listopada wstąpiłem do wojska a na święta dostaliśmy

przepustki. Jeszcze muszę powiedzieć, że przez sześć tygodni graliśmy tam w piłkę i jeden z tych podoficerów, który mieszkał w mieście, wyciągnął nas trzech jeszcze bez przysięgi. Chciał, żeby w mieście w piłkę można było grać. Ja się pytam, a gdzie, jak, co? Okazało się, że wielkopolscy powstańcy utworzyli jakąś drużynę, brakowało im ludzi i prosili nas czy byśmy mogli z nimi zagrać w piłkę? Ja mówię, że jak buty mają, jak nas zwolnicie to zagramy. Graliśmy tam trzy mecze, pierwszy mecz myśmy wygrali, drugi graliśmy z jakimiś rzeźnikami, jeszcze do dzisiaj mam po tym meczu pamiątkę w postaci szramy na nodze. To była poważna kontuzja. Później musiałem jeszcze im pokazywać, jak się na koźle stoi, a to dlatego, że ćwiczenie to bardzo dobrze wykonywałem. Zobaczyli jak to robię i musiałem ich instruować. Nie miałem źle, muszę przyznać, że nie miałem źle. Uczyłem się dobrze, chciałem coś zdobyć. Kierowców mało było, ale mnie interesowało lotnictwo, ciekawe wykłady. Bardzo dobrze się tam sprawowałem. Byłem na trzeciej lokacie na kursie. Czasu nie było do niczego tylko do nauki i wycierania korytarza. Okazało się, że jak później przyszedł ostatni egzamin i przynieśli nam taki karburator Samsona w przekroju to się zagubiłem. Nie mogłem się zorientować jak on działa, tam był taki splot tych kanałków powietrznych, kanałków benzynowych. Nie mogłem się zorientować. Po tym egzaminie spadłem na dziewiętnastą lokatę.

Byłem kierowcą z cywila, miałem prawo jazdy, jeszcze tu je mam. Sześciu nam zaproponowano zdobycie prawa jazdy wojskowego. Mieliśmy zostać w Świeciu jeszcze miesiąc. Szkoliliśmy się na wojskowej sanitarce. Pamiętam, że był tam bardzo wąski garaż, do którego musieliśmy tą sanitarką wjeżdżać tyłem. Ja wjechałem bez problemu. Chyba dzięki temu mnie wybrano i wytypowano do szkolenia na wojskowe prawo jazdy. Inni próbowali i mieli z tym wjazdem poważne kłopoty. Było tam trzech warszawiaków, jeden z Poznania i to fachowiec. Jego żona była wdową i miała taksówki w Poznaniu. To był świetny fachowiec, och jakie poważanie miałem dla niego. On wiedział wszystko o tych starych fiatach, które miały biegi w nogach. I tam takie stały. O godzinie 6.00 po kolacji jeździliśmy po całym Pomorzu. Do Bydgoszczy, Grudziądza, Brodnicy, tak wieczorem objeżdżaliśmy. To było w ramach nauki jazdy. Po ukończeniu tego kursu dostaliśmy prawo jazdy wojskowe.

Po ukończeniu tego drugiego kursu, kursu kierowców, wysłali mnie do Dębina. Wysłali nas tam sześciu. W Dęblinie przydzielono mnie zaraz do garażu. Od początku była tam ostra dyscyplina. Zaraz nam powiedzieli, że tu trzeba robić. Ja się tym interesowałem i nie miałem żadnych trudności. Najpierw dali nam robotę. Był tam taki

stary „Ursus”, w kącie stał. Mieliśmy go rozebrać, wyczyścić, wymalować i zmontować, w ciągu pięciu dni. Było nas dwóch.. Myśmy go rozebrali, wyczyścili, zakonserwowali, zmontowali. W tym czasie był tam jeden sierżant i zaczął się mnie pytać, skąd ja jestem, co ja robię, czy ja lubię pić, czy ja lubię wódeczkę pić \wódeczki to nie, ale likierek tak z piwkiem to owszem\, czy palę, czy nie palę. Wspominając dalej chcę powiedzieć, że u pana pułkownika w Dęblinie, nazwiska jego niestety już nie pamiętam, ale to był , jak to się mówi, „taki chłop”. Jego kierowca, którego ja miałem niebawem zastąpić, miał odejść do cywila po zakończeniu służby wojskowej. Na krótko przed odejściem z wojska kierowca ten był tylko zwykłym żołnierzem, w stopniu szeregowego. Żona pana pułkownika nie mogła się pogodzić z tym, że kierowca jej męża do cywila odejdzie jako szeregowy. Wymusiła wręcz na mężu mianowanie kierowcy na starszego strzelca. Zagroziła panu pułkownikowi, że jeżeli nie awansuje swego kierowcy to się z nim pokłuci. Kierowca dostał awans na starszego strzelca na trzy dni przed odejściem do cywila. Ja miałem tego kierowcę zastąpić, ale niestety okazało się, że do pana pułkownika doszły informacje, że ja lubię sobie od czasu do czasu piwko wypić. To zaważyło na tym, że nie zostałem jego kierowcą. Pan pułkownik nie lubił pijaków.

W Dęblinie byłem czternaście dni. Wezwano mnie do raportu służbowego, aby mi powiedzieć, że zostaję przydzielony na lotnisko do Radomia-Sadkowa, gdzie będę samodzielnym kierowcą. Rozkaz to rozkaz. Mówię dobrze. Tam mnie wysłali. W Sadkowie przydzielony zostałem do garażu. Był tam jeden kierowca cywil, drugi , w stopniu kaprała, był szefem garażu. Nazywał się Górecki. Do tego garażu zostałem przydzielony ja i jeszcze jeden kolega, Wrona. Z Radomia, dobry kolega, bardzo dobry kolega. Potrafiliśmy się zgrać. W garażu, do którego przyszedłem, stał jeden „Packhard”, cysterna jeszcze z pierwszej wojny światowej. Poza tym były trzy samochody renault z pierwszej wojny światowej. Jeden z nich stał w rogu garażu. Wszystko było zakurzone. Były 24 opony. Jak myśmy tam przyszli od razu zabraliśmy się do wszystkiego. Tego „Packharda” wyczyściliśmy. Miał pozapychane przewody. Wszystkie wyczyściliśmy. Wszystko doprowadziliśmy do porządku. Ja i ten kolega Wrona. W rogu stał motor „Harley-Dawidson”. Leżał zakurzony, opony, części od niego leżały z boku, wszystko zakurzone i brudne. Myśmy to wszystko bardzo szybko, w ciągu dziesięciu dni, doprowadzili do porządku. Dostaliśmy za to pochwałę od dowódcy. Później przydzielono mi „Ursusa” i tym „Ursusem” jeździłem po personel lotniska. Szef garażu, Górecki, jeździł polskim „Fiacikiem” z panem pułkownikiem,

dowódcą jednostki. Wrona jeździł sanitarką. Ja woziłem personel lotniska z Radomia do Sadkowa. Oficerowie i podoficerowie mieszkali w Radomiu. Podjeżdżałem rano pod park w Radomiu skąd zabierałem tych podoficerów i oficerów. Zwykle około dwunastu ludzi. Rano, za piętnaście ósma, już musiałem tam stać. Jeździłem też na zakupy, do pralni woziłem mundury. To były moje obowiązki. Dużo roboty miałem. Często po siedem razy dziennie jeździłem do Radomia i z powrotem. Roboty było dosyć. Później jednostka kupiła autobus. Polskiego fiata. Bardzo ładny autobus na 22 osoby. Mnie przydzielili na kierowcę tego autobusu. Bardzo mi się ta nowa funkcja podobała. Czyściłem, dbałem w porządku utrzymywałem ten autobus. Zrobiłem program wyjazdów. Jeździłem codziennie jakieś siedem razy do Radomia. Jeździłem też na lotnisko oddalone od Radomia o 16 kilometrów, gdzie woziłem personel i podchorążych przebywających w Radomiu-Sadkowie na praktykach. W tym czasie jednego z instruktorów, kapitana, nie pamiętam jego nazwiska, uczyłem jeździć samochodem, tą naszą sanitarką. Jeździliśmy po terenie lotniska w Sadkowie w czasie, kiedy podchorążowie odbywali loty szkoleniowe. On obdarzył mnie sympatią. Pewnego razu powiedział: „Bula, tyś mnie nauczył jeździć samochodem, to ja ciebie nauczę latać samolotem”. Ja lubiłem latać, ja już w powietrzu siedziałem! Chętnie się więc zgodziłem i przystałem na propozycję pana kapitana. No i musiałem latać, startować, lądować. Latałem oczywiście z tym kapitanem. Po trzech wspólnych lotach pan kapitan powiedział, że już dosyć latania z jego pomocą przy sterze, że teraz już nadszedł czas żebym sam lądował. Leciliśmy maszyną RWD. To była sobota, na drogach pełno było chłopów jadących furmankami z targu. Piękne mieli koniki! Przy podchodzeniu do lądowania zszedłem samolotem bardzo nisko nad drogą, tak, że te koniki się przestraszyły. Pan kapitan powiedział mi, że mam wylądować zupełnie samodzielnie, bez jego pomocy. Bardzo się tego obawiałem. Powiedziałem więc kapitanowi, żeby mi wybaczył, ale nie dam rady wylądować. Ziemia tak szybko mi rosła. Startowanie szło mi dobrze, ale przy lądowaniu tak mi ziemia rosła, bałem się, że podwoziem uderzę o pas startowy. Mówię kapitanowi, żeby odebrał ode mnie stery bo nie wyląduję. Kapitan na to: „Ty cholero, psia krew, kiedy się nauczysz. Ja się nauczyłem jeździć, tyś mnie nauczył jeździć”. No i wylądował ładnie. Bałem się samodzielnie wylądować.

Jeszcze muszę powiedzieć, że wcześniej – jesienią 1938 roku - zgłosiłem się, dwunastu nas się zgłosiło, jako chętnych do lotnictwa, na szkolenie dla pilotów. To było w trakcie służby wojskowej już w Radomiu na lotnisku. Do 1938 roku wolno jeszcze było każdemu latać. O ile oczywiście zdrowie było odpowiednie. Po 1938 roku musiał

człowiek mieć już dwie klasy gimnazjum. Byłem w „Cebuli”. „Cebula” to skrót od Centrum Badań Lotniczych w Warszawie. Dwunastu nas tam poszło. Ośmiu pomyślnie przeszło testy i badania zdrowotne. Ja niestety miałem kłopoty ze wzrokiem. Po prostu oczy mi się za szybko męczyły. Komisji podobało się, że byłem dobrze zbudowany, jak atleta. Zostałem dodatkowo jeden dzień dłużej na badaniach, ale wada wzroku była zbyt poważna. I tak się skończyła sprawa mojego latania.

W okolicy naszego zapasowego lotniska była plaża nad rzeką. Często korzystali z niej podchorążowie. W niedzielę zawsze woziłem ich tam autobusem. Pewnego razu ten kapitan, którego uczyłem jeździć samochodem, w trakcie wspólnego ze mną lotu zszedł tak nisko nad tą plażą, że zawadził skrzydłem o powierzchnię wody. Na tej plaży siedziały kobiety, zdaje się, że to jego sympatie były. Ach, to był prawdziwy pilot myśliwiec. To były wspaniałe przeżycia!

Pewnego razu, jak wyjeżdżałem z lotniska z Radomia, w autobusie było już więcej pasażerów niż dopuszczała instrukcja bezpieczeństwa. Nie wolno mi było dopuszczalnej liczby pasażerów przekraczać. Ale pewien kapitan, który był wówczas najstarszy stopniem wśród pasażerów, kazał mi jechać. Mówię mu więc, że nie mogę ponieważ jest zbyt dużo ludzi w autobusie. On po cichu każe mi jechać powoli. Ja jego rozkazu nie wykonałem. Kazał mi iść po szefa garażu, Góreckiego. Poszedłem po niego, powiedziałem o co chodzi. Kapitan kazał jemu jechać. Ja stanąłem do raportu. Dostałem 12 dni zakazu opuszczania koszar. Ale i tak autobusem musiałem jeździć, bo nie było nikogo kto mógłby mnie zastąpić. Pan Górecki musiał wówczas wozić pana pułkownika Beseliego (?), z pochodzenia Czecha, naszego dowódcę. No ale w ewidencji miałem zapisaną karę za nie wykonanie rozkazu.

Miesiąc później przyjechał do mnie na przepustkę mój kolega, który służył w Dęblinie. Naprzeciwko koszar był kiosk. Poszliśmy tam na piwko. Wypiliśmy po dwa piwa. Zanim zamówiliśmy po trzecim piwie postanowiłem pójść do szefa kompanii zapytać czy zgodzi się na przenocowanie mojego kolegi. Szefem był sierżant, dobry służbista, jeszcze z austriackiej armii. Melduje się u niego z prośbą o zgodę na przenocowanie mojego kolegi, a szef kompanii do mnie: „Bula jesteście pijani.” Znowu stanąłem do raportu. Za pijaństwo dostałem kolejne 12 dni zakazu opuszczania koszar. Ale, tak jak poprzednio, mimo zakazu opuszczania koszar musiałem jeździć autobusem. Takie historie były.

Bardzo lubiłem grać w siatkówkę. Grałem często z podchorążymi. Umiałem grać już „z cywila”. Wśród podchorążaków był syn jednego generała, syn ministra. Wielu

bardzo równych chłopaków. Graliśmy wspaniałe mecze. Obok boiska stała zawsze skrzynka piwa. Brudni od kurzu byliśmy, czarni jak murzyni. Ja dobrze grałem więc podchorążowie chętnie chcieli, żebym z nimi zostawał na lotnisku grać. Tam się grało! Tam było życie! Ja miałem wszędzie popularność, ale szef mi zawalił, bo w tej ewidencji było zapisane, że miałem kary zakazu opuszczania koszar.

Jeszcze kiedy byłem na unitarce w Świeciu wyraziłem chęć pójścia do szkoły podoficerskiej. Długo nie miałem żadnej odpowiedzi czy zostanę skierowany czy nie. Poprosiłem więc o przyjęcie do raportu u dowódcy. Powiedziałem co i jak, że zależy mi na skierowaniu do szkoły podoficerskiej. Dowódca powiedział mi na to: „Bula nie miej mi za złe, ale my ciebie tutaj potrzebujemy. Jesteś nam tutaj bardzo potrzebny. Ale postaramy się, żebyś przed odejściem do rezerwy dostał kaprała”. Mówię w porządku, skoro tak bardzo mnie potrzebowali.

Awans miałem obiecany, starałem się wszystkie obowiązki wykonywać wzorowo. Mimo, że nie byłem podoficerem to jeździłem autobusem. Tylko podoficer mógł jeździć wtedy autobusem. Brakowało ludzi to raz, a drugie to to, że ja byłem bardzo solidny. Ale kiedy nadszedł czas awansów okazało się, że mnie na liście awansowanych nie było. Dowiedziałem się o tym od szefa kompanii. Szedłem załamany obok mieszkania pana pułkownika, tego Czecha. Zauważył mnie i woła: „Bula idź do pana Żółtego, niech przygotuje maszynę 23”. Pojechał po mój awans do Dębłina. Z powodu mojego awansu pojechał do Dębłina! Jeszcze dzisiaj mi się płakać chce. Naprawdę. Ja wszystko wykonywałem, wszystko robiłem po personel jeździłem, starałem się, poświęcałem się. I co się okazało? Dowiedziałem się, że pijaków nie awansuje się. W Dęblinie tak pan pułkownik powiedział. Dowódca przyjechał z powrotem, mówi do mnie: „Bula wybac, chłopaka wybac, ja nic nie mogę na to poradzić. Ale ja ci będę pomagał.”

Przez ten cały okres jeździłem na tzw. „strawnym”. Bo ja nieregularnie jeździłem i obiadu nie mogłem zjeść, więc dostałem 16 złotych na tydzień. Jak można za 16 złotych wyżyć? Więc ja mówię tak, no to spróbuję kucharce dać menażkę to mi tam zostawi coś. Po kryjomu. Pewnego razu szef mnie przyłapał, jak za drzwiami w ukryciu jadłem z menażki to co mi kucharka zostawiła. To było już po jeździe. Szef to był taki pierun! Do raportu znowu stanąłem. Za to, że okradam państwo. Przy raporcie u pana pułkownika mówię, jak sprawa wyglądała, tak i tak. Tłumaczyłem panu pułkownikowi, że śniadanie kosztuje złotówkę, razy sześć dni to jest 6 złotych, a gdzie obiad, a gdzie kolacja? Mówię, że tak nie da rady. „Dobrze Bula – powiedział pan pułkownik – to jest

zrozumiałe. Daj menażkę.” Pan pułkownik kazał mi dać menażkę kucharce, tak żebym mógł jeść wtedy, kiedy jestem po jeździe. Szef zły, że ja miałem rację.

Kiedy miałem jechać na pierwszy urlop z Sadkowa przyniosłem szefowi garażu pół litra. Poszliśmy na górę do pokoju, wypiliśmy sobie. To był kapral, ściągnięty do Sadkowa z Bydgoszczy. W Dęblinie miał żonę i dziecko. Żyłem z nim bardzo dobrze. Szef kompanii też nas tam widział, jak sobie siedzimy i popijamy. On wiedział, że my sobie czasami lubimy wypić, on zresztą też sobie lubił wypić, tylko nie miał za co. Dług miał w tym kiosku naprzeciwko jednostki, 10 złotych miał długu. Szef kompanii był jeszcze zły na mnie za tą menażkę, teraz nas przyłapał, że sobie popijamy. I znów zazdrosny, że ja piję z tym kapralem, szefem garażu. A to była niedziela, nie przepraszam to była sobota. Już po wszystkich służbowych obowiązkach. Prawie wypiliśmy taką ćwiarteczkę.

W garażu często zastępowałem tego kaprala. Mieliliśmy tam sporo roboty, dbało się też o samochód dowódcy kompanii, myśliśmy go, pucowaliśmy. Raz mu dolałem do zbiornika benzyny. On to zauważył i mówi do mnie: „Bula tego nie wolno robić”. Ja mu na to odpowiedziałem, że się zapomniałem. Ten kapitan to był pan kapitan Kowalski, mieszkał w Radomiu na rynku. Ożenił się z córką jednego rzeźnika. To był taki chłop!

Żebym mógł latać w wojsku samolotem musiałem mieć pozwolenie z domu od rodziców. Podobnie było z grą w piłkę. Też musiałem mieć pozwolenie. Bez tego pułkownik nie pozwalał. Bo mogłem nogę na przykład złamać. Zawsze przed lotami uczniów (podchorążych) instruktor musiał sprawdzić samolot. Musiał oblecieć maszynę. Kapitan, któremu dbałem o samochód pytał mnie często czy chcę się z nim przelecieć w ramach tego oblatywania. Brałem spadochron i leciałem z nim. Dziesięć minut polataliśmy i lądowaliśmy. Pewnego razu ktoś nalał za dużo oleju do silnika. Ja siedziałem z przodu, a instruktor zawsze z tyłu. Tego oleju musiało być za dużo, bo jak startowaliśmy to zapryskalo nim całe szyby. Tak je zapryskalo, że ja nic nie widziałem! Tak było!

Ja jeździłem trzema samochodami. Czasem pana pułkownika wozilem, jeździłem po personel autobusem, jeździłem po prowiant, do rzeźni. Pewnego razu dostałem od pana pułkownika rozkaz, że mam podjechać o godzinie 6.00 pod koszary piechoty w Radomiu. Podjeżdżam. Ładują skrzynie z amunicją, karabiny. Naładowali pełny wóz. Wsiada podchorąży. Pan major każe wsiadać do wozu i jechać. Jadę za Radom, jakieś parę kilometrów za Radom. Wjeżdżam w lewo. Rozkaz był w lewo. Rozkaz jest rozkazem. Widzę, że tam taka droga niemożliwa. Poorane pole nie było tak złe. Bo były

kałuże, dziury. „Jechać”- pada rozkaz. Ja mówię: „Panie majorze melduję posłusznie, że tu nie damy rady. To jest niemożliwe”. A on na to: „Daję wam rozkaz – jechać!” Jechać to jechać. Ani kilometra nie przejechałem, wóz staje, idzie pomału, ślizga się po tym błocie, ale idzie jeszcze pomału. Opony też nie były takie dobre. Nie chcę skłamać, ale na odcinku trzech kilometrów musiałem chyba dwa albo trzy razy stawać. Diabeł w motorze. Gotowało się, trzaskało. Kurzyło się. I stanęliśmy. Jakies 15 minut poczekaliśmy. Ludzie tam z boku stali, gospodarstwo obok było. Poszedłem, wodę wlałem bo już chłodnica bez wody była. Gotował się wóz dosłownie. Po tej przerwie kilkuminutowej, jak się ochłodził, ciągnął się, ale szedł. Pomału się gazu dodawało i szedł. Patrzę w lewo, kałuża niemożliwa. Ani z boku nie można było jechać bo było pole, z drugiej strony też było pole. Przejeżdżam i stoję w środku tej kałuży. Całe koła w kałuży. Taka kałuża! Głęboko było tam. Już nie można było wyjechać. Pan major siedzi w wozie, pan podchorąży musi z wozu skakać do wody. Niedaleko był obóz polowy tej jednostki piechoty. Pan podchorąży musiał tam lecieć. Pół godziny czekaliśmy, przyszło 16 ludzi i z tej wody mnie wyciągnęli. 16 kilometrów drogi pokonywaliśmy trzy i pół godziny! Wyładowaliśmy wszystko. Już później się normalnie jechało. Przyjechałem do koszar, już była godzina 11.00 wieczorem. Po powrocie dowiedziałem się, że chodziło panu majorowi, temu który ze mną jechał, o sprawdzenie czy warto z takim ładunkiem jechać samochodem czy lepiej końmi. Taką próbę chcieli zrobić. Chcieli przekonać się czy jest warto w terenie stosować samochód czy konie. Ja mu powiedziałem: „Koń jest na pierwszym miejscu”. „Jechać, daję wam rozkaz!” – powiedział na to pan major.

Będąc jeszcze w Świeciu nad Wisłą w szkole mieliśmy zimą ćwiczenia wojskowe. Atakowaliśmy Laski, mieliśmy je zdobyć. Zima była straszna, dosłownie Syberia! Zdobyliśmy te Laski, nie było wcale łatwo. Wracaliśmy z tych ćwiczeń przemarznięci, tak szliśmy, jak z Rosji sowieckiej! Karabiny przewieszane przez szyję, strach było ucha dotknąć, tak byliśmy przemrożeni. Tak się złożyło, że tydzień wcześniej oddałem buty do naprawy. Nie dostałem ich z powrotem. Dostałem inne, za duże. Poobcierałem nogi na tym marszu. Z zimna i z obtarcia noga mi tak spuchła, że 9 dni leżałem na izbie chorych. Z powodu tych butów! Wolno było tylko w onucach chodzić. Ja z domu miałem, matka mi przyszykowała, skarpetki, sześć par skarpetek mi dała. Nie wolno było, nie wolno było w skarpetkach chodzić, tylko onuce. Lewa noga tak mi spuchła, że 9 dni leżałem na izbie chorych. Tak zimno było, że 19 poszło na izbę chorych. Taka zima złapała!

W 1938 roku jechaliśmy na urlop letni, na wakacje. Jechaliśmy pociągiem ze Świecia przez Poznań. Ja chciałem zobaczyć, jak w Poznaniu Warta wygląda. Jechało nas w przedziale sześciu. Obok jechało 5 cywilów. Cygara palili, zasmrodzili cały wagon. Tak śmierdziało, że nie dało się wysiedzieć, nie było czym oddychać. Postanowiłem otworzyć okno, żeby zobaczyć Wartę i jednocześnie przewietrzyć, wpuścić trochę świeżego powietrza. Z tyłu słyszę: „Proszę to okno zamknąć”. Ja mówię: „Przecież ten smród trzeba wywietrzyć, tu powietrza brakuje”. „Daję wam rozkaz, proszę to okno zamknąć!” Ciągnęło, to przyznam. Ja mówię na to: „Od kiedy to cywile rozkazy dają żołnierzom”? Tak powiedziałem. Jeden z kolegów, on był rzeźnikiem, taki fest chłopak był, mówi do mnie: „Co on chce od ciebie?” Je mówię, że nie wiem. „Daje wam rozkaz, proszę to okno zamknąć!”- znowu słyszę. Po chwili ten człowiek podchodzi do nas i mówi: „Daję wam rozkaz, jestem majorem Wojska Polskiego!” Pokazuje legitymację. „Każę pana aresztować!”- mówi do mnie. Wystraszył nas. Jeden z nas dobrze znał Poznań, on pochodził z Poznania. Postanowiliśmy uciec. On miał nam powiedzieć gdzie i kiedy mamy uciec. I uciekliśmy w miasto.

Ja i kilku kolegów mieliśmy się przesiadać w Poznaniu do pociągu jadącego do Katowic. Za stacją był mostek, a za mostkiem był taki kiosk. Tam sprzedawali takie małe buteleczki wódki. Taki słaby korek był, dwa kieliszki tam były. Czekaliśmy przy tym kiosku na pociąg do Katowic. Po peronie chodzili żandarmi, musieliśmy siedzieć w ukryciu. Siedział tam ze mną kolega, Waligórski. Ten Waligórski to taki kombinator był. Jak przyjechał ten pociąg do Katowic, powiada do mnie: „Jasiu, ja ich nie widzę, skacz do pociągu!” Jak tylko pociąg zaczął ruszać wskoczyłem do niego. Trafiłem na wagon 1 klasy. Takie piękne fotele tam były. W 1 klasie nie wolno było zwykłemu żołnierzowi jeździć. Podobnie było w Radomiu jeszcze. Tam była restauracja do której nie wolno było zwykłemu żołnierzowi wchodzić. Byłem tam raz, chciałem zobaczyć, jak tam jest. Zaraz mnie wyprosili. To jest gawędzenie może, ale tak było.

Jak do tego wagonu 1 klasy wskoczyłem zaraz przyszedł konduktor. Nie wiem czy mnie widział w trakcie wskakiwania, ale zaraz się pojawił. Ja mu mówię z miejsca, że wiem o tym, że żołnierzowi nie wolno w tym wagonie jechać, ale jest taka i taka sprawa. Postanowiłem mu uczciwie wytłumaczyć całą sprawę. I tak zrobiłem. A on na to powiada: „Ja też byłem żołnierzem. Polskim powstańcem”. Otworzył mi przedział. Zamknął mnie. Powiada: „Ja cię o 7.00 w Katowicach obudzę.” I obudził mnie! Do Katowic jechałem sam jeden w przedziale! Takiego człowieka spotkałem! Ja muszę

powiedzieć, że miałem więcej szczęścia, jak rozumu. Powiedziałem mu jak sytuacja stała, otworzył mi przedział, zamknął, nikt nie wszedł. Tak dojechałem aż do Katowic. Tak mi się udało. I dzięki Bogu.

W Katowicach wysiadłem i miałem zaraz przygodę z butami. Żołnierz wtedy musiał chodzić w butach podbitych podkówkami. Te buty strasznie klapały, klap, klap, klap. Takie to paskudne było, że żołnierz musiał tak klap, klap, klap! Mi się to nie podobało. Ja sobie zamówiłem u szewca nowe buty, bez tych podkówek. Takie buciki były! Za 52 złote. One nie klapały. Z bardzo dobrej skórki zrobione były! W Katowicach musiałem się po przyjeździe zameldować w żandarmerii. Tam miałem znajomego klienta jeszcze z czasów cywilnych. Poszedłem do niego, sierżantem był. Mówiliśmy na niego „Piweczko”, takie przezwisko miał. Mówię mu jak sprawa wygląda, wypiliśmy jedno piweczko, drugie piweczko. Na mój koszt. Załatwiłem sprawę. Nie musiałem klapać butami. Bo to kłapanie było takie paskudne, znieważenie to było dla mnie. Ja nie lubiłem tego. Ja miałem forszę, muszę przyznać, bo ja zarabiałem dobrze. No i już było w porządku, załatwione bez kłopotów. Za 52 złote znakomite buty miałem. Do Francji zawiozłem je. Uciekałem z nimi. We Francji je zniszczyłem w górach. Przetarły się.

Do wybuchu wojny służyłem w Radomiu, na autobusie. Jako kierowca. Pierwszy dzień wojny. 15 po 6.00 widzę idzie takie czarne samoloty. Ja wstaję, idę gankiem a stoi Wojnarowicz, kapral, na służbie był. Na korytarzu. „Bula, chodź tu. Popatrz się na nasze „Łosie”. Idę, z okna patrzymy, z ganku. Ja mówię: „Słuchaj, nasze „Łosie” są świecące, jasne.” A jeszcze nie widziałem tych krzyży. Idę na dół do autobusu, bo musiałem zaraz jechać. Patrzą na niebo, a te samoloty się rozdzieliły. Sześć na lotnisko, a sześć na szkołę podchorążych. W tych koszarach podchorążych było boisko, zrobili tam nowe, ładne boisko, piękna, nowa trawa, jeszcze nie było użyte. Te samoloty podzieliły się. Sześć na lotnisko zrzucało bomby, a sześć na koszary. Nie trafili w cel. Bomby spadły sto metrów od hangarów, tylko uszkodzone zostały odłamkami drzwi. Tylko jeden samolot stojący w środku został uszkodzony. A całe boisko zrąbane bombami! Chybili. O sto metrów chybili. Nie trafili w koszary, gdzie 200 chłopca leżało, 200 chłopca było na szkole. I chybili o sto metrów. Idąc do autobusu patrzą a tam leci taka wiązanka bomb! Poszedłem do garażu po autobus. Dziura w drzwiach. Ale autobus jeszcze nie był uszkodzony. Jeszcze miałem chwileczkę czasu i poszedłem do grupy ludzi z obsługi ziemnej, która się akurat gimnastykowała na zaprawie porannej. Okazało się, że jeden tam tylko został ranny odłamkiem. Jeden tylko, a tam może jakieś 90 chłopca się gimnastykowało. To było 1 września.

Ja wchodzę do autobusu, jadę po personel. Pan major czeka. Ja występuję i melduję: „Panie majorze, melduję posłusznie, że jakieś obce samoloty...” A major na to: „Wariat, wariat, panikę stwarzasz!” Tak mówi. „Panie majorze ja tych „Łosiów” nie widziałem, pan Wojnarowicz mówi, że to nasze „Łosie”, ale na lotnisku znaleźli bombę, na której napisane jest „Berlin”. Tak powiedziałem. Cały się trzęsłem. Ale major mówił: „Proszę paniki nie stwarzać, proszę wsiadać, jechać”. Jadę z Radomia do Sadkowa. Znowu jeden samolot u góry. Major mówi żeby się uspokoić, nic nie gadać, paniki nie stwarzać. Kazał zjechać pod drzewo. Przeczekaliśmy.

Po drugim kursie autobusem musiałem iść do szefa. „Skąd wiecie, że to nie nasze „Łosie”? Za szpiega mnie uważali. Że ja wiem, że to nie nasze „Łosie”. Szef się dziwił, że Bula wiedział, że to nie nasze „Łosie”.

Dostaliśmy na krótko przed tym dwie nowe armaty przeciwlotnicze. Ale jeszcze bez przyrządów. Przyrządy jeszcze miały przyjść. Wszystko to słyszałem wożąc oficerów autobusem. Przyrządy miały przyjść ze Szwajcarii. W Sadkowie był pewien rusznikarz, który dorobił prowizoryczne przyrządy celownicze i tak strzelał. Jednego tam ruszył. Amunicja była, przyrządów nie było.

W Radomiu miałem takie wypadki, takie przeszkody! BABC, wie pan co to jest? Wie pan co to znaczy? Benzyna, czteroetylek ołowiu, To też przyszło. I to było przed świętami Wielkiej Nocy. Przyszło 30 beczek. Przyszły na stację. Przyszło czterech ludzi z Dębłina, wagon przyszedł na stację. Ja zostałem przydzielony, żeby pojechać to rozładowywać. Czteroetylek ołowiu, bardzo drogi. Z Ameryki przyszedł. Kwatermistrz jednostki kazał przygotować taki specjalny schron, zbudowany z piasku i belek. I tam zostały złożone te beczki. Straż pilnowała tego. Czteroetylek ołowiu, to było bardzo potrzebne. Czy już wiedzieli, że wojna będzie, że to potrzebne będzie, to nie wiem. Ja wtedy miałem akurat zamiar urlop wziąć, ale mnie zatrzymali. Później dostałem 2 dni więcej. Przy tym przewożeniu beczek wymagano wielkiej ostrożności. Pan pułkownik przestrzegał, żeby wypadków nie powodować. Wszystko trzeba było przy nich robić w rękawiczkach. To przyszło przed świętami wielkanocnymi.

W następnych dniach niemieckie maszyny przychodziły co kilka godzin. I rąbali nas tak. 4 września już nie było wyjścia, personel dostał polecenie opuszczenia lotniska. A do 3 normalnie jeździliśmy. Rąbali, ale normalnie jeździliśmy. 4 września przenieśliśmy się poza lotnisko. Samoloty przenieśli, dwa tylko zostały uszkodzone. Pewnego razu szedłem po autobus, stał akurat pod drzewami. Patrzą, lecą dwie sztuki z tymi krzyżami. Zapalające rakiety rzucały. Hangar się zaczął palić. Pompa wodna

strażacka leje na niego. Ja leżę na ziemi, a tam druty elektryczne były. Zostały uszkodzone, coś mnie zraniło. Krew się lała jak pierun! 4 września już nie było lotniska w ogóle. A ja zawsze po personel musiałem pojechać do miasta. Pewnego razu podjechałem autobusem pod lotnisko i postawiłem go w brzozowym lasku za koszarami podchorążych. Widzę, że tam Gęsior, ten rusznikarz o którym wcześniej mówiłem, ma karabin maszynowy przeciwlotniczy na kominie budynku koszar podchorążych. Sam tylko tam był. Ja wóz postawiłem, a muszę dodać, że 4 września odłamek wybił mi w nim przednią szybę. Dzięki temu dobrze widziałem. Idę do niego, pytam go: „Słuchaj no Gęsior pieronie sam jesteś?” „Tak, sam.” On tam karabin postawił maszynowy. Nikogo już nie było. Wszystko już opuściło. Przychodzi 6 maszyn niemieckich, leciały w kierunku Warszawy. A on zaczyna strzelać. I trafił jednego! Ja mu jeszcze pomagałem ta taśmę trzymać. Nawet cieszył się, że ja mu tą taśmę pomagam trzymać. I ruszył jednego! Ten szedł, zaczął się kurzyć na czarno i tak szedł pomału i szedł, kurzył się i kurzył, szedł stale niżej, niżej. Na ostatku już go nie widzieliśmy, ale kurzył się na czarno. Ale ani wybuchu, nic. On go ruszył, Gęsior, rusznikarz w Radomiu. Wszystko na Warszawę szło.

W tym okresie lotnicy klękali, Boże kochany co to nie było. Samoloty nam obiecali co drugi dzień. Do ostatka nic. A piloci czekają, proszą, błagają. Wszystko poszło na Warszawę. Warszawy bronili.

9 września opuściłem całkiem koszary. Jeszcze miałem ubranie, w którym do cywila chciałem iść. Walizkę wziąłem z ręcznikiem i sportowymi ubrankami. Ale reszty rzeczy, między innymi zdjęć i odznaki sportowej POS-ka, którą zdobyłem w wieku 16 lat w pięcioboju, nie zabrałem. Polską Odznaką Sportową. Dawniej POS-k zdobyć to była duża sprawa! Trzeba pięciobój mieć. Ja miałem.

9 września idę do pana pułkownika, tam gdzie on mieszkał. Maszyna do pisania, pieniądze, skrzynka z pieniędzmi, stolik, do autobusu. Wcześniej pan pułkownik zabrał żonę i odwiózł ją do Kazimierza. Wszystkie kobiety odwieźli do Kazimierza. Wszystkich podoficerów i oficerów też do Kazimierza odwieźli. 9 września opuściłem koszary. Tylko z panem pułkownikiem, sekretarką pana pułkownika, jeden pan kapitan i dwóch pracowników biura pana pułkownika. Całe biuro w tym autobusie. Ta sekretarka psa wzięła. Parę kilometrów za Radomiem, samoloty idą niemieckie, po lewej stronie cała wioska się pali! W ogniu cała wioska, że nie można było patrzeć! Zbombardowana. Przejeżdżając tam, ciemno już było, widzę furmana z białym konikiem. Przejeżdżam, nagle słyszę uderzenie. Nic nie widziałem. Słyszałem

uderzenia, ale jadę dalej. Przedtem jeszcze zatrzymała nas jakaś osoba i powiada, że most na Wiśle jest podziurawiony, żebyśmy uważali, bo na dziurze płyta tylko leży. Przyjeżdżam do Kazimierza, otwieram z przodu drzwi, nic nie wiedząc idę po kawę, ale natychmiast mnie wołają. Ja chciałem się gdzieś przenocować, przespać, ale mówią mi, że muszę jechać na Lublin. Kobiety załadowałem, żony oficerów. Rodziny wojskowe. Z Kazimierza jechałem do Lublina. Odwoziłem ich na stację w Lublinie, z jednym kapitanem, którego nazwisko zapomniałem, bo on nie był ode mnie. On był od podchorążych. Z powrotem przyjeżdżam. Drugi raz mam jechać. O jedzenie nie pytają, czy ja jadłem, czy nie. Druga grupa załadowana, każą jechać. Znów, drugi raz do Lublina. Przyjechaliśmy do Lublina. Już mnie to tak zmęczyło, że mi się oczy zamykały. Kobiety mnie cucią. Tak mi się oczy zamykały!

Później się dowiedziałem, że pociąg, którym te kobiety jechały został prawdopodobnie zbombardowany, bo wszystkie pociągi były bombardowane. Staliśmy w Lublinie na boku, kapitan, z którym jeździłem sam był zmęczony. Stąd już nie na Kazimierz, gdzie indziej. Gdzie, to ja nie wiedziałem. Kapitan jakoś się dowiedział, gdzie jest nasz oddział i tam pojechaliśmy. Znaleźliśmy ich w pewnym lesie. Głodny byłem strasznie. Idę do szefa, do tego o którym już opowiadałem, że był taki zazdrosny, że z kapralem wódeczkę piliśmy w Sadkowie. Mówię mu, że ja jeszcze nic nie jadłem. „Nie ma jedzenia! Kuchnia gotowa do odjazdu!” I jedzenia nie dostałem. Nie dostałem jedzenia. Przez te dwa, trzy dni też nie jadłem! Tylko kubek kawy. Nikt się nie pytał czy jadłeś. Sami może nie mieli też, to ja może przyznam. Jak mi szef odmówił jedzenia to ja poszedłem wtedy do jednego gospodarstwa. Tam gospodyni była. Poprosiłem, żeby mi dali coś do jedzenia. Dali mi świeżego chleba z masłem! Zjadłem, ucałowałem gospodynię. Chciałem im zapłacić, a one na to, że nie, wy sami nie macie. Tacy byli ludzie w Polsce! Myśmy mieli dobrych ludzi w Polsce.

[Pewnego razu szukałem menażki i nie mogłem jej znaleźć. Przychodzę z kuchni, a menażka stoi pod drzewem. Ta sekretarka z mojej menażki temu psu jedzenie dała! Jak mnie to zgniewało! Zabrałem tego psa, nie widziałem jej, poszedłem ze sto metrów z tym psem i zawiązałem do drzewa. Przeszedłem z powrotem, ona mnie pyta czy nie widziałem jej psa, ja powiedziałem, że nie widziałem. Jakies 5 minut później przychodzi pułkownik] - tu następuje urwanie przysłanego z Bredy nagrania.

W Rumunii.

Po klęsce wrześniowej pan Jan Bula ewakuował się z wojskiem do Rumunii, przez Zaleszczyki.. Dalsza relacja zaczyna się od starań grupy polskich internowanych o wyjazd do Bukaresztu, aby tam szukać możliwości przedostania się do Francji, gdzie miało być odbudowywane Wojsko Polskie.

Jan Bula: Wśród internowanych był m.in. pan inspektor Jezierski, inspektor Policji śląskiej, inspektor w Katowicach, córkę jego znałem. Kiedyś, tak zupełnie przypadkowo, w lesie zatrzymałem jej konia, który poniósł. Podziękowali mi wtedy. Znałem ją osobiście ze szkoły.

Czekaliśmy. Wieczorem około 18.00 przychodzi pan inspektor Jezierski, komisarz Maślanka z Komisariatu II na ulicy Zielonej i pan Kałuża, Prezes Związku Piłki Nożnej w Polsce. Oni przyszli wieczorem. Poszliśmy do budynku miejscowej prefektury i tam nam powiedziano, że pojedziemy do Bukaresztu do głównej prefektury. Tam miał nam dalej pomóc tamtejszy główny prefekt.

Przyjechaliśmy do Bukaresztu. Dotarliśmy do budynku głównej prefektury i czekamy. Czekaliśmy od rana. Rano o 9.00 przychodzą urzędnicy. Przyjechał z nami też ten lokalny prefekt, który w budynku prefektury w Bukareszcie powiedział nam, żebyśmy siedzieli a on niedługo do nas przyjdzie. I tak nas tam zostawił. Ten prefekt nie przyszedł. My mu wcześniej zapłaciliśmy za jego przysługę odwiezienia do Bukaresztu i rzekomą pomoc w głównej prefekturze. Czekaliśmy. Wszystko musieliśmy oddać. Pieniądze, zegarki, wszystko! Siedzimy tak. Jeden z tych miejscowych urzędników zauważył czaszkę na moim krawacie. Zabrał go i położył na stole. No to już teraz nas stąd nie wyciągną – pomyślałem sobie. Niedługo trwało. Zaprowadzili nas po takich schodach na dół do celi, może 15 metrowej, w kajdanach. Tam było pełno ludzi, kobiety, dzieci. I tam nas wpakowali. Czułem, że coś to jest nie tak. Zawsze miałem dobry nos w takich sytuacjach. Na ostatku przyszedł taki jeden, w ładnym ubraniu. Wrzucili go niby tak do tej celi. I on mówi, że matka jego tu mieszkała, w Bukareszcie, przez płot do niej skoczył i go złapali. Tak powiedział. Ale

wszędzie z nami szedł. Jak z tej celi wyszliśmy, czekaliśmy pod jakimś pokojem dwie godziny, on z nami. Później do takiego chlewika nas zamknęli. Po jakimś czasie przyszedł żołnierz z koszyczkiem chleba i rzuca. Pierwszy kawałek chleba spadł na ziemię. Łapaliśmy następne, żeby nie spadły.

Po jakimś czasie, kilku godzinach, przyszedli po nas. Pod sąd. Przesłuchiwali nas. Światła na nas, nic się nie widziało. Tak staliśmy i oskarżali nas, ten za to, ten za to, a jak przyszła na mnie kolejka to buczeli tam z tyłu. To słyszałem. Mówię wtedy sobie: „To już teraz do stallagu”. A stallag w Rumunii, jak się tam kto dostał to wykończyli. Ale zaraz poszliśmy znowu w to miejsce, gdzie nam wcześniej wszystko odebrali. Dostaliśmy wszystko z powrotem.

Przyszedł po jakimś czasie urzędnik, cywil, po polsku mówi, że idziemy znowu pod sąd. Ale mówi, że jak 100 lei zapłacimy to będziemy wolni. Oni wiedzieli, że trochę pieniędzy mamy. Z powrotem pod sąd, a z sądu bezpośrednio, światła się zgasiły a my bezpośrednio w kierunku takiego małego światełka i do wozu. Nie wiedzieliśmy gdzie poszliśmy, a my w wozie siedzimy! W ciężarówce. Ciężarówkę zamknęli, jedziemy i zawieźli nas do głównego komisariatu. Do godziny 18.00 musieliśmy czekać, aż przyjdzie komisarz główny. Wołają nas. Stoi tam jeden cywil, przedstawiamy się, ta osoba mówi, że jesteśmy wolni i mamy iść z nim. Poszliśmy z nim, dostaliśmy pieniądze, 100 lei, muszę powiedzieć, że bilety dostaliśmy od ambasady. To było wszystko jeszcze przed Nowym Rokiem. Dostaliśmy bony na koszule. Po drodze jadąc taksówką gołą kobietę widzieliśmy. Tam było straszne kurestwo w Rumunii. Stąd jedziemy bezpośrednio do Konstancy. Nie, myślę się. Do Bukau. Nie, do Balcziku czy Bazardziku. Tam musieliśmy dojechać. Tam właśnie była koncentracja Polaków do Francji. Kupa ludzi tam była. Płacili nam 65 lei. Trzeba było opłacić nocleg, jedzenie i tak się żyło. Ja się tam dostałem do jednego kowala, brata Dymitrowa, który był ministrem w Bułgarii. Fajny kowal. Robił ładne takie kowalskie rzeczy. Tam się dostałem i on mi opowiadał o tym. O tym, że ma brata tego, a tego, ale on Bułgar był. A Bazardzik, Balczik, Bazardzik był nad Czarnym Morzem. Tam dojechaliśmy. I tam musieliśmy czekać na wyjazd przez wodę do Francji. I co się okazało, jak statek przyszedł, załadowało się wszystko, ale my zostaliśmy, jakieś sto chłopca zostało. Nie było miejsca. Czekamy, machamy. Ale ten statek tak blisko nie doszedł, trzeba było do niego dopływać. Patrzymy na ten statek, patrzymy, a co się okazuje, ten statek się kładzie. Przeciążony był. Wszyscy na górze. Wreszcie wyprostował się i odpłynął.

Zaraz po tym musieliśmy opuścić ten Bazardzik, gdzie ulokowani byliśmy w pobliżu letniej rezydencji króla Karola I. Stąd na własną rękę musieliśmy próbować dostać się do Konstancy. Przekupiliśmy konduktora w pociągu. Każdy coś mu dał. Ja mu dałem maszynkę, żyletki i pędzel do golenia. I dwie leie mu dałem. I tak dojechaliśmy do Konstancy. W Konstancy musieliśmy się zameldować w ambasadzie (chodzi tu najprawdopodobniej o konsulat polski lub jakieś przedstawicielstwo polskiej ambasady – przyp. Janusz Zuziak). W ambasadzie dostaliśmy 100 lei. Można było kolację zjeść, obiad i 5 lei na drzewo opałowe było, bo do hotelu poszliśmy w którym nikt nie mieszkał. Węgla nie było, tak że trzeba było kupić opał. Byliśmy tam 10 dni. To się zdarzyło przed Bożym Narodzeniem. Święta spędziliśmy w Konstancy.

Chcąc wyjechać z Konstancy trzeba było stawać przed specjalną komisją. Zdaje się, że to Żydzi byli w tej komisji. Za granicę wysyłali tylko inwalidów a nie zdrowych. Ja pierwszy raz podchodzę do tej komisji, mówię, że byłem w straży pożarnej. Nic, odwalili. Za trzy dni znów. Odmowę wytarli mi w ambasadzie. I znów do komisji. Pytali, gdzie pracowałem? Powiedziałem, że matkę mam inwalidkę i musiałem ja utrzymywać. Odmowa. Trzeci raz poszedłem za kolejne 3 dni i kiedy mnie zapytali gdzie pracowałem, powiedziałem, że w piłkę grałem i mam kontuzjowane kolano. Odmowa. I nas 80 ludzi zostało bez wizy. Już strach było do komisji kolejny raz chodzić w obawie, że podpadniemy. Ja trzy razy byłem. Wreszcie ambasada wypożyczyła statek, taki wycieczkowy statek ministra rumuńskiego. Tym statkiem popłynęliśmy do Istambułu, a tam mieliśmy przesiąść się na duży statek i płynąć dalej.

Dopłynęliśmy do Istambułu, czekamy, czekamy, podpływa łódka. W niej ambasador czy urzędnik ambasadora z Turkiem, worek chleba, skrzynka kiełbasy, cytryny, sześć flaszek rumu. To nam na statek wali i powiada tak do kapitana: „Panowie musicie dalej płynąć. Nie da rady. Tu już jest pełno”. Okazało się, że musimy dalej płynąć. Popłynęliśmy do Bejrutu. Normalny statek płynie trzy dni, a my siedem dni płynęliśmy. Burza była, SOS-y wołali, a tam Anglicy urzędowali i powiedzieli, że musimy bokiem płynąć. A tam tyle tych skał wodnych było! Motor ledwo pracował. Ja i jeden kolega, Zdebel się nazywał, przez kilka dni staliśmy na powietrzu, nie schodziliśmy na dół pod pokład. Poszedłem wreszcie na dół, a na dole trupy! Śmierdziało! Ja na czwarty dzień już wszy dostałem.

Jak do Bejrutu przy płynęliśmy to zaraz sanitarka po te trupy musiała przyjechać. Jak my tam przy płynęliśmy to wszyscy byliśmy bladzi jak ściana! Dostaliśmy po 20 papierosów, żeby się poprawić.

Tam było dobrze. Jedzenie było dobre. Ja nie paliłem. 20 papierosów dostawaliśmy na dzień. Papierosy wymieniałem za pomarańcze. Za jednego papierosa jedną pomarańczę. Ja 20 pomarańcz jadłem dziennie. Poprawiliśmy się tam. Jedzenie było dobre, powiem, że takiego jedzenia w Polsce nawet oficerowie nie mieli. Pieczone mięso, kartofelki. Dwa tygodnie byłem w Bejrucie.

W Bejrucie było w porządku. Wolno było nam, jako żołnierzom, iść do miasta. Ale trzeba było być ostrożnym, trzeba było się pilnować. Żeby samemu nie iść. Pierwszy raz poszliśmy na takie wesołe miasteczko. Byli tam żołnierze francuscy, ci „marokany”. Szable, czarne peleryny. W kawiarniach bicie, walka! Ale Polacy mieli ochotę pójść do kina. I my poszliśmy do kina. Nie mieliśmy pieniędzy. Coś tam sprzedałem i wypiliśmy jeszcze z kolegą dwie szklanki soku pomarańczowego.

Ostatniego dnia byliśmy tam dwa razy. Idziemy do kina, przeszliśmy kawałek. Szliśmy taką ścieżką do kina. Złapali nas. Jeden mnie ciśnie do muru. Myślę, czego oni chcą? Jeden taki mały kolega wyrwał się i uciekł. Podszedł drugi z napastników do mnie, chcieli mi galoty ściągnąć. Chcieli mnie zgwałcić. Ja miałem więcej szczęścia jak rozumu. Po francusku nie umiem. Ale Roman Lewicz uciekł i zauważył podchodzącego marynarza francuskiego. Zawołał go po pomoc. Ja to już widziałem i wtedy jednego z napastników kolanem kopnąłem, a ten marynarz jak jednego z nich złapał, jak mu rąbnął! A ten mały za nogi tego mojego pociągnął. Myśmy ich tam zrąbali, jednemu z nich skoczyłem na twarz, dosłownie. Podziękowaliśmy Francuzowi i już nie poszliśmy do kina. Poszliśmy do domu. A po drodze dwóch kolegów szło na piechotę do obozu. Zatrzymał się wóz, taksówka się zatrzymała. W niej siedział policjant. Mówi im, że ich do obozu zawiezie. A wcześniej nas przestrzegali, żeby uważać. Oni wsiedli i pod groźbą pistoletu ich obrabowali. Zostali też zgwałceni, tak że musieli do szpitala pójść. Na dzień czy dwa przed odjazdem z Bejrutu. Myśmy wyjechali a oni musieli zostać w Bejrucie. Co się z nimi później stało to nie wiem. Do Lyonu nie przyjechali.

Z Bejrutu pojechaliśmy na Konstancę, Aleksandrię, do Casablanki. W Casablance było tylu Polaków i tyle obsługi, że tam było tak pełno, że na drugi dzień musieliśmy wyjechać do Marsylii. Na statku było dobre jedzenie. To był statek pasażersko-handlowy. Duży statek. „Patria”. No i tą „Patrią” dopłynęliśmy aż do Marsylii. Z Marsylii dostaliśmy się do obozu w górach, w Compiagne. Już tam siedzieli francuscy żołnierze, murzyni, którzy na Linii Maginota gdzieś tam wioskę zaatakowali. Już mieli palce z pierścionkami Niemców. Uszy Niemców! Tak, ci murzyni! Senegale! Uszy obcinali, pokazywali nam je.

W górach w rejonie Marsylii byliśmy tylko około 4 dni. Stąd dostaliśmy się do Lyonu. Tam w 1935 czy 1936 roku była wystawa. Taka duża hala tam była. Nas tam dwa tysiące żołnierzy leżało. Tam było też lotnisko. Spotkałem tam podoficerów, porucznika z Radomia. Jak tam przyjechaliśmy to jeden z poruczników powiada tak: „Twój rocznik już sobie kaprała naszył, starszych strzelców.”

Dwa miesiące staliśmy tam w Lyonie, w wielkiej hali, gdzie dwa tysiące ludzi leżało. Po dwóch miesiącach, to było w maju, wysłali nas do Rouen. Tam mieliśmy przygotować lotnisko. Przygotowaliśmy lotnisko. Drenowaliśmy lotnisko. Kiedy lotnisko było gotowe, to tak mniej więcej było w połowie czerwca, przyszło sześć maszyn dwumotorowych. Ładne maszynki. Lekkie bombowce. Dwa karabiny maszynowe. Myśleliśmy, że to dla Polaków było. Ci piloci, którzy tymi maszynami przylecieli, każdy z maskotką, z pieskiem, kotkiem, z ptaszkiem. Wszyscy ci piloci poszli do miasta i nie wrócili. Te maszyny tak stały trzy dni. Jeden się na samolotach znał, drugi się podłączył, właściwie to trzech nas było. Poszliśmy i chcieliśmy jedna z tych maszyn wydostać i do Anglii polecieć. Ja nie, tylko oni we dwóch. Ja im tylko pomagałem. Wyprowadziliśmy ją, silnik zapuściliśmy, i nagle alarm! Tam było tylko dwóch policjantów, którzy służbę pełnili. I okazało się, że trzeba było uciekać, maszynę zostawić. I co się okazało. Na drugi dzień zaraz cała kompania rezerwistów pojawiła się na lotnisku i już możliwości nie było. Ale tacy ludzie byli, chcieli tą maszynę wykraść i do Anglii uciekać!

Mieliśmy tam dowódcę kompanii, który był z rezerwy kapitanem. Kazał obok budynku, w którym mieszkaliśmy, kopać schron. Na metr może głęboki, przykryty gałęziami tylko i lekko ziemią przysypany. Jak przyszły niemieckie naloty to kapitan rozkazał wszystkim uciekać i kryć się w tych schronach. Ale dla mnie to nie był żaden schron! Co to za schron przez który niebo było widać między gałęziami! Ja uciekłem w krzaki winogron. Drugi raz to samo. Alarm na lotnisku, znów z powrotem do schronu. A ja uciekałem w winogrona. I on to zauważył, ten kapitan. I powiada tak: „Jeszcze raz jak uciekniecie to was zastrzelę!” Cała kompania stoi. A jeden z kolegów, Stankiewicz, chłopak morowy, taki chłop, powiedział wtedy: „No, no, nie tak szybko panie kapitanie, my też tu jesteśmy”. Ten kolega Stankiewicz był tu w Bredzie po wojnie kierowcą w fabryce nici. Wtedy ten nasz kapitan się uspokoił. Też nie zdawał sobie sprawy, jaka sytuacja jest.

Kiedy Francuzi ogłosili kapitulację zaraz opuściliśmy Rouen. Wsiadliśmy do pociągu i jechaliśmy, nie bardzo było wiadomo dokąd. Jeździliśmy z jednej stacji di

drugiej stacji, w kierunku Bordeaux. W Bordeaux okazało się, że Niemcy są już tylko 30 kilometrów od Bordeaux. Pociąg skierowano w innym kierunku. W tym pociągu były także dwie kompanie młodych rezerwistów.

Janusz Zuziak: Ale wtedy jeździł pan już z konkretnym oddziałem wojskowym, z przydziałem?

Jan Bula: Nie. Właśnie nie wiedzieliśmy. Jechali tam ci młodzi rezerwiści z Alzacji ściągnięci. O jedzeniu też nie było mowy. Dwa dni nic nie jedliśmy. Ale Polacy się znaleźli odpowiednio do sytuacji! Pociąg stanął na stacji i okradaliśmy wagony. Tam coś było do jedzenia, jakieś konserwy. Pamiętam trzeci dzień. Ja nie byłem taki śmiały, żeby tak kraść. Bałem się, taki byłem nie zdecydowany. Przecież to nie wolno było. Jeden z kolegów powiada: „Pierunie, ty chcesz zjeść, a nie chcesz iść kraść. Teraz ty idziesz”. Ja wziąłem karabin, jak się pociąg na stacji zatrzymał, poszedłem. Otwieram wagon , a w środku pełno męskich ubrań, jakichś bogatych ludzi. Ktoś już się ewakuował w kierunku Hiszpanii. Była tam też beczka. Strzeliłem w nią. A w niej coś co przypominało smak wermutu. Ja miałem już przygotowane dwie menażki i przyniosłem moim kolegom wermutu!

Janusz Zuziak: Jak pan strzelił w ta beczkę to nikt nie usłyszał tego strzału?

Jan Bula: Nie. Nikt nie usłyszał, bo wagony stały bardzo oddalone. Musiałem uważać, żeby mi pociąg mój nie uciekł. Ale koledzy powiedzieli, że dadzą mi znać, gdyby pociąg nasz miał odjeżdżać. Wermutu im przyniosłem pełno i byli zadowoleni. I tak przez cały czas, na każdej stacji rabowaliśmy te wagony. Wszystko pakowaliśmy do ustępu! Pełny ustęp mieliśmy! Na jakiś czwarty dzień, ci młodzi rezerwiści, którzy już nic nie mieli do jedzenia, poprosili nas czy moglibyśmy im coś odstąpić. Daliśmy im jabłka, jakieś daktyle, różne rzeczy do jedzenia. Konserwy były, daliśmy im parę. Na piątej stacji jeszcze coś skradliśmy. Na szóstej stacji patrzymy, a tam już wszystko żandarmerią osadzone. Dali znać. Wszystko obsadzone. Już się skończyło. Dojechaliśmy szóstego dnia, w pociągu sześć dni, do Saint-Jean-deLuz. Tam miał być statek. Stał statek gotowy do ewakuacji. Statek „Arandora”, to później się dowiedziałem. Sztaby holenderskie, belgijskie tam stały, studentki Polki z Paryża. Do Anglii mogli wtedy tylko wojskowi jechać, cywile nie. Cywile mieli jechać z Saint-Jean-de Luz do Hiszpanii. Mieli dla nich samochody, ale kierowców nie mieli. Chcieli, żebym tam został i pojechał z nimi jako kierowca. To byli studenci. Czekałem do ostatka, ale widzę, że samochodów jeszcze nie dostali, i ostatnią łódką dostałem się na tą „Arandorę”!

Na statku okazało się, że niektóre kobiety się przebrały i z mężami dostały się na statek. „Arandora”, coś niesamowitego, pałac na wodzie! Tak dopłynęliśmy do Liverpoolu. W Liverpoolu wysiedliśmy. Przyszło nas z lotnictwa 12 tysięcy. Z Liverpoolu dostaliśmy się do Gloucester. Tam nas zakwaterowali w barakach. Byliśmy tam dwa miesiące. Stawaliśmy na komisję i przydzielali nas do polskich jednostek. Ja zostałem, jako kierowca, przydzielony do Biggar. Przydzielili mnie do 11 pułku ułanów.

Wtedy już stali w Biggar podhalańczycy. Z Norwegii już przyszli. Pan Dec już tam był dowódcą i wszystko organizował. Później mnie przenieśli z 11 pułku do podhalan. Dostałem się do karabinów maszynowych. Najpierw spaliśmy u jednego gospodarza, bo nie było jeszcze baraków gotowych.

1 listopada podhalańczycy czcili tych, którzy polegli w Norwegii. Poszliśmy na jeden z miejscowych cmentarzy. Cała kompania poszła na ten cmentarz. Idziemy z powrotem, leci samolot. Ciężki, wyładowany. Blisko tego gospodarstwa. My czterej z harmonijkami na przedzie gramy marsz, a w górze słychać silniki. Maszyna ciężka, wyładowana. Nagle słyszemy gwizd! Jak rąbnęła bomba przed jednym małym gospodarstwem! W odległości może jakichś 300 metrów od nas. Dziura się ogromna koło tego gospodarstwa zrobiła. Nikomu się nic nie stało. My byliśmy prawie przy tym gospodarstwie. Daliśmy nurka, padliśmy na ziemię wszyscy. Straciłem tam harmonijkę! Do gnoju my tam wpadliśmy! Do gnoju!

Jak już powiedziałem, zostałem przydzielony do karabinów maszynowych. Dwa lata tam byłem. W podhalańczykach. Później przenieśli nas między St. Andrews a Dundee. W hrabstwie Angus. Tam właśnie polskie oddziały obserwowały cały odcinek wybrzeża. Tak wyglądała tam służba nasza. Trafiłem tam w listopadzie 1940 roku. Trafiliśmy jako uzupełnienie. Nas tam było 16 lotników. Chłopcy chcieli z powrotem do lotnictwa i podania pisali i składali. Jakoś chyba po roku ośmiu napisało legalnie podania do dowódcy lotnictwa i zostali, jako ochotnicy skierowani do lotnictwa. Zostali strzelcami pokładowymi. Po trzech miesiącach przyszli chłopacy, wszyscy sierżantami i pełna pierś pieniędzy. Gościli nas, że hej! Poszliśmy do kantyny to wszystko wykupili. Brakowało piwa, brakowało pierników, wszystkiego brakowało. Tak się dorobili.

Janusz Zuziak: Jesteśmy teraz po klęsce Francji. Przegrana Francji była pewnym szokiem dla wojska polskiego, dla wojskowych. Jak to później było komentowane, cała ewakuacja wojska polskiego, klęska Francji i ewakuacja. Bo przecież gen. Władysławowi Sikorskiemu zarzucano, że ewakuacja została źle przeprowadzona, że

została spóźniona. Jakie były późniejsze na ten temat komentarze panów, jako zwykłych szeregowych żołnierzy?

Jan Bula: Komentarze były takie, że Polska, Polacy jeszcze walczyli a Francuzi stali. Jak jechaliśmy pociągami w kierunku frontu to Francuscy żołnierze stali w restauracji, piwko pili, karabiny na bok. Kapitulacja była kapitulacją u Francuzów. A Polacy jeszcze walczyli. Generał Maczek jeszcze walczył, jeszcze próbował, a Francuzi już nie walczyli. Bimbali sobie, wszystko stało. Jechaliśmy pociągiem na jednym z postojów podjechał do nas polski żołnierz na motorze i mówi: „Polacy walczą a oni tu siedzą i wino piją!”

Janusz Zuziak: Dla każdego polskiego wojskowego była to druga w ciągu kilku miesięcy klęska. Przegrana we wrześniu 1939 roku i przegrana Francji w czerwcu 1940. Dla psychiki przeciętnego żołnierza musiało to być straszne przeżycie z pewnością. Na pewno było to jakoś komentowane. Zastanawialiście się panowie na pewno nad swoimi dalszymi losami.

Jan Bula: Nikt z nas nie miał swego losu we własnych rękach. My musieliśmy się dostosować do Francuzów. Lotnictwo francuskie stało na lotniskach, podnosiło się dopiero w momencie, kiedy samoloty niemieckie były już nad nimi, nad francuskimi lotniskami. A przecież mieli obserwacje, mogli działać szybciej! Dopiero Polscy piloci tak działali, że nie czekali na niemieckie naloty tylko działali z wyprzedzeniem.

Dwa lata w podhalańskich byłem, w karabinach maszynowych. Pan pułkownik Dec (Władysław – przyp. J.Z.) życzył sobie żeby tradycje podhalańską uszanować. O pelerynach zaczął mówić, ale o pelerynach nie było mowy, i o orzełkach. Ja miałem już francuską czapkę, polską jeszcze miałem czapkę i jeszcze podhalańską kupować?! Orzełka kupować?! Ja się na to nie zgadzałem. Pan Dec się o tym dowiedział i zrobił zbiórkę kompanii. Przyszedł i mówi: „Żołnierze, tu są dwie fałszywe owieczki”. Tak powiedział! „Fałszywe owieczki, które nie chcą tradycji podhalańskiej szanować!” Zrobiliśmy trzy kroki naprzód. Ja zbladłem, dosłownie. „Fałszywe owieczki”. Jak tak można! Ja mam dwie czapki. Jak chcecie tradycję szanować to dajcie, a nie tak, żeby kupować.

Już wcześniej się domyślałem, że tam coś nie gra. Od kucharzy się dowiedziałem, że pan Dec z racji żywnościowych żołnierskich kazał coś przynosić do kasyna oficerskiego. Okazało się, że oszczędność miał. Wszystko było. Jak Anglicy przyszli kontrolować, to tam dwie połówki świń za dużo było. Zabrali je. Ja tego nie rozumiałem. Na przykład węgiel dostaliśmy, ale nie wolno było go używać. Stał.

Trzeba było drzewem palić. Ale chłopak ze Śląska inaczej myślał. Jak mieliśmy służbę to poszedłem z kolegą, wzięliśmy worek, on mnie podniósł i braliśmy węgiel od środka składu. Dwa worki wkładaliśmy pod łóżko i grzaliśmy się węglami. Nawet oficerowie służbowi przychodzili się grzać! Wszystko przychodziło się grzać. „Macie tu ciepło”.- mówili. Wszystko lotnicy. 16 lotników tam mieszkało. Tak kombinowaliśmy, jak mogliśmy. Ciepło było. Mieszkaliśmy w takich barakach, w „beczkach” takich. Okazało się, że po dwóch latach przyszli Anglicy to zlikwidować! Bo po dwóch latach węgiel zmięknie, nic nie jest wart.

Jak poszedłem do baraku po tej zbiórce, na której nas pan Dec nazwał „Falszywymi owieczkami”, to nie mogłem tego znieść! Ja nie mogłem tego znieść. Jak takie coś można było o nas powiedzieć?!

W 1943 roku poszedłem do szwadronu sztabowego 1 Dywizji Pancerniej. Tam mnie przenieśli. Kierowcy chyba potrzebowali. Przenieśli mnie na wóz ciężarowy. Później zostałem przeniesiony na wóz dyspozycyjny. W 1 Dywizji piłkę nożną organizowałem.

Jak gen. Sikorski był Rosji to urządzone zostało polowanie. Ja też w nim udział brałem. Jako zaganiacz. Zaganiałem zwierzynę, a sztabowcy strzelali. Po polowaniu wszyscy pojechali do zamku, w którym Sikorski mieszkał, przygotowali kurki, kaczkę. Po całym polowaniu poszliśmy sobie tam kaczkę zjeść. Później, kiedy wracaliśmy z tego polowania to bardzo ślisko było i wpadłem samochodem na pobocze. Zatrzymaliśmy się na takim przydrożnym paliku. Ale jakoś nas z tego wyciągnęli.

Przed inwazją w Normandii były wielkie manewry. Były wielkie ćwiczenia. Całą kancelarię pana generała Maczka, wszystko. Kancelarię, pieniądze, maszyny zabrałem na mój samochód. I dwóch sierżantów ze sztabu dywizji. Wszystko w moim wozie. Jechałem jako ostatni wóz. I beczkę wody ciągnąłem. Jedziemy koło Newcastle, koniec Szkocji. Tam były takie górzyste troszeczkę tereny. Ja zjeżdżam ostatnim wozem na dół i przechodzi piesek. Przechodzi z jednej strony na drugą a pastuch stoi z innym chłopem po drugiej stronie i go wołał. Jak on go wołał to ten pies wtenczas, jak ja już tak blisko byłem, nie mogłem hamować, wóz mi cisnął po tej kamienistej drodze i wjechałem prosto w tego psa! I go przejechałem. Daliśmy temu pastuchowi adres. Ja nie miałem kłopotów, bo tym się zajął starszy sierżant zandarmerii. Dał mu adres. I tam gdzie pojechaliśmy na ćwiczenia dostałem dopiero wiadomość. Przyszła wiadomość, że psa uderzyłem, a w Anglii za psa się 20 funtów płaciło. Za przejechanie psa. Takie były przepisy królowej. Nie było mowy, przejechało się psa, płacić trzeba było 20 funtów. A za kota 10. Tak było.

Janusz Zuziak: Ale to nie Pana wina była przecież.

Jan Bula: No nie była moja wina. Ja nie miałem wyjścia. Ja się zorientowałem, że jakbym ja zahamował to bym się do rowu dostał. A ile szkody by było! Ja, kierowca, cztery osoby z tyłu. A ten materiał, maszyny do pisania, wszystko to ja wozilem. I wjechałem w niego. Owczarek to był. Ja lubiłem pieski, ale musiałem. Nie było wyjścia! Nie miałem wyjścia, był zmrok, ta beczka mnie ciągnęła, 500 litrów wody. I co się okazało, jak przyjechaliśmy z powrotem znów pismo z policji. 12 funtów płacić. Mój kolega, Potargowicz, fajny kolega, każdemu pomagał. On powiada: „, Jasiu, my napiszemy list”. I napisaliśmy list do policji, że kierowca nie jest w stanie zapłacić tej kary, a ponadto nie ma powodów by ją miał płacić. Opisaliśmy całe to wydarzenie i potencjalne straty, jakie mogły być poniesione w skutek nagłego zahamowania. Drugi raz mi policja odpisała, że tylko administracyjnego mam zapłacić 10 funtów. Ale ten mój kolega powiedział, że nie zapłacimy nic. I nie zapłaciliśmy nic. W końcu policja angielska przyznała nam rację i zrezygnowała z nałożonej wcześniej kary pieniężnej.

Będąc w podhalanach, w 1 Dywizji Pancерnej gen. Maczka byłem świadkiem, jak żołnierze Żydzi uciekali z polskich oddziałów. Wyjeżdżali niby na urlop, ale już później nie wracali.

Janusz Zuziak: W Wielkiej Brytanii rzeczywiście zdarzały się dezercje żołnierzy polskich wyznania mojżeszowego. Nie były to dezercje na taką skalę, jak w wojsku polskim na Bliskim Wschodzie, jednakże był to problem trudny i w pewnym momencie nawet zagrażał gotowości bojowej polskich oddziałów. Dezerterujący żołnierze pochodzenia żydowskiego twierdzili, iż powodem ich dezercji było złe ich traktowanie w polskich szeregach. Mówili o często silnych wręcz przejawach antysemityzmu. Czy pan był świadkiem tego rodzaju zdarzeń, takich złych zachowań w stosunku do nich?

Jan Bula: W podhalanach nie byłem świadkiem takich sytuacji. Nie! Nie w Dywizji! Oni tak pracowali, tak służbę pełnili, jak my. W biurze u szefa kompanii, Kwiatkowskiego, był Żyd. Świetny gość. Myśmy czasem do niego mówili „ty Żydku”. Ale w ogóle nie było mowy o dokuczaniu im. Ja nie słyszałem. Tego nie było.

Janusz Zuziak: W swoim najbliższym otoczeniu nie był pan świadkiem takich postępowań, nikt im nie dokuczał?

Jan Bula: Nie, nie było tego. Może tam jeden powiedział „ty Żydzie”. Ale to nie ma nic wspólnego. Razem wszystko robiliśmy, razem żyliśmy. W zgodzie.

Tam gdzie mieszkaliśmy, w tej okolicy, w ogóle w Anglii, było bardzo dużo zamków. Tych lordów tam było w pieruna! Takie wielkie zamki! Za płotami niektórych

to nawet lwy chodziły! Tak! Sam widziałem! Ćwiczenia mieliśmy i chciałem raz zobaczyć co tam jest za płotem, a tam lwy siedziały w tym ogrodzie, lwy! Tak!

Janusz Zuziak: Czy będąc w Anglii miał pan jakiś kontakt z rodziną w kraju, otrzymywał pan od rodziny z Polski, od znajomych jakieś wiadomości?

Jan Bula: Nie. Wysłałem dwie paczki. Przez Czerwony Krzyż. Dwie paczki, jedną otrzymali. Dopiero się po 19 latach dowiedziałem, jak przyjechałem do Polski, że jedna z tych paczek doszła, a druga nie. Ale nadawcy pisali na nich „od cioci Frani”, albo „od cioci S”, ze Szkocji.

Janusz Zuziak: Proszę powiedzieć, jakie było takie codzienne życie żołnierza polskiego w Wielkiej Brytanii, czy były jakieś trudne problemy, co najbardziej dokuczało w codziennej służbie? Jak pan tę stronę swojej służby wspomina?

Jan Bula: Utkwił mi mocno brak węgla, o którym już wcześniej mówiłem. Takie rozumowanie. Węgiel stał, a nie można go było użyć. To była jednak głupota. To jest pan Dec. Mnie pan Dec też skrzywdził! A z drugiej strony miałem szczęście! Ja mam więcej szczęścia, jak rozumu! Jak przeszedłem do szwadronu sztabowego to szybko zdobyłem sobie uznanie u pana rotmistrza. Po 6 latach jako żołnierz zdobyłem u niego awans! Wcześniej zdobyłem wiele pochwał, ale co mi z tych pochwał, co mi po tych pochwałach?

Będąc jeszcze w podhalanach grywaliśmy czasami w piłkę. Ja dobrze grałem. Czulem piłkę. Na boisku trzeba czuć piłkę, widzieć, szukać sobie miejsca. W podhalanach chyba trzy mecze rozegrałem. Dobrze grałem i rotmistrz to zauważył.

Nie było zbyt dużo możliwości grania. Służba, służba, służba! Już w szwadronie sztabowym musieliśmy w niedziele pełnić służbę z Home Guard. Mieliśmy też ćwiczenia z nimi. Myśmy jeszcze broni nie mieli a Home Guard już miała broń.

Janusz Zuziak: Jak wyglądały takie codzienne kontakty i stosunki polsko – szkockie?

Jan Bula: Pierwszorzędnie! Angielscy oficerowie byli corect! Angielscy oficerowie byli przychylni! Znakomici organizatorzy! Tam nikomu nic nie brakowało. U nas nieraz dwa dni nie jadłem. Tam dostanie pan na linii pieniądze i papierosy. Polacy, jak na stanowisku stali przy ckm na ćwiczeniach, to kiedyś przez trzy dni jedzenia dostali, bo przełożeni mówili, że nie można do nich iść z jedzeniem, bo oni są pod ogniem wroga! Jeden kolega, jak wrócił strasznie głodny z tego stanowiska to ze złości karabin maszynowy rzucił kapitanowi pod nogi. Zrobił tak, bo głodny był. Nie wolno było racji żywnościowej dostarczyć, bo wróg tam był. Anglicy zawsze dostali papierosy na czas, jedzenie na czas. Tam była dyscyplina.

Kiedy szykowaliśmy się do inwazji to chcieliśmy sobie różnych rzeczy jak najwięcej kupić, zgromadzić. Poszliśmy do wioski, a tam to co wcześniej kosztowało funta, teraz kosztuje trzy funty.

Janusz Zuziak: Czy zdarzały się w okresie stacjonowania w Szkocji jakieś uwagi, kierowane pod adresem polskich żołnierzy, że Brytyjczycy walczą a wy siedzicie sobie w Szkocji i szkolicie się tylko. Nie było złośliwych uwag, że ich żołnierze walczą, giną, a Polacy po knajpach chodzą?

Jan Bula: Raz pamiętam taką sytuację, już na krótko przed inwazją, kiedy w knajpie jeden angielski marynarz powiedział, że jego koledzy, angielscy marynarze walczą i giną, a Polacy sobie siedzą i piją. A nasza marynarka też walczyła!

Janusz Zuziak: Jak pan ocenia stronę zabezpieczenia logistycznego waszej służby. Czy nie było kłopotów z brakiem elementów umundurowania, butów, amunicji w czasie ćwiczeń, etc.?

Jan Bula. Nie było. U Anglików wszystko było na czas. U Anglików mógł pan dostać trzy rodzaje tego samego numeru butów. W każdym rozmiarze były dodatkowo small, large i big. Niczego nie brakowało. Pieniądze na czas, papierosy na czas. W podhalanach mięso oszczędzali! Głupota, bo przecież rezerwa żelazna i tak była.

Muszę powiedzieć, że Anglicy byli dla nas bardzo grzeczni. Pamiętam, zaraz po przybyciu na Wyspy Brytyjskie w 1940 roku to było, że jak szliśmy do miasteczka na przepustkę to Anglicy zatrzymywali się samochodami i podwozili nas. Ja mam jeszcze pamiątkowy nożyk. Jedna kobieta jechała samochodem, zatrzymała się, podwoziła mnie do miasta, dała mi ten nożyk właśnie i lusterko, ale ono mi się już popsuło. Grzeczni byli, bardzo przychylni.

Na jedne ze świąt piekłem 8 królików. Tam bardzo dużo dzikich królików było. 8 królików piekłem na 16 chłopca w naszym baraku. To jeszcze w podhalanach było. I każdy miał jeszcze flaszkę wina pod łóżkiem!

W pewnym okresie prowadziłem, przez 3 miesiące, kantinę dla podoficerów. Dbałem, żeby wszystko w porządku było, jedzenie ciepłe przynosiłem. Dobrze to wszystko prowadziłem, oni zadowoleni byli. Jak lecieli do Polski, niektórzy lecieli jako „cichociemni”, to dali mi zdjęcie na pamiątkę.

Muszę powiedzieć, że ja nie miałem żadnych trudności w wojsku. Za wyjątkiem pana pułkownika Deca, ale i z tego wyszedłem dobrze. Przydzielili mnie do szwadronu sztabowego. Jako kierowcę. Dostałem wóz. W szwadronie sztabowym byłem aż do samej inwazji. Ja miałem dobrze w wojsku, nie narzekałem. Mnie lubili wszyscy,

oficerowie i podoficerowie. Byli i tacy, którzy mnie skrzywdzili, to co mówiłem o panu pułkowniku Decu.

Janusz Zuziak: Ta przykra historia związana z pułkownikiem Decem i „falszywymi owieczkami” była dla pana bolesnym momentem.

Jan Bula: To był bolesny dla mnie moment. „Falszywa owieczka”! Że podhalańskiej tradycji nie szanujemy.

Janusz Zuziak: Przejdźmy teraz do okresu przygotowań do inwazji i samej inwazji. Jak pan ten okres wspomina?

Jan Bula: Przed inwazją były wielkie dwumiesięczne manewry. Cały czas byłem w materiałowce w szwadronie sztabowym. Na samą inwazję płynąłem w drugim rzucie, z pułkownikiem Dworakiem. W Cherbourgu się wyładowaliśmy. Płynęliśmy całą noc, nad ranem dopłynęliśmy do brzegu. Po wyładowaniu wielu kierowców miało problemy z jazdą po odpowiedniej stronie drogi. W Anglii przecież po lewej stronie się jeździło! Na początku jechało się po lewej stronie! Ja też się w tym początkowo gubiłem! Ale zaraz stała polska żandarmeria i poprawiała nas. Kierowali sprawnie ruchem.

I tak jeździliśmy. W pewnym momencie, gdy cała 1 Dywizja się zebrała, w miejscu, którego nazwy nie powiem, nie znałem jej, gdyż takie informacje nie były udostępniane zwykłym szeregowym żołnierzom. Tylko dowódca i oficerowie w sztabie mogli wiedzieć. Ja jechałem ostatnim wozem, zamykając kolumnę. Jadę, a tu przed skrzyżowaniem zatrzymuje mnie Anglik, na motorze. Zatrzymuje mnie! Szef krzyczy: „Jedź, nie zatrzymuj się, gaz dawaj!” Cała kolumna pojechała dalej. Anglik mnie zatrzymał, żeby przepuścić kolumnę ciężkiej artylerii. Jakies 8 ciężkich, dział. No i stoję. A szef zły na mnie, mówi: „Pierunie, trzeba było gazu dać!” Ja mówię: „Panie szefie to się tylko tak wydaje, że mogłem jechać, miałem go przejechać?” A ten wóz nie był taki łatwy do prowadzenia, załadowany, beczkę ciągnie, trudno było nim zahamować. Szef zły na mnie, zły na mnie! Kolumna tych 8 dział przeszła, Anglik pokazał, żebym jechał. Przejechałem jakiś kilometr, widzę regulatora polskiego, zatrzymuję się i pytam: „Słuchaj, gdzie ta kolumna ostatnia pojechała?” A ten mi nic nie chce powiedzieć, tylko pokazuje zabitego przez niemieckiego snajpera swego kolegę z regulacji ruchu. Zginął zabity przez snajpera. Zobaczyłem daleko jakies samochody i pomyślałem, że to musi być moja kolumna. Bo gdzie indziej nie mogli być. Tylko w tym kierunku był wyjazd. Podjechałem, ledwo zdążyłem wyjść z wozu a Niemcy trafili w wóz z amunicją, a za chwilę w wóz z benzyną trafili. Schowałem się za kołem mojego samochodu. Po pewnej chwili ta kolumna artylerii, którą

przepuszczalem, dała odpowiedź Niemcom. Silnie ich ostrzelała. To było moje pierwsze wojenne przeżycie, pierwsze prawdziwe wojenne przeżycie. Już nie na poligonie, nie na ćwiczeniach, ale na linii frontu.

Wkrótce po tym byłem świadkiem walki czołgów polskich z niemieckimi. Jechałem obok lasku, a z tyłu jechały czołgi nasze, polskie. Dalej było takie wzgórze i te czołgi poszły w tym kierunku. Za tym wzgórzem w ukryciu znajdowały się niemieckie Pantery. Nastąpiła ostra wymiana ognia. Jakies 3 może 4 polskie czołgi oberwały. Niemieckie też.

Kiedy była bitwa pod Falaise, staliśmy od tej miejscowości 12 kilometrów. Niemcy latali nad nami, rzucali bomby i jakies zbiorniki. Ja do dzisiaj nie wiem co to były za zbiorniki. Po nalocie nocnym rano patrzymy, a tam w lesie leży 6 tych zbiorników. Nikt nie wiedział co w nich było. Ja tam poszedłem, coś w tych zbiornikach tykało, jak w zegarze. Jeden z nich był trochę otwarty. Otwieramy go dalej, a tam był jakiś płyn, jak benzyna. Jakiś wąż przy tym był. Ja do dzisiaj nie wiem co to było. Poszliśmy o tym zameldować. Zaraz przyszli Anglicy i zabrali to. Co to było, nie wiem.

Wtedy w czasie bitwy pod Falaise nie wiedziałem, że to jest taka wielka bitwa, że tam zostało zamknięte tyle niemieckiego wojska. Dopiero po walce się tego wszystkiego dowiedziałem. W czasie bitwy zwykły żołnierz nie zdawał sobie sprawy z jej znaczenia i wielkości.

Janusz Zuziak: Kiedy miał pan pierwszy kontakt z niemieckimi jeńcami?

Jan Bula: Z jeńcami niemieckimi mieliśmy do czynienia. Tam gdzie staliśmy przed Falaise 12 kilometrów raz miałem służbę z kolegą. Tam była taka ścieżka, widzimy a tam wóz jedzie. Ja mówię do kolegi: „Słuchaj no Feliks, to jest niemieckie auto. Feliks, to nie nasze wozy. Pierunie, to są Niemcy!” Taka półciężarówka, opel, jedzie w kierunku nas. Zatrzymaliśmy ją. Siedział tam dwie osoby z żywnością. Worek ryżu, worek mąki.

Janusz Zuziak: To byli rzeczywiście Niemcy?

Jan Bula: Tak to byli Niemcy. Zatrzymaliśmy ich. Poddali się. Kierowca z Katowic. Polak, Ślązak. Kierowca z Katowic. Oni mówili, że uciekli. Dostyc wojny mieli. Czy to była prawda to nie wiem.

Nam nie wolno było nikogo do niewoli brać. To znaczy mogliśmy brać do niewoli, ale nie mogliśmy jeńców trzymać. Musieliśmy zaraz meldować o nich Anglikom. Anglicy zaraz przyjeżdżali i zabierali ich. Tych dwóch też zaraz Anglicy zabrali. Myśmy zatrzymali cały ten prowiant, zatrzymaliśmy też ich wóz. Nam brakowało

samochodów, to ten niemiecki nam się przydał. Kierowca, Feliks Rajski, który nim miał jeździć, powiada: „Ja już jeździłem takim w niemieckiej armii. Ja go znam”. Zaraz zmieniliśmy na nim znaki dywizyjne, wymalowaliśmy „40”, bo sztab dywizji miał „40”. I ten Feliks Rajski jeździł tym wozem aż do Niemiec.

Janusz Zuziak: A jaka była panów reakcja, kiedy do niewoli braliście prawdziwego Niemca, nie Polaka ze Śląska czy z Pomorza, ale autentycznego Niemca?

Jan Bula: Jak się poddawali to było w porządku, tylko trzeba było uważać, bo niektórzy jeszcze granat wyrzucali. Takie coś się zdarzało też. Jak się poddawali, to wszystko było w porządku, trzeba było broń odebrać. Zaraz musieliśmy wszystkich przekazywać Anglikom. U nas byli angielscy łącznicy i oni swoich powiadamiali.

Janusz Zuziak: Nie było takich momentów, kiedy braliście żołnierza niemieckiego do niewoli, że miał pan chęć „wymierzyć mu sprawiedliwość”, na przykład uderzyć go, pobić czy coś podobnego.

Jan Bula: Jak tylko nie poddał się i nie słuchał to go tam rąbnęli. A przeważnie warszawiacy byli cięci, przecież wiedzieli, że Warszawa walczy. Jak był z „SS” to go od razu rąbali. Jeńców z „SS” nie brali. Kiedyś do magazynu przyprowadzili nam niemieckich jeńców i mówią, że trzeba ich tu zatrzymać. A ja pytam, jak ich tu trzymać, przecież tu trzeba służbę trzymać, nie ma komu ich pilnować. Powiadomiliśmy zaraz Anglików, ale ci nie przyjechali tak szybko. Może mieli dużo roboty, bo dużo jeńców się brało. No i u nas byli. To było 5 Niemców. Daliśmy im kartofle strugać. Ja po niemiecku umiałem, ja ich tam pilnowałem. Mówię im: „Dostaniecie jedzenie, dostaniecie wszystko, tylko żebyście spokojni byli”. No i wie pan co powiedzieli? Czterech było żonatych, jeden nie żonaty. Jeden z nich mówi do mnie po niemiecku: „Tu możemy zostać, aż do czasu, kiedy wojna się skończy”.

Janusz Zuziak: Czy wtedy oni coś opowiadali o sobie, o wojnie, o wojennych przeżyciach?

Jan Bula: Nie, bardzo mało. Wojna jest wojna, to wszystko.

Janusz Zuziak: Nie wyczuwało się z ich strony na przykład nienawiści do Polaków?

Jan Bula: Tego nie okazywali. Nie.

Janusz Zuziak: Mówił pan o jeńcach z „SS”, że ich do niewoli nie braliście. Czy to znaczy, że byli oni likwidowani, rozstrzeliwani?

Jan Bula: Tak bezpośrednio, oficjalnie nie. Ale gdzieś po cichu, na uboczu. Dalej ich nie przekazywano. Muszę powiedzieć, że ja byłem w drugiej linii, stąd tych jeńców dużo nie widziałem. Ja miałem nie łatwą robotę. Ja musiałem na tył do Anglików po

uzupełnienia jeździć, raporty o stratach składać. Uzupełnić co dywizja straciła. Jak jechały kolumny na front to trzeba było im drogi ustępować, zjechać na pobocze. Wielu murzynów jeździło, jako kierowcy. Ależ oni jeździli, jak wariaci! Murzyni. Dobrzy kierowcy byli.

Po bitwie pod Falaise cały czas byłem w materiałówce, w drugiej linii. Po Falaise już było łatwiej, szło się w miarę spokojnie do Belgii. Ale w zaopatrzenie Niemcy też rąbali. Jeszcze przed bitwą pod Falaise byłem świadkiem, kiedy obok wozu łączności, w który był mój kolega, spadła niemiecka bomba. Ten wóz się zapalił, drzwi się w nim zablokowały i ten mój kolega się tam spalił. Spięcie się zrobiło. Dwóch radiooperatorów się spaliło. Szef mojej kompanii leżał wtedy pod tym wozem i też go zabiło.

Janusz Zuziak: Proszę powiedzieć, jak pan ocenia sprawność działania służb zaopatrzeniowych, jak one działały, czy nie było jakichś uciążliwych spóźnień, braków etc?

Jan Bula: Nie, my mieliśmy zapas, jak czegoś brakowało to wysyłaliśmy zamówienie i szybko otrzymywaliśmy. Mieliśmy też taki przypadek, kiedy lotnictwo amerykańskie nas zbombardowało. To było jeszcze przed Falaise. Najpierw krążył nad nami mały sportowy samolot rozpoznawczy. Taki, który zdjęcia robił. Rąbali w niego, żeby go zestrzelić, żeby nie zdradził naszych pozycji. Odleciał, a po jakimś czasie przylecieli Amerykanie i rąbali. I polskie wojsko też tam zrabali. Ja byłem blisko tego miejsca, patrzyliśmy się na to. Przyszło do nas stamtąd 8 rannych, potarganych, popalonych. Paru wtedy tam zginęło. Ilu, to nie wiem.

Janusz Zuziak: Jaka była wówczas reakcja polskich żołnierzy, kiedy dowiedzieliście się, że to własne lotnictwo was zbombardowało?

Jan Bula: Wściekli byliśmy!

Kiedys staliśmy w pewnym gospodarstwie i tam jakieś beczki były. Takie duże cztery beczki. Mieliśmy u siebie jednego z Francji. Feliks, pracował u gospodarza. Lubił sobie wypić. W tych beczkach było wino. W tym winie leżał Niemiec. Na drugi dzień tam poszliśmy, Feliks powiada, że weźmie coś na to wino. Wyczyściliśmy takie kany na wodę, nabrał w nie tego wina i włożył do mojego wozu. I stały tam. Stały tak długo. On wreszcie kiedys mówi: „Pierunie, nie mamy co pić, spróbujemy!” I spróbowaliśmy. To było czyste wino. Te trychniny tam nie siedziały w tym!

Kiedys siedzę na wozie i widzę, że krowa idzie w naszą stronę. Krowa przyszła jedna i cztery kury. I mieliśmy mleko!

Widziałem polskie kuchnie na polu bitwy stracone przez Niemców. Polskie kuchnie ciągnięte przez polskie konie. Miały napisy polskie. Takie same kuchnie widziałem jeszcze w Radomiu w magazynie.

Janusz Zuziak: Kiedy pan przybył do Bredy?

Jan Bula: 9 listopada. Po walkach w rejonie Baarle-Nassau. Tutaj zatrzymaliśmy się na dłużej.

Janusz Zuziak: Kiedy wjeżdżaliście panowie 9 listopada do Bredy, jaka była reakcja miejscowej ludności.

Jan Bula: Czołgi w kwiatkach, całowano nas! Kobiety, dzieci na czołgach się wieszały! Ja miałem taką służbę, że stale jeździłem. Ja stacjonowałem poza Bredą. Z oficerem inspekcyjnym byłem tylko dwa razy w Bredzie. Miałem znajomych w Holandii, sąsiadów tam gdzie stacjonowaliśmy. Chodziłem do nich wieczorami, w ping-ponga graliśmy.

Janusz Zuziak: Czyli nie stacjonował pan na stałe wtedy w Bredzie?

Jan Bula: Nie. Za miastem, niedaleko. I tam poznałem moją przyszłą żonę! Siedziałem w wozie i ja naprzeciw widziałem, tam mieszkała. To była córka krawca. Tam ja poznałem. Jak odjeżdżaliśmy to się pytałem czy przyjechać. Powiedzieli: „Przyjeźdź”. Później pisałem listy. Skończyła się wojna. Przy kapitulacji w Niemczech byłem w Wilhelmshaven. Tam się dowiedziałem, że się wojna skończyła. Stamtąd napisałem do żony list. Pytałem czy mnie kocha jeszcze czy może zapomniała. Pisała, żeby przyjeżdżać.

Stacjonowaliśmy na okupacji w Niemczech w miejscowości Meppen. Zdemobilizowałem się 26 sierpnia 1946 roku. Taki się już wtedy bałagan zrobił w naszym wojsku! Spadła dyscyplina.

Janusz Zuziak: Jak wyglądały takie codzienne stosunki z ludnością niemiecką?

Jan Bula: Nie było żadnych trudności. Bali się nas trochę, ale nic nadzwyczajnego nie było. Pamiętam, że było bardzo dużo chorych polskich kobiet. Musiałem jeździć do Nijmegen po skrzynie z penicyliną.

Janusz Zuziak: Jak wyglądało wasze codzienne życie na okupacji?

Jan Bula: Normalnie. Do gospodarza niemieckiego na przykład chodziliśmy po jajka, kolega strzelał króliki, zające, świnie dzikie. Za czasów Hitlera nie wolno było polować na dziczyznę. Tyle tam tego pieruństwa było, królików, jeleni, świnie. Gospodarze byli zadowoleni jak kiedyś lisa zastrzeliliśmy, bo kury im kradł. Wymieniliśmy go na 12 jajek. Mieliśmy tego sporo. Ja do Bredy woziłem po 60 jajek! Kiedyś miałem w walizce

pełno jajek. Jechałem do Bredy i na granicy holenderskiej już holenderscy żołnierze mieli służbę, mówię im, że nie wolno na tej walizce siadać. Ale okazało się, że musieli usiąść, bo do Bredy przywiozłem może 30 całych jajek, a reszta potłuczona!

Janusz Zuziak: Czy dostał pan w momencie demobilizacji jakieś pieniądze na zagospodarowanie?

Jan Bula: Dostaliśmy taką listę rzeczy, jakie mogliśmy zabrać. Dostaliśmy płaszcz, ubranie cywilne. Każdego Polaka zdemobilizowanego można było łatwo rozpoznać, bo wszystkie płaszcze dla zdemobilizowanych były tylko w dwóch rodzajach i kolorach. Płaszcze były nowe. Łatwo można było poznać w nich zdemobilizowanych. Demobilizacyjnego dostałem około 200 guldenów. Nie wiem dlaczego, ale musiałem po to demobilizacyjne do Brukseli pojechać. I tam dostałem angielskie funty. I te funty zmieniłem na holenderskie pieniądze, u Żyda. Na trzy razy tyle. I żonę zabrałem ze sobą, tam kupiłem jej płaszcz i kapelusz. Kupiliśmy za te pieniądze też meble, które mamy do dnia dzisiejszego, tu w tym mieszkaniu! Kupiliśmy je już tutaj w Bredzie. Ręcznie robione.

Po przyjeździe do Bredy już tutaj zostałem. Szukałem przez dwa miesiące pracy. Niedaleko była fabryka farby, poszedłem się tam zapytać o pracę. Jeszcze w czasie stacjonowania w Bredzie jesienią 1944 roku poszedłem tam zapytać czy by mnie w przyszłości przyjęli do pracy. A jeden kierownik mówi, że po zdemobilizowaniu chętnie by przyjął kilku Polaków. W garażu tej fabryki był już polski warsztat naprawczy samochodów.

W tej fabryce farby przepracowałem 32 lata. Jeździłem jako kierowca z dyrektorem. Znajomości tu miałem dużo. Każdą fabrykę w okolicy znałem.

Demobilizowałem się w Munster. Komisja lekarska polska tam była. Chciałem, żeby mi dali jakieś odszkodowanie za okaleczone w czasie służby wojskowej ucho. Jeden z tych lekarzy, pan Wierdak, Polak, lekarz wojskowy, powiedział mi, żebym pojechał do Bredy to mi zrobią tam tą plastyczną robotę. Operacje plastyczną. Okazało się, że po zdemobilizowaniu on się też osiedlił w Bredzie. Był lekarzem w szpitalu tu u nas i ja mu mówiłem o tej operacji plastycznej, ale moja żona mówiła, że nie muszę tego robić, że nie ma potrzeby.

Janusz Zuziak: Czy po zdemobilizowaniu przyjechał pan do Bredy prosto do rodziny żony?

Jan Bula: Tak, prosto do rodziny żony. Były też inne możliwości. Mogłem się na przykład zgłosić do służby wartowniczej do Amerykanów. Tam można było dobrze zarabiać, zdaje się 20 funtów miesięcznie proponowali.

Janusz Zuziak: Proponowano panu to?

Jan Bula: Tak, proponowano mi to. Tam się nawet dużo Polaków zgłosiło, ale ja się szybko zdemobilizowałem, bo miałem dosyć tego wszystkiego. Takie rozluźnienie było, już dyscypliny nie było. Dyscypliny już nie było. Handlowali wszystkim, nawet karabinami. Była taka bieda, że kobiety można było mieć za paczkę papierosów. Skutki później były. Ja miałem 12 ludzi w magazynie, to 6 złapało. Ja się bałem na ustęp usiąść. Chodziłem do lasu. Nie miałem wyjścia.

Był bałagan. Służbę miałem, wartę koło bramy wartowni. Dwie godziny. Miał mnie zmiennik zmienić, nie zmienia. Czekam pół godziny, godzinę. Ładna pogoda była to mi to nawet początkowo nie przeszkadzało. Ja się jeszcze zabawiłem bo tam sowa w okolicy była i chu, chu robiła. Przenosiła się z drzewa na drzewo. Szukałem jej i tak ta godzinka minęła. Idę po tego zmiennika. Wchodzę, leży z kobietą, Niemką. A byli i tacy, podoficerowie głównie, że postanowili, jak przyjdą do Niemiec, „wszystko różniemy”. Ja już miałem dosyć tego. Ja tego nie byłem nauczony! Byłem kiedyś dwa dni na urlopie, wracam, baba siedzi w moim łóżku. A ten kolega, co naprzeciw mieszkał, drugą babę ma w łóżku. „O pierunie! Co to!”. Strzelać do mnie chciał! Jak mu przywaliłem! Przewrócił się i chciał do mnie strzelać! Straszna była atmosfera. Nie było dyscypliny.

Ja się ożeniłem w 1945 roku. Dostawałem pieniądze na siebie i dostawałem na żonę. Przysyłali żonie w guldenach już. Ja dostawałem żołąd w funtach. Dużo zarabiałem wtedy. Ja zarabiałem więcej niż po przyjeździe do Bredy w fabryce. Bo dostawałem dodatek na żonę.

Po przyjeździe do Bredy dwa miesiące nie pracowałem, chciałem odpocząć troszeczkę. Przyjęli mnie w tej fabryce farby. Właścicielem był Włoch z pochodzenia. 36 guldenów dostałem. To nie była taka dobra stawka. Sześć lat mieszkaliśmy u rodziców żony. Szło jakoś, takóś. Pomagałem im. Dostawałem węgiel, drzewo. Utrzymywało się. Po sześciu latach dostałem mieszkanie. Trudno było, bo trzeba było mieć najpierw jedno dziecko, żeby dostać mieszkanie, później dwoje dzieci. A do tego ja nie miałem holenderskiego obywatelstwa jeszcze wówczas. Ale z pracy, jako kierowca, często musiałem jeździć do Belgii, do Brukseli na lotnisko po towar. Jako

Polakowi nie wolno mi było. No i tak się „zholendrowałem”. Ze względu na pracę. Na każdy wyjazd, jako Polak, musiałem mieć przepustkę. Już mnie to męczyło.

Janusz Zuziak: I zdecydował pan wtedy, że przyjmie obywatelstwo holenderskie?

Jan Bula: Wtedy zdecydowałem się przyjąć obywatelstwo holenderskie. Po dziesięciu latach. W 1955 roku przyjąłem to obywatelstwo. Czekałem do tego czasu, że się coś zmieni.

W tej samej fabryce przepracowałem 32 lata. Najpierw na wozie ciężarowym. Do samej emerytury w tej samej fabryce. Całe życie zawodowe przepracowałem w jednej fabryce. Odchodząc z wojska nie chciałem iść do pracy na kierowcę. Miałem już dość tego jeżdżenia, zmęczony jeżdżeniem byłem. Ale dyrektor tej fabryki powiedział, że dostanie wóz i chciał, żebym ja na niego poszedł. Najpierw ciężarowym wozem jeździłem po całej Bredzie z materiałem. Myśmy również szkło mieli. Po wojnie wszystkiego było brak, popsute. Dużo szkła sprzedawaliśmy. Z Polski przychodziło szkło, takie druciane. Beczki z cementem czy z kredą z Polski przychodziły. To zrobiłem taką szafkę ładną z polskich beczek! Miałem tylko siekierę, młotek i więcej nic!

W tej fabryce dobrze mi szło. Najpierw na tym ciężarowym wozie, a później, jak kierowca dyrektora poszedł na emeryturę to dyrektor powiedział, że ja muszę ten wóz teraz przejąć. Nikt nie chciał być dyrektorskim kierowcą. 15 lat byłem na ciężarówce. To było życie. Na papieroski dało się zarobić. Klientowi się coś przewiozło. Było dobrze, ja nie narzekałem. Później, jak z dyrektorem jeździłem, miałem starą dyrektorową, to pojechaliśmy gdzieś, 10 guldenów dostałem. Tak się żyło!

Mimo, że się „zholendrowałem” zawsze będzie się tu Polakiem, zawsze słyszy się od innych, że jest się Polakiem.

Poszedłem na emeryturę w 1977 roku. Zwolnili mnie wcześniej na emeryturę, ale płacili mi do wieku emerytalnego jeszcze przez dwa lata normalną pensję. Ale na moje miejsce kogoś przyjęli. Przez dwa lata nic się nie robiło, a pensja cała szła!

Pierwsze dziesięć lat w Bredzie to były warunki bardzo trudne. To muszę powiedzieć. Z Niemcami nie było żadnego handlu przez dziesięć lat. Jak tylko te dziesięć lat minęło, już do celników na granicy zajęły wozy niemieckie z maszynami. Ameryka im bardzo pomagała! My tego materiału nie widzieliśmy w Holandii jeszcze, a w Niemczech już to było.

Janusz Zuziak: Jak został pan po zdemobilizowaniu przyjęty, tutaj na miejscu w Bredzie, przez rodzinę żony?

Jan Bula: Bardzo dobrze. Rodzina żony mi pomagała. Ojciec żony był krawcem. Później i ja im pomagałem, bo jak na tym ciężarowym wozie siedziałem to na przykład po koks jeździłem do koksowni, dostałem trochę i było czym palić. Drzewo było ze skrzyń na szkło. I się tak żyło z jednego dnia na dzień.

Janusz Zuziak: A proszę powiedzieć, jaki był stosunek miejscowej ludności holenderskiej do pana, w ogóle do polskich żołnierzy zdemobilizowanych osiadłych na terenie Holandii?

Jan Bula: Stosunek Holendrów do mnie był dobry. Ja mieszkałem w takiej okolicy, gdzie mieszkali przeważnie urzędnicy. Tam mieszkał inspektor Kasy Chorych, dyrektor zajmujący się mieszkaniami, dyrektor do spraw pracy, wielu innych urzędników. Kiedy stacjonowaliśmy w Bredzie chodziłem grywać w ping – ponga. Wiele rodzin zapraszało mnie, żebym u nich zamieszkał, chcieli mi dać kwaterę, ale ja miałem łóżko w samochodzie, takie podwieszane. Ale chodziłem z nimi pograć. Wtedy poznałem wielu ludzi, różnych dyrektorów i urzędników. Ja miałem papierosy, to jak graliśmy wieczorem, to cała paczka poszła. Kobiety też paliły!

Janusz Zuziak: Nie miał pan kłopotów związanych z nieznaną języka Holendrów?

Jan Bula: Nie miałem specjalnych kłopotów bo ja znałem niemiecki. Ze szkoły znałem. Ja się nie lubiłem w szkole niemieckiego uczyć. Nie lubiłem się w szkole uczyć, a dzisiaj żałuję. Nie lubiłem się niemieckiego uczyć, bo ja wstręt czułem. Ale jednak potrafiłem, umiałem niemiecki, bo i w Rumunii tłumaczem byłem, w wojsku byłem tłumaczem, wtedy, kiedy Niemcy się do niewoli dostali. W Holandii nie miałem kłopotów z porozumiewaniem. Na ślubie naszym jeden kapelan się żartobliwie zapytał żony czy ona wie co robi biorąc sobie za męża obcokrajowca. Proboszcz mnie pytał z kolei czy ja rozumiem wszystko. Ja rozumiałem. Jeden z tych holenderskich dyrektorów pytał mnie nawet kiedyś, czy ja nie byłem wcześniej w niemieckiej armii. Nie byłem. Dziwiło go to, że znałem niemiecki. To mi się w pracy bardzo przydało, bo mogłem na przykład kwity czytać. Wiedziałem jaki towar biorę. To mi szło dobrze, ja nie miałem trudności związanych z językiem. Ja sobie radziłem, mnie rozumieli. Mówili, że dobrym kierowcą byłem, że jak ja jadę to mogli spać. A jak inny kierowca jechał to nie spali. Drogi pilnowali, a u mnie nie. Czuli się ze mną bezpiecznie.

Na okupacji w Niemczech jeden kapitan miał ze mną jechać po zaopatrzenie. Kapitan Malinowski. Podszedł do samochodu i pyta, jak mam na imię. Powiedziałem, że Jan. On się zaczął wtedy zastanawiać, czy jechać ze mną czy nie. Mówi, że

dotychczas z każdym Janem miał wypadek. Ja mówię do niego: „Panie kapitanie spróbujmy. Zobaczmy, może się coś zmieniło”. Pojechaliśmy do Peltz i z powrotem. Pan kapitan był bardzo ostrożny. Jak za szybko jechałem to przyciskał mnie kolaniem! I co się okazało. Z powrotem przyjechaliśmy, a kapitan powiada: „No, to mam szczęście. Dziękuję za jazdę, ale pan jakoś inaczej jeździł od innych”.

W Bredzie też nie miałem trudności. Wypadków było dużo, ale ja nie miałem. Miałem trzy pontiacki. Ja tu trzy pontiacki zjechałem. W ciągu piętnastu lat, trzy osobowe. Z dyrektorami, po zakupy, kilka razy w tygodniu do Rotterdamu na posiedzenia jeździłem. Po gości na lotnisko do Amsterdamu, musiałem podjechać na Schipol (nazwa lotniska w Amsterdamie – przyp. J.Z.). To była robota, 60 tysięcy kilometrów rocznie jeździłem.

Janusz Zuziak: Jak wyglądały pańskie kontakty z rodziną w Polsce, już po wojnie?

Jan Bula: Jeszcze podczas wojny szukałem mojej siostry. Dowiedziałem się, że gdzieś tam w niemieckiej armii była. Znalazłem ją. Dowiedziałem się, że była w policji. W Hamburgu. W niemieckiej policji. Najpierw pracowała w Katowicach, w kawiarni Przybyła, na ulicy Świętego Jana. Później ją postawili na kasie. To takie było przymusowe troszeczkę. Ja się dziwię, tam ktoś ją namawiał, nalegał na nią. Przecież w domu mówiliśmy tylko po polsku, my byliśmy neutralni, my się polityką nie zajmowaliśmy, w politykę się nie bawiliśmy. I okazało się, że stąd ją wysłali do Berlina. Pisała na maszynie. Tak się do policji dostała. I w Kijowie była. W Kijowie była z niemiecką policją. Przyszła z powrotem, jak Niemcy uciekali, dostała się do Hamburga. Ja jej szukałem. Jak się wojna kończyła była jeszcze w policji niemieckiej w Hamburgu. Dostałem wiadomość z Czerwonego Krzyża, że siostra się tam, a tam znajduje. Pojechałem tam. Jeszcze przed zwolnieniem z wojska. Pojechałem w mundurze. Duży budynek. Policja. Niemiecka policja, ale tam jeszcze Anglicy też urzędowali. To było koło stacji w Hamburgu. Wszedłem do budynku, mówię po niemiecku do urzędnika. Wielkie wywołałem zdziwienie. Wskazali mi gdzie mam iść. Znalazłem ją. Okazało się, że poznała jednego Niemca, który był też w policji, ale wcześniej on był w przeciwlotniczej służbie. Pracował później w Interpolu. Szukali nawet SS-manów. Był z zawodu aptekarzem. Dobry chłop był. Przyjeżdżał tu później do mnie, wszystko OK. było. Nie miał pretensji do mnie, ja do niego nie. Więc tak było, takie jest życie.

Tu w Holandii najlepiej nas przyjęła średnia klasa. To byli sympatycy. Wiedzieli sporo o Polsce, o Polakach. Ta zwykła masa była chyba głupsza, jak my! Jak myśmy tu

przyszli to oni myśleli, że my z północy pochodzimy, nord pole, eskimosi! Nord pole! Nie wiedzieli, że Polska istnieje, tacy byli! My byliśmy w szkołach bardzo dobrze wyszkoleni. My wiedzieliśmy więcej. Bo ja wiedziałem o Holandii więcej jak oni! Ja wiedziałem, że Holandia była najmniejszym krajem i bardzo bogatym. Tak było, w handlu bardzo dużo znaczyli. Holendrzy sami o sobie tyle nie wiedzieli co ja o nich wiedziałem. Nie wiedzieli. Nord pole! Nie wiedzieli, że za Niemcami jest państwo! A myśmy wiedzieli o wszystkim. Ja wiedziałem z czego Holandia żyje, gdzie, jakie kolonie mają. Tego przecież w szkole uczyli! Średnia klasa traktowała nas bardzo dobrze. I robotę nam dali i wszystko dobrze było.

W gminie to nie miałem szczęścia. Jak chciałem mieszkanie to mi powiedzieli, że dopiero, jak drugie dziecko będę miał. Jakies marne mi chcieli dać, ale ja tego nie chciałem. Chciałem jakiś chlewik, żeby sobie kurkę czy królika uhodować. Tak byłem z domu nauczony. Dbałem sam o to. Ale nie mogłem tego tu dostać. Mieszkanie dostałem przez protekcję, dzięki znajomemu skarbnikowi z gazowni. Chodziłem do niego często wieczorem. Przez protekcję dostałem. A z gminy to nie! Miałem dwa prawa jazdy, ale żeby dostać holenderskie, to jeszcze musiałem egzamin zdawać! Dyrektor powiedział, że jak zdam egzamin to dostanę 25 guldenów. Zdałem egzamin!

Janusz Zuziak: Rozmawialiśmy o tym, jak pan odnalazł siostrę. A jakie były pana kontakty z rodziną w Polsce? Czy miał pan jakieś wiadomości o rodzinie z Polski w tym czasie, kiedy był pan w wojsku jeszcze?

Jan Bula: Nie. Nie miałem wtedy jeszcze żadnej wiadomości o rodzinie. Do Polski pojechałem dopiero po dziewiętnastu latach pierwszy raz. W wojsku będąc nie miałem żadnej wiadomości od rodziny, żadnych listów nie dostawałem.

Janusz Zuziak: Czyli przez okres całej wojny nie miał pan żadnej wiadomości o rodzinie w kraju?

Jan Bula: Nie miałem.

Janusz Zuziak: Czy rodzice pana żyli jeszcze w tym czasie w Polsce?

Jan Bula: Żyli. W 1963 roku matka zmarła. A mój ojciec zmarł w 1954. Dostał coś do oka. Z jednego oka do drugiego przeszło. Zmarł na raka.

Janusz Zuziak: Czyli przez okres wojny nie miał pan z rodziną w kraju żadnego kontaktu. Ojca już pan też nie zobaczył po wojnie?

Jan Bula: Nie, ojca już nie zobaczyłem.

Janusz Zuziak: A kiedy dostał pan z Polski jakiś pierwszy list od rodziny?

Jan Bula: Pierwszy list dostałem w 1948 roku.

Janusz Zuziak: Jak rodzina pana tu odnalazła? Skąd miała adres? Przez Czerwony Krzyż, przez wojsko?

Jan Bula: Matka do mnie napisała. Przez Czerwony Krzyż.

Janusz Zuziak: Gdzie pan dostał ten pierwszy list, tutaj w Bredzie już?

Jan Bula: Tak, tutaj w Bredzie. Matka napisała, że wszyscy żyją. Głównie to. Nie dużo pisała, bo nie wolno było.

Janusz Zuziak: Czy odpisał pan od razu na ten list?

Jan Bula: Ja odpisałem zaraz. Rodzice mieszkali w Katowicach pod tym samym adresem skąd do wojska poszedłem.

Janusz Zuziak: Czy później miał pan już normalny kontakt z rodziną?

Jan Bula: Później miałem kontakt. Jak jechaliśmy raz do Polski to musieliśmy się przesiadać na dworcu w Poznaniu. Jeden pociąg nam uciekł, więc czekaliśmy trzy godziny na następny. Wsiadliśmy do niego. Był bardzo zatłoczony. Siedzimy, podeszło do nas dwóch wysokich mężczyzn, elegancko ubranych. Podeszli i pytają dokąd jadę? Ja mówię, że do Katowic. „Na urlop?”- pytają. „Nie, nie na urlop. Moja matka zmarła, na pogrzeb jadę”. „Nie dobrze, nie dobrze”. – powiada jeden. „To nie wizyta”. -dodaje. Ale zaraz pyta, jak mi się powodzi w Holandii? Ja mu powiedziałem, że wszędzie trzeba żyć i wszędzie trzeba pracować.

Janusz Zuziak: Czyli oni wiedzieli, że pan z Holandii jedzie?

Jan Bula: Wiedzieli. Mówię do nich: „Może panowie się papierosem poczęstują?” Poczęstowałem ich, dałem im całą tą paczkę, bo jeszcze miałem więcej. Pytali jeszcze o rodzinę. Mówię, że rodzinę mam, ale matka zmarła. A oni wyciągnęli flaszeczkę i mnie poczęstowali. Ja powiedziałem, że jak oni się napiją, to ja się też napiję. Poczęstowali mnie. Łyknałem dwa łyki, oni sobie łyknęli. Powiedzieli: „Życzymy panu przyjemnej podróży, smutnej, ale żeby dalej przyjemna była”.

Jak byłem w 1952 roku to musiałem iść na ulicę Lumpy. W Katowicach na ulicy Lumpy był wywiad. Tam mnie przepytывali. Później poszedłem do głównego ich komendanta. To był socjalista z Francji. Sam mi to powiedział. Poczęstowałem go papieroskiem. Zapytałem czy się nie pogniewa, jak go poczęstuję? Dałem mu paczkę papierosów, pogadaliśmy. Życzył mi miłego pobytu. Powiedział mi, że o ile będę miał jakieś trudności to mam się do niego zgłosić. Powiedział, że mogę jeździć po całej Polsce.

Janusz Zuziak: I miał pan jakieś trudności później?

Jan Bula: Nie miałem żadnych trudności. Ale jak do domu przyjechałem do rodziny, to jeszcze policjant przyszedł. Trzeba się było meldować, zawsze się trzeba było meldować. Później już od 1958 roku miałem stały kontakt, jeździłem co dwa lata. Raz dostałem z fabryki wóz, musiałem tylko za benzynę zapłacić i ubezpieczyć się samemu. Mogłem nim do Polski pojechać. Później już kupiłem sobie własny wóz, volkswagen, też nim jeździłem. No i później opelkiem. Ja byłem jakieś 17 razy w Polsce.

Do emerytury to było takie normalne życie. Ale teraz żyje się lepiej niż wtedy, jak się pracowało, naprawdę. Po wybuchu wojny straciłem dużo pieniędzy. Ja straciłem i rodzice stracili. Ojciec przed wojną kanarki hodował. Jak kiedyś sprzedał dyrektorowi banku w Katowicach kanarka, to ja za te pieniądze mogłem ubranka kupić. Jak ojciec trzy kanarki na wystawę wysłał, trzy miejsca dobre zajęły. On lepiej o te kanarki dbał jak o swoje dzieci! Kanarki dostały jajka, a dzieci nie. Taki był.

Janusz Zuziak: Jak teraz, po tylu latach, ocenia pan swoją drogę wojskową? A drugie pytanie dotyczy pana życia cywilnego tutaj w Holandii, jak ten fragment życiorysu własnego by pan podsumował?

Jan Bula: Od czego tu zacząć? Chciałem się szybko zdemobilizować. Nie miałem już ochoty służyć dłużej. Zdemobilizowałem się w drugiej grupie. Tutaj pierwsze dziesięć lat to ciężka praca była. Bardzo ciężko trzeba było pracować. Nie dawali niczego za darmo, trzeba było pracować. Było tu wielu dobrych fachowców, którzy pozakładali interesy. Ale wszyscy prawie fachowcy szybko zmarli. Krawiec był dobry, zmarł. Ze Śląska był. Tapicer był jeden, zmarł. Jeden taki to chciał interes ze mną założyć. Farmę indyków chciał założyć. Jeden miał restaurację. Niektórzy pili za dużo. Wszystko przepili, zmarnowali, stracili. Różni ludzie są.

Tak się żyło. Jedno dziecko, drugie dziecko. Dzieci szły do szkoły. Cały dzień pracowało się.

Janusz Zuziak: Czy dzieci jeździły z państwem do Polski?

Jan Bula: Dzieci jeździły. Już nawet po polsku umiały. Wyrosły, uczyły się zawody zdobyły. Jedna z córek tańczyła w zespole polonijnym. Tak tańczyła, że ja się bałem, że się rozbije kiedyś. Pan koniuszek prowadził zespół polonijny, później zaś konkurencje otworzył pan Cuber, „Mazura” założył. Już zmarł. Syn jego teraz prowadzi.

Janusz Zuziak: A jak wyglądał pana kontakt z życiem polonijnym, z organizacjami polonijnymi? Czy pan działał w nich?

Jan Bula: Jak pracowałem w fabryce to poznałem jednego gościa, który grał w siatkówkę. Zastanawialiśmy się czy nie można by tu drużyny siatkówki założyć.

Założyłem najpierw drużynę z Holendrami. Ale przecież z Polakami też wypadało drużynę założyć! I założyłem drużynę z panem, Brzozowskim. On też był w Dywizji Pancerniej. Brzozowski Henryk z Poznania. Mieszka w Bredzie przy ulicy 267 Wilderen. Mieliśmy zebranie i ja zaproponowałem jemu prowadzenie drużyny. Bo ja powiem szczerze, ja nie potrafię za bardzo prowadzić spraw administracyjnych. Ja lubię robić to co umiem. Najpierw chciałem założyć towarzystwo sportowe, gimnastyczne. Chciałem przyciągnąć młodzież do gimnastyki. Żeby się rozwijała fizycznie. Jeden się zgłosił.

Z Bronowskim założyłem później piłkę nożną. On był długo prezesem, też już zmarł. Z Brzozowskim założyliśmy natomiast siatkówkę. Jego żona pracowała w tutejszej Izbie Handlowej. Miała kontakty. I on to organizował. Ja organizowałem zawsze wóz, piłki, takie rzeczy. On miał więcej czasu, pracował na lotnisku. Dobrze to organizował, ale później trochę to podupało. Już trzeba było wszystko na swój koszt załatwiać i organizować. Wyjeżdżało się. Mieliśmy już w 1952 roku drugie miejsce w siatkówce w Utrechcie. Rozgrywki były. Drużyna istniała pięć lat. Po pięciu latach zakończyło się, bo ja już nie miałem możliwości.

Janusz Zuziak: W którym roku założyliście panowie tą drużynę?

Jan Bula: To było już w 1949 roku. Brzozowski był dobrym organizatorem. Drugi to był Ludwik Staszek. Rozgrywki były pierwszorzędne! My biliśmy wszystkich! Później trochę się to popsuło, za dużo ludzi chciało decydować. Jeden odszedł, drugi odszedł. Holendrzy byli, też odeszli. Pięć lat wytrzymaliśmy. Amerykanie tu byli, robili zdjęcia. Ja się o wszystko starałem, miałem wóz, wszystko przewoziłem, załatwiałem. Sztangi w fabryce dałem zrobić. Praktycznie to utrzymywałem. Brzozowski był dobry w kontaktach z innymi. Ja tego tak nie umiałem. On miał dwie klasy gimnazjum. Dostał odznakę za założenie zespołu, a ja nie dostałem. Ale ja nie miałem nic przeciw temu, że on dostał, a ja nie dostałem. To była odznaką holenderskiego związku siatkówki. Taki Holender jeden chciał się wkupić i u nas to dalej organizować. Jemu załatwił ta odznakę. Brzozowski mi później mówił: „Jasiu, sorry, ale ja też nic nie mogę na to poradzić. On mi załatwił tą odznakę”.

Janusz Zuziak: Czy ta drużyna siatkówki była jedyną organizacją w której pan działał, czy może w innych też się pan jakoś udzielał?

Jan Bula: Nie, ja tylko w sporcie się udzielałem.

Janusz Zuziak: A jak wyglądały spotkania panów, żołnierzy 1 Dywizji Pancerniej, z okazji rocznic wyzwolenia Bredy. Kiedy zaczęły się takie zorganizowane obchody, składanie kwiatów?

Jan Bula: Takie większe to po pięciu latach, ale były też co roku organizowane różne uroczystości. Akademie robiliśmy. Polskie akademie. Przez jakiś czas jeden były żołnierz Dywizji na każdej akademii czytał referaty o konstytucji 3 maja. Jego nikt nie lubił, te referaty były nudne, monotonne. Ciągłe to samo. On tylko czytał, czytał, kobiety śpią, a on tylko czytał, czytał. Z tego nic nikt nie wiedział. Takie rzeczy to powinny być krótkie a węzłowate! Tak, żeby wszyscy słuchacze sobie to wpoili. A nie tak, że kobiety spały na tych akademiach. To był taki fanatyk, a dzieci, ani jedno w polskim towarzystwie nie działało. To było dla mnie właśnie takie dziwne.

Wywiad z Kazimierzem MATEJCZYKIEM przeprowadzony we wrześniu 1999 roku w Bredzie.

Kazimierz Matejczyk urodził się 4 marca 1921 roku w Radzionkowie. Matka: Gertruda z d. Kuklińska; ojciec: Jan.

Kazimierz Matejczyk: Trzy lata przed wojną mieszkałem w Ostromecku. W Ostromecku był Związek Strzelecki, do którego należałem. Później miałem kurs dla przedpoborowych do Obrony Narodowej. Kiedy się wojna rozpoczęła dostaliśmy rozkaz z Obrony Narodowej z Torunia ażeby się wycofywać. 3 września zostaliśmy załadowani na pociąg i z Torunia wyjechaliśmy na wschód. Jechaliśmy cały czas pod bombami, bo Niemcy nas bombardowali od samego początku do końca.

Przyjechaliśmy do Siedlec i w Siedlcach właśnie w tym samym dniu, w którym przyjechaliśmy, zaczęło się bombardowanie Siedlec. Niemcy zrąbali Siedlce w przeciągu trzech dni. 75% miasta było spalone. Z Siedlec, już był nasz transport rozbity, na pieszo mieliśmy się dalej wycofywać całą naszą grupą, to było ze 100 chłopaków, na wschód. Byliśmy koło Białej Podlaskiej a tam dowiedzieliśmy się, że Rosjanie już są w Białej Podlaskiej. Więc co teraz? Ten nasz cały komendant powiedział: „Chłopaki, to się rozsypujemy”. No i każdy się rozsypał.

Ja z moim kolegą mówię tak: „Chłopaki, na Zaleszczyki nie ma co iść”. Bo wtenczas była mowa o Zaleszczykach, czy to do Rumunii, czy to do Węgier uciekać, ale wszystko było już zastawione. Przez Niemców i przez Rosjan. Ja mówię, to idziemy z powrotem do Siedlec. I tam na przedmieściu Siedlec u takiego gospodarza żeśmy byli jakoś do początku grudnia. Tam żeśmy spali w stodole. Później zaczęły pociągi chodzić i pojechaliśmy do domu.

Przyjechałem do Ostromecka to już na mnie czekali. Musiałem się od razu u tego von Alfensleibena, to był taki kat Bydgoszczy, Fordonu i tak dalej, on był komendantem Selbstschutzu, i właśnie tam musiałem się u niego zameldować. Już wtenczas Selbstschutz był rozwiązany, Bogu dzięki, bo inaczej to by byli mnie też rąbnęli, tak jak wyrąbali zawiadowcę stacji, którego zastrzelili, komendanta poczty i innych jeszcze takich zasłużonych Polaków. Ze mną było jakoś tak, może byłem za młody jeszcze, ale od razu dostałem „smary” i musiałem iść na jeden z jego majątków, pracować przymusowo.

Dostałem się właśnie do Grzybna, do Unisławia. Mam jeszcze Arbeitsbuch, w którym jest napisane, że jestem obywatelem polskim. Nikt lepiej nie mógł wiedzieć, że jestem Polakiem, jak Niemcy. To jest jeszcze wystawione na początku 1944 roku. Tam pracowałem aż do tego czasu, kiedy zabrali mnie do niemieckiego wojska. Mnie zabrali do niemieckiego wojska, a brat siedział w Mauthausen. Został zabrany 10 maja 1940 roku, został aresztowany, został zabrany Dachau. Mam tutaj pocztówkę, odbitkę pocztówki, którą pisał 22 czerwca 1940 roku do swojej opiekunki, ciotki Marty. Na niej jest napisane po niemiecku, że ciotka nie powinna jeszcze do niego pisać, dopóki nie dostanie od niego powiadomienia. Bo on wiedział, że będzie jeszcze przeniesiony do Mauthausen. W Mauthausen był jeszcze, jak ja szedłem do niemieckiej armii. Tak rozbijali Niemcy rodziny polskie. Na przykład taką powiem historię. Ciotka miała pięciu synów. Niemcy po wkroczeniu dwóch zastrzelili na policji, trzeciego zabili po jakichś trzech miesiącach, jeden syn był w Anglii w lotnictwie polskim, a najmłodszego syna zabrali do niemieckiej armii. I już nigdy nie wrócił, bo padł na rosyjskim froncie. Tak Niemcy rozbijali całe rodziny. Jednego zabili, innego wzięli do niemieckiej armii.

Dostałem się do tej niemieckiej armii i - Bogu dzięki – na moim powołaniu było napisane „Afrikakorps”.

Janusz Zuziak: Kiedy pan dostał powołanie?

Kazimierz Matejczyk: W czerwcu 1942 roku. Ja byłem taki zadowolony że jadę na zachód, że jadę do kultury, bo już wtenczas były bardzo ciężkie walki na wschodzie, bardzo duże straty mieli Rosjanie, bardzo dużo Polaków już poginęło, tych, którzy już w niemieckiej armii byli, Ślązaków, których zaciągali prędeż do niemieckiej armii. Ale, że ja mieszkałem na Pomorzu to później mnie wzięli.

Przyjechałem do Kostrzyna. W Kostrzynie był 50 pułk strzelców pancernych. Dostaliśmy uzbrojenie na front, moździerze rosyjskie, 12 centymetrowe. To były trzy kompanie tych moździerzów. Niemcy pozmieniali w rosyjskich moździerzach celowniki, pozamieniali na swoje. Oni w Rosji zdobyli bardzo dużo broni.

Janusz Zuziak: Czyli to była broń zdobyczna, a nie przed agresji niemieckiej?

Kazimierz Matejczyk: Tak, to była broń zdobyczna. Niemcy mieli tylko 10 centymetrowe moździerze, a rosyjskie były 12 centymetrowe. Niemcy utworzyli taki batalion, który się „Einheit Glosner”. Nas, ten batalion, wysłali najpierw do Neapolu. W Neapolu byliśmy prawie trzy miesiące i potem samolotem przetrzucili nas do Tunezji. W Tunezji byliśmy w Niebieskich Górach, około 100 kilometrów na południe od Tunisu. Tam, w tych górach mieliśmy wspierać spadochroniarzy, którzy tam bronili dostępu. To

było pod koniec stycznia 1943 roku. Na froncie w Tunezji byłem do 12 maja 1943 roku, kiedy się już skończyła bitwa o Afrykę.

Byliśmy w niewoli w Pontoufas, pod gołym niebem. Byliśmy w niewoli francuskiej. Mam jeszcze list, który pisałem w 1943 roku do ciotki, że jestem we francuskiej niewoli. List jest z 18 maja 1943 roku. Dzień po tym jak to pisałem, przyszli, dwóch Polaków z Legii Cudzoziemskiej i jeden francuski oficer i wołali po polsku: „Polacy, którzy się tu znajdują, mogą wyjść o godzinie trzeciej przed bramę”. Jak ja to usłyszałem to już nie czekałem na trzecią godzinę, tylko poszedłem od razu, bo sobie pomyślałem, że jak Niemcy się dowiedzą o tym co oni tu krzyczą to będzie mi trudno wyjść. Zabrałem swoje klamoty i od razu pod bramę. I pod bramą czekam. Francuzi zrobili taki duży namiot.

Janusz Zuziak: Jak pan szedł z tymi, jak pan to określił „klamotami”, pod bramę, to czy Niemcy widzieli pana, wiedzieli już o co chodzi, jak reagowali?

Kazimierz Matejczyk: Wiedzieli. Ale pod tą bramą było się już bezpieczniejszym. Bardzo dużo Polaków jeszcze nie zdołało wyjść, dopiero później. Na przykład mój kolega nie wyszedł, nie mógł wyjść, bo się bał. Bał się i dopiero wyszedł po trzech miesiącach, kiedy ten obóz zlikwidowali i w inne miejsce przeszedł. Przeszedł w inne środowisko i wtenczas uciekł. Wtenczas się przyznał.

W tym namiocie, o którym wspominałem, siedziało dwóch oficerów polskich. Podawało się swoje nazwisko, mówiło się skąd się pochodzi, gdzie się mieszkało i trzeba było podać dwóch świadków, którzy mieli poświadczyć, że jest się Polakiem. To było takie pro forma bardziej. Ale ja już miałem w Edynburgu kuzynkę, która w 1939 roku zdążyła uciec przez Węgry do Francji i z Francji do Anglii. Ona studiowała medycynę. Powiedziałem o niej, podałem jej nazwisko. Jednego świadka trzeba było podać z zachodu, jak się miało, a drugiego w Polsce. Z Polski podałem swojego opiekuna. No i na tym się skończyło. Wyszliśmy z obozu, każdy pozrywał te niemieckie „orzelki”. Francuzi myśleli, że pójdziemy do Legii. Zaczęli nam dawać jedzenie, opowiadać, że w Legii jest dobrze, ale do Legii się nikt nie kwapił. Więc myśmy po trzech dniach zostali zabrani przez tych polskich oficerów z Legii i pieszo, grupka jakieś 300-400 chłopów, poszliśmy na stację kolejową Maisoncarre, załadowali nas na węglarki i skierowali do Algieru. Tam był punkt zborny wszystkich Polaków, którzy się meldowali do Wojska Polskiego.

Jak żeśmy tymi węglarkami jechali to koło kolei przeważnie były lotniska. Amerykanie, jak się tylko dowiedzieli, że tymi węglarkami jadą Polacy z niemieckiego

wojska to nam rzucali czekoladę, papierosy i wszystko. I tak żeśmy dojechali do tego Algieru. W Algierze nas Amerykanie załadowali na ciężarówki i zawieźli na taką farmę St. Lion, jakieś 30 kilometrów od Algieru. Tam się właśnie zbierała cała ferajna.

Janusz Zuziak: Pamięta pan, kiedy to było?

Kazimierz Matejczyk: To było w czerwcu 1943 roku. Tam żeśmy leżeli w takiej winnicy i po paru dniach przyszła grupa może 60-70 chłopaków z Legii Cudzoziemskiej. Jeszcze w mundurach legionistów. Polaków, którzy się meldowali już w 1940 roku, po upadku Francji, do Legii Cudzoziemskiej. Trzeba nas było umundurować. Przywieźli mundury. Legioniści swoje mundury zrzucili, my swoje i już w mundurach angielskich jesteśmy aliantami!

Janusz Zuziak: Wróćmy jeszcze na chwilę do okresu pana służby w armii niemieckiej. Jak pan się czuł w momencie powołania w szeregi niemieckiego wojska?

Kazimierz Matejczyk: Ja się czułem bardzo dobrze wtedy, kiedy dowiedziałem się, że na zachód idę. Od razu krążyła mi po głowie myśl, że ucieknę. Ja zawsze myślałem o tym, żeby uciec. Ale uciec z frontu nie jest tak łatwo. Myśmy zawsze byli jakieś 2,3,4 kilometry za piechotą, to nie można było uciec. Tylko jak już potem człowiek widział, że już coraz gorzej z Niemcami na froncie, to się tylko myślało, żeby nie zginąć, żeby się człowiekowi coś nie stało, i tylko do niewoli chciało się dostać.

Janusz Zuziak: Kiedy wybuchła wojna czuł się pan przecież Polakiem i dostał pan wezwanie do armii niemieckiej. Czy pan zdawał sobie wcześniej sprawę z tego, że może zostać pan powołany do wojska niemieckiego?

Kazimierz Matejczyk: To odczucie było u mnie inne może, jak u tych którzy na front rosyjski szli. Ci, którzy szli na front rosyjski, byli tacy zawsze przygnębieni, każdy myślał o rodzinie, każdy myślał o tym co się teraz stało, dlaczego tam musi iść i tak dalej. Ale ja nawet się cieszyłem, że idę do tej armii, że ucieknę z tego dziadostwa tutaj i że dostanę się na zachód do polskiej armii, bo my wiedzieliśmy wszyscy, że była polska armia na zachodzie. Dlatego u mnie było to inaczej, jak u tych co szli na wschodni front.

Janusz Zuziak: Wiedział pan, że jest polska armia na zachodzie, ale również musiał sobie pan zdawać sprawę, że może się tak zdarzyć, że będzie pan zmuszony walczyć przeciwko tej armii polskiej. Zastanawiał się pan nad tym?

Kazimierz Matejczyk: Człowiek był za młody na to, aby to wszystko przemyśleć. Człowiek był za młody i już za dużo przeszedł w tych obozach, na tych przymusowych robotach i tak dalej. Człowiek był zadowolony, że z tego dziadostwa wychodzi. Jak

człowiek przyszedł na ten front to tylko myślał o tym, jak przeżyć. Bo to nie jest sztuka dać się zabić, ale przeżyć. Ten czas, w tej niemieckiej armii, to mi pomógł przeżyć dalsze losy frontowe, które tutaj były na froncie od Normandii do Wilhelmshaven.

Janusz Zuziak: Czy wtedy, kiedy był pan w szeregach armii niemieckiej pana koledzy wiedzieli, że jest pan Polakiem?

Kazimierz Matejczyk: Wiedzieli.

Janusz Zuziak: Jaki był ich stosunek do pana?

Kazimierz Matejczyk: Stosunek ich był dobry. Za wyjątkami. Byli tacy, którzy nas szykanowali, ale gros odnosiło się do nas normalnie.

Janusz Zuziak: Czy to było tak na przykład, że żołnierze odnosili się raczej normalnie a podoficerowie gorzej? Kto was traktował lepiej, a kto gorzej?

Kazimierz Matejczyk: Żołnierze odnosili się do nas normalnie, nie było też żadnych szykan ze strony oficerów. Najgorsze szykany spotykały nas ze strony podoficerów. Opowiem taką historię. Byliśmy w Neapolu. Tam był taki podoficer Meirenz i sierżant Hintz. To byli najwięksi polakożercy w mojej kompanii! Ja zawsze trzymałem sztamę z kolegami Polakami. Było nas około 10 czy 14 w całej kompanii. Byli tacy, którzy źle po niemiecku rozmawiali. Ja zawsze tam za nimi sztamę trzymałem. Ci dwaj podoficerowie mnie nienawidzili za to. Ten sierżant Hintz miał służbę, był podoficerem służbowym. Rano o 10 była zawsze zbiórka i trzeba było pokazywać wszystkie rzeczy, które mieliśmy na front, że wszystko masz w porządku i tak dalej. A ja miałem koszulę, która miał rozdarty taki winkiel. On patrzy na ten winkiel i za karę nie wolno mi było nigdzie wyjść. To była sobota. O godzinie 2.00 po południu musiałem się meldować z zaszytym winklem. Tak, jak mogłem zaszyłem. Poszedłem. A on wyciąga mi te nici tak ołówkiem i mówi, że to zaszyte jest do niczego. O 3.00 godzinie miałem przyjść z powrotem. Znowu zaszyłem, a on znowu z pyskiem na mnie, krzyczy, jak wariat i w tym momencie wchodzi dowódca kompanii. „Co tu jest, co tu jest?!” – pyta. A ja kopytami strzeliłem i do niego mówię, że my jako „westproisery” to jesteśmy szykanowani. Opowiedziałem, że zaszyłem swoją koszulę tak, jak mogłem i jestem szykanowany. „Kto was tu szykanuje?” – pyta dowódca kompanii. A mnie się tak wyrwało od razu, że podoficer Meirenz i sierżant Hintz. A on stoi, ten sierżant. Tak mi się wyrwało. A dowódca kompanii popatrzył się na mnie, ja na niego, i mówi, że mam odejść. Ja, kurcze pieczone, już do tego miasta nie poszedłem, bo potem sobie uświadomiłem co ja zrobiłem! Takie rzeczy, cholera jasna! Tych dwóch posadzić o takie rzeczy! Myślałem, że może za karę pójde do kompanii karnej albo co. Jezus

Maria, siedziałem na tym łóżku, aż się trzęsłem. Chłopaków nie było, była pusta sala. W niedzielę rano znowu była zbiórka. O 9.00 rano. Zawsze mówili, że o tej godzinie jest msza święta w takim kościele, a o tej godzinie w takim. Kto chce może iść. Był już prawie koniec zbiórki, a ten kapitan, dowódca kompanii wyszedł i mówi, że doszło mu do uszu, że tutaj są niektóre grupy szykanowane przez inne grupy. Powiedział, że jak się jeszcze raz o tym dowie to ci, co to robią „będą przechodzili przez gówna”. Mówił, że stoimy przed wyjściem na front i w szeregach żołnierskich ma być jedność. Ja tu słucham co się dzieje. Potem, jak się rozeszli, to ci Niemcy między sobą dyskutowali podekscytowani, zastanawiając się co się stało. Ja tym moim chłopakom wszystko wcześniej opowiedziałem, tak, że my wiedzieliśmy o wszystkim. Oni się tam naturalnie też dowiedzieli, ale ten pierwszy odruch był taki silny. To jest wydarzenie, które najmocniej utkwilo mi z tego okresu w głowie.

Jak jeszcze w Kostrzynie byliśmy to też miałem taką historię. Mieliśmy ćwiczenia. Ja miałem na plecach taka lawetę ciężką. To trzeba było upaść i wstać, upaść i wstać. A ja tak po polsku, po rusku, po niemiecku kłąłem na wszystkie strony świata! A taki podoficer szedł za mną i mówi: „Co ty tak klniesz?” Ale to był taki podoficer, który nic z tego nie robił. Ten podoficer Gul się nazywał. I kurczę pieczone, ja się zameldowałem rano na drugi dzień chory. Że plecy mnie boją, tego owego. Bo to tak nie jest łatwo znaleźć nic! Potem przyszedłem na salę, położyłem się na łóżku, a o wpół dwunastej przyszli ci z ćwiczeń. Krzyczeli w niebogłosy, że ich tak ten dowódca kompanii wymordował na tym poligonie. A ja sobie pomyślałem, że to pewnie za te moje kłątwy tam ich tak mordował!

Po jakichś 14 dniach pobytu w Algierze zostaliśmy załadowani na okręt. Na tym okręcie było bardzo dużo żołnierzy alianckich, angielskich, amerykańskich, którzy do Anglii szli itd. I my Polacy. Każdy z nas, każdy z tej grupy dostał miejsce na tym pokładzie, na którym był, w razie jakiegoś alarmu, na przykład lotniczego musieliśmy w tych kamizelkach ratunkowych stać w tym miejscu wyznaczonym, a gdyby nasz okręt dostał to mieliśmy skakać do wody. Pod pokładem natomiast była grupa Polaków z niemieckiej armii, ale jeszcze w niemieckich mundurach. I im nie wolno było wyjść na pokład, ażeby nie drażnić tych aliantów. My byliśmy już w mundurach alianckich i nam było wszystko wolno a im nic nie było wolno. No ale myśmy tam do nich chodzili, bo myśmy już do kantyny chodzili, to przynosiliśmy im papierosy, to i owo. A te chłopaki robili takie różne pierścionki z niemieckich menażek aluminiowych. Dopłynęliśmy do Gibraltaru.

W Gibraltarze staliśmy znów coś około 10 dni. I wtenczas zabił się Sikorski.

Janusz Zuziak: Ile taka podróż z Algieru do Gibraltaru wówczas trwała?

Kazimierz Matejczyk: To nie było długo, jakieś parę dni. W tym czasie zabił się Sikorski.

Janusz Zuziak: Wtedy byliście panowie na Gibraltarze właśnie?

Kazimierz Matejczyk: Na Gibraltarze, na pokładzie statku czekaliśmy na konwój.

Janusz Zuziak: Czy pamięta pan, jak się nazywał ten statek, którym płynęliście?

Kazimierz Matejczyk: Nie, nie pamiętam.

Janusz Zuziak: Ale czy to był statek francuski czy angielski?

Kazimierz Matejczyk: Angielski. Na drugi dzień po wypadku widzieliśmy, jak holowali kadłub tego samolotu Sikorskiego. Parę dni później doszła jeszcze do nas grupa Polaków, którzy dostali się z Hiszpanii do Gibraltaru. W tej grupce był też brat mojego późniejszego dowódcy plutonu, Okszy-Czechowski. Też tam był w tej grupie. No i płynęliśmy do Anglii.

Janusz Zuziak: Zatrzymajmy się na chwilę jeszcze przy pańskim pobycie na Gibraltarze. Czy dowiedział się pan o wypadku Sikorskiego jeszcze tego samego dnia?

Kazimierz Matejczyk: Jeszcze tego samego dnia.

Janusz Zuziak: Czy wówczas pan wiedział, że to był Naczelnny Wódz, Premier polskiego rządu?

Kazimierz Matejczyk: Tak, naturalnie.

Janusz Zuziak: Jak pan przyjął taką tragiczną wiadomość, jak pan to przeżył?

Kazimierz Matejczyk: Ja powiem jedną rzecz. Jako żołnierz i jako młody człowiek to o polityce itd. jeszcze nie wiedziałem za wiele. Dopiero później zacząłem się polityką interesować, jak byłem już w Szkocji. Rok byłem w Szkocji, wtedy przyjechał do nas Mikołajczyk, przyjechał inny jakiś wódz, itd. To później chłopacy o tym gadali to się człowiek też interesował. Ale wtenczas nie, wtenczas to wiedziałem, że Naczelnny Wódz zważył się i jeszcze potem powiedzieli, że to był jakiś zamach czy coś takiego. W moich oczach, jak później zacząłem się tą polityką interesować, doszedłem do wniosku, że tym zamachem, że w tym zamachu maczali Polacy ręce. Bo tak, Sikorski wracał z Bliskiego Wschodu, od Andersa. Tam Sikorskiego nie lubili, jakiś bunt tam przygotowywali. On tam pojechał i to wszystko zażegnał, uśmierzył. Mnie się zdaje, że tam ta polska „dwójka” czy buntownicy coś tam zrobili. Bo nikomu nie zależało na zachodzie, ażeby Sikorskiego zgładzić. Anglikom nie, Amerykanom nie, nikomu, nikomu. Po śmierci Sikorskiego zaczął się bałagan. A największy bałagan, który się stworzył, to było po

znalezieniu grobów katyńskich. Po znalezieniu grobów katyńskich rząd polski zaczął się stawiać i roszczenia miał w stosunku do Rosji, a na to Stalin tylko czekał. Churchill jeszcze Mikołajczykowi powiedział: „Zważajcie co robicie, bo zemsta Stalina będzie straszna”. Tak powiedział Churchill Mikołajczykowi. No i tak się stało. Rosjanie tylko na to czekali. Zerwali stosunki dyplomatyczne z rządem polskim na zachodzie, nie mieli żadnych zobowiązań.

Z Gibraltaru przyплыliśmy do Anglii, do Liverpoolu. 28 lipca. Wcześniej to musiało być, przepraszam, bo w dokumentach mam wpisana datę wcielenia do polskich sił zbrojnych poza granicami kraju 25 lipca 1943 roku. Od razu wsadzili nas w pociągi i zawieźli do Szkocji. Przyjechaliśmy do Kinkubrenbridge. Tam właśnie była zbiórka tych wszystkich Polaków, którzy się tam meldowali. 1 Dywizja wtenczas była na ćwiczeniach w Anglii z Kanadyjczykami, w Yorkshire.

My byliśmy tam pierwszym transportem Polaków z niemieckiej armii, od Rommel'a. Po kilku dniach naszego tam pobytu mieliśmy wybór broni. Kto chciał to mógł iść do lotnictwa, czy do piechoty czy do innego rodzaju wojska. Ja sobie pomyślałem, że nie będę fruwał tylko zamelduję się do Dywizji, do 1 pułku pancernego. No i po kilku dniach szły ciężarówki do Anglii i 10 nas było, którzy się zameldowali do 1 pułku pancernego.

Przyjechaliśmy tam, przywitał nas dowódca pułku Aleksander Stefanowicz. Mieliśmy między nami takiego, który już był kapralem w wojsku polskim przed wojną. On nas ustawił w rząd i zameldował 10 Polaków z armii niemieckiej.

Janusz Zuziak: A jaki stopień pan miał w armii niemieckiej?

Kazimierz Matejczyk: Starszego strzelca. I w polskiej armii też dostałem starszego strzelca. Stefanowicz zaczął z nami rozmawiać, pytał kto skąd jest, itd. Rozdzielił nas do 1, 2 i 3 szwadronu dowodzenia. Ja dostałem się do 2 szwadronu 1 pułku pancernego. Po tych wszystkich ćwiczeniach wróciliśmy do Szkocji. W każdym pułku mieliśmy takiego oficera oświatowego, to był taki powiedzmy doradca, takim był opiekunem. Nazwiska jego nie pamiętam. Powiedział nam, że zapowie w pułku, iż są tu Polacy z armii niemieckiej i kto będzie chciał będzie mógł przyjść posłuchać naszych relacji.

Po południu w specjalnym baraku, w którym była kantyna, odpowiadaliśmy na pytania tych wszystkich, którzy przyszli na to spotkanie. Jeden z tych słuchaczy na przykład był z Dąbrowy Chełmińskiej, w której znajduje się Ostromecko, i ja jemu opowiadałem o tym, co się działo w Ostromecku i okolicy po wejściu Niemców.

W Szkocji byliśmy do wyjścia Dywizji na front. Byłem w szwadronie strzelcem działowym. Całą wojnę przeszedłem w tym czołgu, jako działowy.

W pierwszym dniu natarcia 2 pułk (pancerny – przyp. J.Z.) dostał „po kulach”. Na drugi dzień nasz pułk szedł jako czołowy. Na wzgórzu 111 już straciłem czołg. Niemcy mi go trafili z działa przeciwpancernego. Ładowniczy miał zdruzgotaną nogę. Ale z tą zdruzgotaną nogą jeszcze wyskoczył, zanim czołg się zaczął palić. Dostaliśmy najpierw amunicję dymną. Pod działem mieliśmy ułożoną amunicję dymną, a amunicja dymna to nie jest taka, jak normalna amunicja, jej ładunek nie był taki duży. Amunicja dymna miała wylecieć jakieś 200 metrów przed czołg i dymić. Ten ładunek tak od razu nie wybuchał, dopiero później.

Raz jeden nie wykonałem rozkazu. Myśmy byli jako szpica. Uderzyliśmy na Niemców nawałą ognia. Jakies 3 kilometry żeśmy szli do przodu, dwoma szwadronami, pierwszy i drugi. A trzeci nas miał w razie potrzeby wspomagać. Tą nawałą ognia wpadliśmy w stanowiska niemieckiej artylerii przeciwpancernej. Niektóre działa porozjeżdżaliśmy! Ale Niemcy widzieli, że nie mamy piechoty i nie było komu brać tych jeńców. Poddali się, może ze 100 żeśmy tam złapali, ale Niemcy to nie dzieci. Jak widzieli, że nie było piechoty to z powrotem rzucili się do tych dział i w nas prali, jak cholera! 1 szwadron poniósł większe straty, jak my, 2 szwadron. No i nie było rady, trzeba było się wycofać. Jak my wyskoczyliśmy z płonącego naszego czołgu kiwa do nas zastępca dowódcy pułku, Malinowski, który parę minut później zginął, jego czołg został trafiony i wszystko się spaliło, cała załoga się spaliła. I on też. Jak wyskoczyliśmy z naszego płonącego czołgu to on kiwał do nas i pytał, z którego szwadronu jesteśmy i czy wszyscy wyskoczyli. Ja powiedziałem, że wszyscy wyskoczyli. Jakies 50 metrów dalej kiwa do mnie dowódca szwadronu kapitan Bartosiński. Już miał przy sobie grupkę Niemców. Jakies 4 podoficerów miał i resztę, z drugiej strony czołgu, jakąś grupkę 10 normalnych takich „soldatów”. I krzyczy do mnie: „Bierz tych czterech do krzaków i kula w łeb!” A mnie tak błyskawicznie przemknęła po głowie myśl: „Dostałeś się do niewoli i nikt do ciebie nie strzelał, a teraz ty musisz strzelać”. I odruchowo krzyknąłem do niego: „Tego nie robię panie kapitanie!” A to był taki brutal ten Bartosiński. Straszny morderca! Później co on wyrabiał, to są rzeczy, których nawet trudno opisywać! I wtedy krzyczy do mnie: „To bierz tych resztę i do tyłu z nimi”. Ja mówię: „Nie mam broni”. Bo wyskoczyłem z czołgu, a w nim miałem stena, pistolet maszynowy, pod siedzeniem. On mi rzucił pistolet na dół, jakiś niemiecki, który już gdzieś złapał. Ja zarepetowałem, strzał

oddałem i mówię do tych Niemców, żeby szli przede mną po śladach czołgów. Do tyłu. Sam ich prowadziłem pod taki kościółek, gdzie rano o 10.00 wieżę zwałem. A jak tą wieżę zwałem temu kościółkowi to sobie pomyślałem: „Teraz cię Pan Bóg pokarze”. Takie rzeczy wtedy człowiekowi przychodzą do głowy. Tam już grupa jeńców była, większa. Ja ich tam do tej grupy jeńców dołączyłem. Usiadłem na takim płotku z kamieni, który otaczał ten kościółek, już ciemno się zrobiło. Zastanawiałem się gdzie tu iść teraz. No i tak zasnąłem trochę. Od razu szarpie mnie jeden. To był taki oficer, który jeepem tych wszystkich rozbitków zbierał. No i zabrał nas, już miał trzech na jeepie, i pojechaliśmy jeszcze trochę do tyłu, a tam już była reszta z mojej załogi. Już nas trzech wtedy było. Potem dostaliśmy innego dowódcę plutonu i innego radiooperatora, w miejsce tego, któremu nogę strzaskało. Na drugi dzień pułk stał pod St. Silvan. O 11.00 godzinie rano już nowym czołgiem dołączyliśmy do szwadronu. W tym samym dniu kapitan Bartosiński został zastępcą dowódcy pułku i dostał majora. Przychodzi do mnie: „Gdzie masz mój rewolwer?! Czemuś nie wykonał mojego rozkazu?!” Ja mówię: „Panie kapitanie tego nie będę robił, nigdy”. On na to: „Na drugi raz kula w łeb”.

Ten major Bartosiński bardzo źle się zachowywał względem jeńców niemieckich. Strzelał do nich, pozwalał innym na zastrzelenie. Na moich oczach został zabity tutaj pod Bredą. Przed ostatnim natarciem na Bredę.

Wieczorem artyleria tak nas okładała, że zaopatrzenie nie mogło dojść. Czekaliśmy do rana. Z rana przyjechały ciężarówki, a jeszcze artyleria biła i nas okładała. Ciężarówki z paliwem stały w pewnym oddaleniu od czołgów i nosiliśmy te bańki benzyny i amunicję na plecach do tych czołgów, bo staliśmy w polu, a tam samochody nie mogły wjechać, bo grzęzły. Ja z tymi dwoma bańkami lecę i znowu przychodzi taka seria artyleryjska, ja te bańki puszczam i na ziemię. Podnoszę się potem po tych wybuchach i słyszę jak krzyczą: „Bartosiński dostał, Bartosińskiego zabili!” Jeden pocisk artyleryjski prawie przed jego nogami wybuchł. Z niego został tylko taki strzęp ludzki. Koło niego przeleciałem z tymi bańkami, nawet nie patrzyłem. Pomyślałem tylko znowu, że pewnie Pan Bóg go pokarał, albo co.

Janusz Zuziak: Mówił pan o tym Bartosińskim, że on bardzo źle traktował jeńców niemieckich. Czy w pana najbliższym otoczeniu to był jakiś wyjątkowy przypadek czy też było ich więcej? Czy był pan świadkiem innych tego rodzaju zachowań?

Kazimierz Matejczyk: Byli tacy, którzy chcieli się mu przypochlebić. Na przykład na wzgórzu 262, na tej „Maczudze”, jak to się wszystko skończyło to on zrobił sobie taki sąd nad jeńcami. Popatrzył jacy i skąd są. Kto mu się nie spodobał został zastrzelony w

takich krzakach. Strzelał plutonowy Kasiński, który zmarł trzy lata temu. Brał ich w te krzaki i tam rozstrzeliwał. Siedziałem przed czołgiem, zapaliłem właśnie papierosa, gdy ktoś prowadził Niemca do tych krzaków, żeby go tam zastrzelić. Już kupa tych Niemców w krzakach zastrzelonych leżało. I teraz ten Niemiec idzie przez te trupy, ten Kasiński kopnął go w tyłek, a ten po tych trupach się już prawie zataczał, a ten Kasiński mu w plecy trzy strzały tak rębął. Ten Niemiec, który szedł to był jakiś Ślązak, albo coś, bo potrafił po polsku. I krzyczy, mówi: „Nie strzelajcie mnie, przecież moja matka jest Polką, ja umiem pacierz polski!”. Takie rzeczy były. Wie pan, człowiekowi to aż nie wiadomo co się robiło. Ja tego nie mogłem robić.

Janusz Zuziak: Równie dobrze pan mógł być na miejscu tego żołnierza niemieckiego. Tylko przypadkowo trafił pan przecież do Afryki, mógł pan walczyć tu w Europie.

Kazimierz Matejczyk: No właśnie. U nas w armii niemieckiej w Afryce nie wolno było jeńców rozstrzeliwać. Nie wolno było jeńcowi nic zabrać. To była jedyna jednostka niemiecka (Afrikakorps – przyp. J.Z.), która przestrzegała konwencję genewską. Czy pan w to wierzy czy nie wierzy, była przestrzegana od najwyższego stopnia do najniższego. Może dlatego mnie to było tak trudno znieść.

Byli też inni, którzy chcieli się Bartosińskiemu przypochlebić. Był taki plutonowy Mateńko. Prowadzili jednego Niemca, a jemu się nie spodobał, wyszedł z czołgu i zastrzelił go.

Janusz Zuziak: Tak bez powodu?

Kazimierz Matejczyk: Bez powodu, bez niczego. Bo mu się zachciało postrzelać. Tacy byli. Niektórzy się chcieli przypodobać temu Bartosińskiemu, bo to chojraki byli.

Janusz Zuziak: Podał pan kilka tych przykładów. Ale proszę powiedzieć, jaki był stosunek większości żołnierzy do takich zachowań?

Kazimierz Matejczyk: Większość była przeciwna temu. Maczek też był bardzo przeciwko temu. Na Bartosińskiego nikt się nie odważył jednak poskarżyć, bo każdy się go bał. On był nieobliczalny. Ten człowiek był nieobliczalny. On był w stanie nawet zastrzelić jakiegoś człowieka.

Ostatni mój kierowca zapasowy w moim czołgu, Borkowski, chłopak, który przyszedł z Rosji. Młodszy był ode mnie o jakieś 4 lata. Na „Maczudze”, już po tym wszystkim, Borkowski miał jeńca, chyba jakiegoś oficera. Bartosiński krzyczy do niego: „Wacek zastrzel go!” A Borkowski, chłopak młody jeszcze, wyciągnął ten

rewolwer, ręce mu się trzęsły. Bartosiński widzi, że mu się tak ręce trzęsą, wyrwał mu ten pistolet z ręki i pach, pach, zastrzelił sam tego oficera.

Janusz Zuziak: Jak to było komentowane przez pana kolegów, żołnierzy?

Kazimierz Matejczyk: Wszyscy powiedzieli, że Bartosiński znowu się wygłupił. Powiem dalej. 10 pułk strzelców kannych zdobył przeprawę na rzece Dievse(?). Nasz pułk wszedł w to miejsce i w nocy żeśmy czekali już na drugiej stronie do dalszego natarcia. Jako szpica szliśmy później. Niemcy uciekali taką szosą jeszcze. I on (Bartosiński - przyp. J.Z.) wybrał się z takim sierżantem, nazwiska jego już niestety nie pamiętam, i mnie zabrał. Taką zasadzkę urządził, w rowie żeśmy stali. Jadą dwa samochody niemieckie i z tyłu jedzie motocyklista. Strzelanina, ja ze stena strzelam, on też. Jeden samochód przejechał, a drugi samochód wjechał w rów. Tam byli ranni ci niemieccy. Zatrzymał się też ten motocyklista. A ten Bartosiński jak lew wyskoczył z tego rowu i do tego samochodu! I tak w tym samochodzie wszystkich zastrzelił! Ten motocyklista sierżant niemiecki to go błagał o łaskę, żeby nie strzelał go, że ma dzieci. Na kolanach podchodził do niego: „Ja mam dzieci, ja mam żonę dzieci! Nie strzelajcie mnie!” I tak na kolanach do niego podchodził. Widział, że to był ten morderca, bo widział, jak on tam zastrzelił tych niemieckich oficerów w samochodzie. Jak ten Niemiec podchodził do niego na tych kolanach to w zęby go, w twarz kopnął, raz, drugi, znowu go kopnął i później zastrzelił go. Ja widziałem to, ja widziałem! Później krzyczy do mnie: „Skawińszczak po koc. Wszystkie ich rzeczy do mnie przynieść!” Ja się Skawiński nazywałem. (Po przyjęciu do wojska polskiego żołnierzom polskiego pochodzenia, służącym wcześniej w armii niemieckiej, zmieniano, ze względu na bezpieczeństwo ich rodzin pozostających pod okupacją niemiecką, nazwiska – przyp. J.Z.).

Wziąłem koc i z tym naszym sierżantem żeśmy wyciągali wszystko co ci Niemcy mieli i na ten koc układaliśmy. Krew, wszystko lepiło się w palcach, cholera jasna. Temu motocykliście zabrałem dla siebie zapalniczkę. Taką miał ładną zapalniczkę, którą dla siebie wziąłem. Jak wszystko pozabieraliśmy, koc zawinęliśmy i zanieśliśmy temu Bartosińskiemu pod czołg. Ja poszedłem z powrotem do mojego czołgu i tak siedzę na tych kółkach, wszystko sobie przemyślam. Biorę papierosa i tą zapalniczką zapaliłem tego papierosa. I sobie tak myślę: „Obrabowałeś trupa! Czy cię Pan Bóg nie ukarze za to? Może cię zabiją?!” I wie pan, wyrzuciłem tą zapalniczkę z tego czołgu w pieruny daleko! Takie człowiek ma uczucia na froncie, takie rozmaite myśli. To

wszystko tak mi w oczach stało! Że tego człowieka niewinnego tam zabił! A ja jeszcze mu zapalniczkę wziąłem po śmierci! Wyrzuciłem ta zapalniczkę.

Ja miałem pseudonim „Skawiński”. Chodziło o to, że w razie gdybym dostał się do niewoli, żeby rodzina nie miała jakichś kłopotów. Imię zostało to samo, Kazimierz. Ja sobie pseudonim „Skawiński” wybrałem bo przed wojną czytałem taką nowelę „Latarnik”(mowa tu o noweli Henryka Sienkiewicza, „Latarnik” – przyp. J.Z.). I właśnie tam był taki Polak, który się tułał, tułał, później dostał pracę w Anglii, jako latarnik.(Bohater noweli H. Sienkiewicza pracował jako latarnik w Ameryce Północnej, a nie w Anglii – przyp. J.Z.) Kiedyś mu tam przysłali polskie książki i jak je czytał to zasnął, nie zapalił tej latarni. Taka nowela była. I to mi tak w głowie zostało, ten Skawiński.

Janusz Zuziak: Czy pseudonim każdy mógł sobie sam wybrać?

Kazimierz Matejczyk: Tak, każdy mógł sobie sam wybrać.

Janusz Zuziak: Wróćmy jeszcze na chwilę do czasów, kiedy pan był w Anglii. Rok pan spędził w Anglii, od 1943 roku do 1944 roku, do inwazji w Normandii. Czy wtedy dokonywał pan jakichś porównań między armią niemiecką a wojskiem polskim?

Kazimierz Matejczyk: My z niemieckiej armii, jak szedł oficer to salutowaliśmy, a drudzy się śmiali. „Co ty myślisz, że w niemieckiej armii jesteś? – tak mówili. Dowódcy pułku czy innemu wyższemu stopniowi ta tam się kiwnęło, ale tak oficerom to się nie salutowało w polskim wojsku na zachodzie. Taki oficer, czy to porucznik czy podporucznik to byli koledzy. Najbardziej demokratyczna jednostka na zachodzie to właśnie była 1 Dywizja Pancerna. Bo tam była samodyscyplina. Samodyscyplina. Żołnierz wiedział co ma robić, a oficer też wiedział, jak podchodzić do chłopca. Tam była samodyscyplina. Tam oficer na przykład mówił: „Kazik, zrobisz to i to”. Mówiło się tam językiem zrozumiałym, językiem koleżeńskim. Dowódcy pułku to się mówiło „Panie pułkowniku”, dowódcy szwadronu mówiło się „Panie kapitanie”, ale tak to nie. Nie salutowało się. To była najbardziej demokratyczna jednostka wojska polskiego na zachodzie.

Janusz Zuziak: Czy mógłby pan powiedzieć coś na temat porównania czy też swoich uwag na temat wyposażenia, umundurowania, opieki medycznej, kulturalno-oświatowej. Jak to wyglądało w porównaniu z armią niemiecką?

Kazimierz Matejczyk: To było podobnie jak w niemieckim wojsku. W niemieckim wojsku nie było tego oficera oświatowego, tego nie było. Ale umundurowanie i tak

dalej było podobnie. Był też „gaciowy”, tak jak w polskim wojsku. Była obsługa medyczna, był lekarz pułkowy.

Janusz Zuziak: Jak by pan porównał poziom tego wszystkiego, w armii niemieckiej i wojsku polskim. Czy w armii niemieckiej było na przykład lepsze wyposażenie jeśli chodzi o umundurowanie, o takie rzeczy podręczne, konieczne żołnierzowi?

Kazimierz Matejczyk: Jeszcze w 1942 roku można to porównać z angielskim wyposażeniem, bo wtenczas Niemcy jeszcze mieli, w 1942 i 1943 roku, jakieś zapasy, umundurowanie było dobre. Umundurowanie w niemieckiej armii, wyposażenie i broń wtedy były na pewno na poziomie angielskim. W armii niemieckiej nie było tylko tego oficera oświatowego, który zajmował się żołnierzami. Do niego można było przyjść ze skargą, do niego można było przyjść po radę.

Janusz Zuziak: A taka sprawa jak wyżywienie. Czy różniło się ono?

Kazimierz Matejczyk: To straszne było. Na przykład, alianci wylądowali w Afryce w październiku czy w listopadzie, nie pamiętam, a myśmy jeszcze byli w Neapolu. Tam przyszli jeńcy angielscy. Oni się z nas śmieli. Byliśmy w koszarach na takim przedmieściu Neapolu. Ci jeńcy też tam mieli barak. Oni mieli już swoją kuchnię i swoje zaopatrzenie i sobie sami zarządzili, sami gotowali itd. A my, kawałek końskiego mięsa i kartofle w łupinach, a oni się z nas śmieli. Oni mieli już kompoty z brzoskwiń, a nam aż ślina na to szła! Ale nie wolno było nic brać, ażeby nie pokazać, że masz ochotę na to. Myśmy tam przechodzili koło nich, człowiek by chciał tego zjeść, bo to było coś lepszego. W Niemczech żeśmy nawet pomarańcze nie widzieli w tych latach wojennych. Jak żeśmy przyjechali do Neapolu, wylądowaliśmy się, a tam był taki sad z pomarańczami, które właśnie dojrzewały. No to my przeskoczyliśmy przez płot i zbieraliśmy te pomarańcze, a włoskie dzieci tylko na nas krzyczały: Niemiec złodziej, Niemiec złodziej!”

Janusz Zuziak: Czy pamięta pan numer swojej jednostki niemieckiej?

Kazimierz Matejczyk: 50 pułk piechoty zmotoryzowanej w Kostrzyniu. Tam później po wojnie Rosjanie stali w tych koszarach. Teraz też, jak byłem w Polsce z synem to przejeżdżaliśmy przez Kostrzyn i widziałem ten cały bajzel tam.

Janusz Zuziak: Wracając jeszcze do pańskiego rocznego pobytu w Szkocji, jakie ma pan wspomnienia jeśli chodzi o kontakty z ludnością cywilną, ze Szkotami z Anglikami, czy z wojskowymi angielskimi? Jak to wyglądało?

Kazimierz Matejczyk: Z ludnością cywilną to mieliśmy mało styczności. Bo tak, w dzień byłeś w koszarach, byłeś na ćwiczeniach itd. Wieczorem, jak nie byłeś zmęczony,

no to poszedłeś do kina. Człowiek poszedł do kina, po kinie gdzieś tam poszedł piwo wypić, a po tym piwie kupił sobie „fish and chips” i znowu do koszar. Jak się pojechało na jakiś urlop czy weekend, czy to do Edynburga czy to do Glasgow to miało się więcej styczności z tymi ludźmi, z tymi Anglikami. Każdy żołnierz aliancki był aliantem. Żołnierz angielski na przykład to ci tam nic nie zawadzał. Czasami, jak się gdzieś bili, to Kanadyjczycy zawsze pomagali Polakom! Oni na tych Anglików tak patrzyli troszkę z boku. Przezywali ich czasem „Żydami”.

Janusz Zuziak: Skoro jesteśmy, trochę niefortunnie, przy problemie Żydów, czy u pana w jednostce występowały przejawy zachowań antyżydowskich?

Kazimierz Matejczyk: Nie, nie było tego u nas. Mieliśmy w szwadronie może trzech czy czterech Żydów, ale oni tak samo jedli wieprzowinę, jak my! Nie można powiedzieć, żeby były jakieś antyżydowskie zachowania ze strony Polaków. Nie było tego. Antysemityzm rodzi się tam, gdzie jest większość Żydów. Na przykład, gdzie był największy antysemityzm przed wojną w Polsce? W tych miastach, gdzie było dużo Żydów i gdzie była duża konkurencja dla Polaków ze strony żydowskiej. Tam się rodził właśnie ten antysemityzm. Tak jak u nas w Dywizji nie było dużo Żydów to nikt się nie wywyższał. Wiem, że po wojnie dużo Żydów uciekło do Antwerpii na przykład. Tam było duże centrum żydowskie. Tam uciekali. Ale w Szkocji nie słyszałem o ucieczkach.

Janusz Zuziak: Czyli w 1 Dywizji, w pana pułku nie było, nie słyszał pan o zachowaniach antysemickich?

Kazimierz Matejczyk: Nie, w naszym pułku, w naszym szwadronie nie było tego. W naszym pułku na przykład lekarz był Żydem. On później był pierwszym, który się z Niemką przyjaźnił. Znał niemiecki.

W pułku moim był rzut walczący, który się nazywał rzutem „W”, z kolei rzut „A” dowoził benzynę, a rzut „B” to były kancelarie itd. Ten ostatni był 30 km za frontem. Ja miałem szczęście, że byłem zawsze w rzucie walczącym. Cały szlak przeszedłem w pierwszej linii, walczącej, a nie na tyłach.

Pod Baarle-Nassau na przykład szliśmy do ataku, jesteśmy jakiś kilometr przed miastem w takich szuwarach. No i tam wjechaliśmy w takie mrowisko piechoty niemieckiej. Mieliśmy ze sobą piechotę, ale co się jakiś piechur podniósł, to pac, już leżał. A ten dowódca nasz krzyczy do nas, do kierowcy: „Julek! Do przodu!” Przejechaliśmy jakieś 50 metrów przed piechotę, tak strzelam po tych szuwarach, a ten dowódca, porucznik Eliasiewicz, wyciąga z tych skrzynek ręczne granaty i rzuca tak w prawo i w lewo na tych Niemców. I w pewnym momencie z ckm po czołgu seria leci,

kula uderzyła w peryskop i kawałek szkła uderzyło tego porucznika w twarz i krew mu tak ciekła, patrzy na mnie i mówi: „Kazik, te skurwysyny strzelają na mnie!” Wziął papierosa, zapalił sobie i mówi: „Zaraz zobaczę z której strony strzelają”. Wychodzi tak kawałek głową, wychylił się lekko i znowu taka seria. Kula przeszła mu przez głowę, przez hełm. Zwalił się mi na plecy, zablokował czołg. Nie mogliśmy wykręcić, musieliśmy się wycofać powoli z tych szuwarów jakieś 100 metrów do tyłu. Ja jeszcze miałem taśmę w ckm, więc jeszcze z niego strzelałem w prawo i w lewo. Ładowniczy przeskoczył przez tego trupa, lekko się wychylił i kierował mnie. Tak żeśmy się wycofali.

Pochowaliśmy tego człowieka koło drogi. Powiedzieli nam, żeby go pochować i czekać na innego dowódcę plutonu. Czekaliśmy całą noc, do jakiejś 11.00 w południe. Przyszedł drugi, porucznik Oksza-Czachowski.

W tym czasie szwadron nasz jeszcze liczył dziewięć czołgów, z moim, z szesnastu, które powinien mieć. Uderzaliśmy pomiędzy Baarle-Nassau a Alphen, a tam stały działa przeciwpancerne i jeden „Ferdynand”. Podpuścili Niemcy te nasze czołgi i ustrzelili cztery. Cztery czołgi się spaliły. Później wycofali się do rejonu zabudowań, reszta tych czołgów. Cztery czołgi. W tym momencie, jak oni się wycofywali, to myśmy przyjechali. Tak, że miałem szczęście, że nie byłem przy tych czterech.

Dzień przed tym, w to miejsce w szuwarach szedł inny czołg i po jakichś 300-400 metrach dostał strzał. I tam właśnie jeden został zabity, a drugiemu, kierowcy, urwało obydwie nogi. On szedł w nasze miejsce. Miałem wtedy wielkie szczęście, że nas to ominęło. Znowu takie szczęście miałem w Gertruidenberg. Tu jest takie miasteczko. Dzień przed tym było rozpoznanie 10 pułku strzelców konnych. Tam właśnie został ciężko ranny porucznik Rożek, który później był profesorem na uniwersytecie w Colorado. Bo on w Ameryce dokończył swoje studia, był profesorem politologii i był doradcą Reagan`a (Ronalda Reagan`a, prezydenta USA w latach 1981-1989 – przyp. J.Z.), kiedy Reagan jeszcze był senatorem. On jeszcze żyje, ten Rożek, ja mam z nim kontakt. A na drugi dzień taka grupka sześćdziesięciu, zdaje się pluton dragonów i pluton saperów oraz trzy czołgi, przyjeżdżamy pod tą miejscowość i tam przyleciała taka kobieta, córka jakiegoś pastora, i powiada, że tam widziała, jak Niemcy miny kładli. No i chłopaki te miny rozbroili. Mieli te detektory. Ale mogli nimi tylko wąski kawałek sprawdzić. Więc myśmy przejechali tak górą, pierwszy czołg, jedziemy tą drogą, a ta droga to były takie duże kamienie, takie czworokątne kamienie. I ten jeden z saperów widzi, że piasek spada na dół pomiędzy tymi kamieniami i od razu zatrzymali

ten drugi czołg. Myśmy przejechali przez gniazdo min przeciwczołgowych! Sześć min przeciwczołgowych! Przejechaliśmy. Żadna nie wybuchła. Jakby te miny były wybuchły to by z tych ludzi nic nie zostało, a nasz czołg to by z półtora metra do góry poszedł! Co za szczęście! To wydarzenie z tymi minami jest opisane w jednej holenderskiej książce.

Warto opowiedzieć jeszcze jedną historię z walk na „Maczudze”. Na „Maczugę” ja wjechałem jako czwarty czołg. Pierwszy czołg, który wjechał na maczugę to był porucznik Brzozowski. I potem dwa czołgi z jego, tj. trzeciego plutonu, który wtenczas szedł jako szpica. A my, jako czwarty czołg drugiego plutonu wjechaliśmy na „Maczugę”. Zajęliśmy stanowiska nad drogą, jakieś 30-40 metrów od drogi. No i po pół godziny wyszła kolumna niemiecka, która uciekała tymi drogami, które żeśmy zablokowali. No i ta kolumna wyszła na nas na odległość 40 metrów. Wtenczas zaczął strzelać cały pułk. Cały pułk zaczął strzelać w tą kolumnę, na odległości dwóch kilometrów. W przeciągu pół godziny została ta kolumna cała spalona. Te dwa czołgi, które na 40 metrów od nas wyszły zostały ustrzelone przez 17 funtówkę z mojego plutonu. Dowódca tej 17 funtówki jeszcze żyje, Stachu Gudowski, mieszka w Anglii. I on właśnie te dwa czołgi z tej 17 funtówki ustrzelił. On był wtenczas plutonowym. Właśnie na tej górcie, przy tym strzelaniu w tą kolumnę staliśmy tak blisko tej drogi, że reszta pułku nas wspomagając, z rozrzutu dział padały też pociski na nas. Zabili nam zastępcę dowódcy naszego plutonu, plutonowego Walanieckiego. Odłamkami od tych granatów z naszych czołgów został zabity. Dostał w głowę odłamkiem. Takie jest szczęście żołnierskie, że został zabity przez własnych ludzi. No, a nam się udało przeżyć na tej całej górcie. Tam była kupa roboty. Za naszymi czołgami leżeli ranni. Wszystko było tak zbite w jedną kupę.

Po tej bitwie zostaliśmy zluzowani. 22 sierpnia byliśmy na takim odpoczynku, gdzie dochodziliśmy do siebie. Każdy się umył, oporządził, do ładu doprowadzał. Po czterech zdaje się, a może po pięciu dniach, znowu się zapakowaliśmy i dalej. Przez Francję Niemców gonić. Zawsze tak do południa to żeśmy Niemców mieli już dogonionych, trochę się ich postrzelało. Większe opory dostaliśmy rozkaz wymijać i dalej iść, jak najdalej, jak najprędzej. Te resztki, pozostałe punkty oporu to potem się likwidowało, jak już były okrążone. Taki dobry opór to się zaczął dopiero koło Abbeville. Tam zaczęły się już trochę cięższe walki. Później znowu trochę się zmieniło. W Belgii to też jeszcze dobrze szło. Do Kanału Alberta. Do Baarle-Nassau i do Kanału Alberta. Na przykład przez Gandawę, Ypres żeśmy zdobyli. Ciężki opór zaczął się znowu na Kanale

Alberta. Tutaj mieliśmy do czynienia z rozmaitym wojskiem. Byli SS-mani holenderscy, byli Niemcy, byli Rosjanie. Jednego człowieka z holenderskiej dywizji SS wzięłem do niewoli. To było na pograniczu holendersko-belgijskim jeszcze. Już byliśmy gotowi do dalszego marszu przylatuje taki jeden proboszcz i mówi, że wie gdzie jest jeden Niemiec. Wzięłem stena i po takich schodkach do góry idę i mówię do tego Niemca: „Hej, chodź tu bracie bo dla ciebie już się wojna skończyła”. A on krzyczy: „Dobra, dobra, ja zaraz przyjdę!”. Ale to trwało jakiś czas i właściwie ten Mateńko, który wcześniej tamtego jeńca zastrzelił, krzyczy: „Na dół pieruna, jak mu tam serię zaraz puszcę po dachówkach to on przyjdzie na dół”. Ja mówię: „Czekaj”. Poszedłem znowu do góry i mówię mu, żeby schodził. „No, już idę”- mówi. I zszedł. Ja stałem już na dole, zszedł. Wzięłem mu karabin, rzuciłem na ziemię i mówię do niego: „Masz jeszcze więcej broni?” Odpowiedział, że nie ma. Sprawdziłem go. Dwa granaty miał w kieszeni! Może zapomniał o nich, nie wiem. To był taki smarkaty, może 19 lat miał, może dwadzieścia. Ja wtenczas jeszcze nie wiedziałem, że to byli ochotnicy. Myślę sobie czy go teraz zastrzelić czy co. Wzięłem te dwa granaty i wyrzuciłem. A ten Mateńko krzyczy: „Na bok cholera jasna, to ja go zastrzelę!”. Ja mówię: „Czekaj, tu się nie strzela”. Wzięłem go i odprowadziłem do dowódcy pułku, do Stefanowicza. Pomyślałem, że jak już tam jest, to może przeżyje.

Janusz Zuziak: Jak wyglądały pana kontakty z Holendrami w okresie prowadzonych na terenie tego kraju walk?

Kazimierz Matejczyk: Z Holendrami mieliśmy dużo kontaktów w okresie, kiedy staliśmy na łożu zimowym. Kiedy zdobyliśmy Moerdijk i oczyściliśmy dostęp do portu w Antwerpii, do Skaldy, to wtenczas był tutaj zastój w działaniach frontowych. To już było po lądowaniu w Arnhem. Walki się już nie toczyły na północy od Mozy, bo tam już kapitulowali Niemcy, a myśmy tutaj stali (rejonie Bredy – przyp. J.Z.) do 1 kwietnia 1945 roku. Mój pułk stał w Bredzie tylko dwa dni. Dwa dni, kiedy żeśmy Bredę zdobyli. Po dwóch dniach ruszyliśmy dalej i nigdy już do Bredy nie wracaliśmy, bo zawsze byliśmy na pozycjach nad Mozą, nad Skaldą, w rejonie Bergen-op-Zoom, St.Philips. Na przykład w Saint Philips Niemcy byli bardzo aktywni i wyszli raz w sile kompanii, bo im chodziło o to, żeby wysadzić w powietrze wieżę wodną, która stała tam nad wałami, jako punkt obserwacyjny. W bitwie, którą toczył tam 1 szwadron, zginął porucznik Andrzej Poniatowski, to był jeden z członków rodziny księcia Józefa Poniatowskiego. On był z tej rodziny z Francji. Przyszedł z Francji, jako ochotnik do nas. W tych rodzinach Poniatowskich było zawsze tak, że najstarszy syn musiał być

zawodowym oficerem. On tam właśnie dostał z ckm-u w czasie walki i zanim go przywieźli do Bergen-op-Zoom do szpitala, to zmarł.

Janusz Zuziak: Generał Franciszek Skibiński w swojej książce „Axel” opisuje taką sytuację, kiedy to po zdobyciu Axel część jednostek dywizji wyszła nad Skaldę. Okazało się wtedy, że niemieccy żołnierze z rozbitych oddziałów usiłują za wszelką cenę przepłynąć Skaldę na barkach, pontonach itp. Część żołnierzy niemieckich powskakiwała do rzeki, która na mieliźnie podczas odpływu sięgała im zaledwie do kolan, i żołnierze ci rozsypali się w tyralierę, zaczęli brodzić w kierunku Bevelandu. Wtedy właśnie załogi czołgów 10 pułku strzelców konnych zaczęły strzelać do nich. To wydarzenie obserwowało wielu zgromadzonych na brzegu Skaldy Holendrów. Holenderski historyk Jos von Alphen opowiadał mi także, że wezwano również samoloty, aby dokończyły dzieła zatapiania niemieckich niedobitków uciekających na barkach.

Kazimierz Matejczyk: Samoloty to zawsze na swoje kopyto działały. Zawsze miały jakieś zadania poza frontem także do zrobienia. Czasami na nas walili.

Janusz Zuziak: Był pan świadkiem takiego wydarzenia. Jak pan to wspomina?

Kazimierz Matejczyk: Leciały nad nami samoloty i zaczęły w pewnym momencie zrzucać bomby na Niemców. Ale zrzucali coraz bliżej nas. Ktoś mówi, że Niemcy strzelają z moździerzy. Ja mówię: „Ładne mi moździerze!” Siedzę na czołgu i patrzę do góry, a Niemcy zrzucali z samolotów z dużej wysokości pozłotka, chcąc w ten sposób zakłócić działanie naszych radiostacji! Ja tak siedziałem i patrzyłem, jak te pozłotka lecą. Widzę, jak idzie z pięćdziesiąt bombowców, otwierają się klapy, a ja łups do czołgu! Reszta załogi była pod czołgiem, a ja w czołgu. I wałą te bomby, pryska wszystko dookoła.

Janusz Zuziak: Czy już wtedy wiedział pan, że to były bombowce własne a nie niemieckie?

Kazimierz Matejczyk: Tak, oczywiście już wiedziałem, że to były nasze bombowce! Coraz bliżej nas zrucano te bomby. To nas jeszcze jako, tako zbombardowano, mieliśmy kilku zabitych i rannych. Ale cały pułk artylerii kanadyjskiej wymordowali! Takie coś! Ja wtedy myślałem, że to już koniec z nami!

Jak z kolei przeszliśmy tą rzekę Dievse (?) szliśmy dalej, jako szpica. Natknęliśmy się na „Tygrysy”. A „Tygrysa”, to tam szkoda gadać, nie można było ustrzelić. Chyba, że znienacka, z jakiejś krótkiej odległości, bo inaczej to „Tygrys” trzy „Sherman`y” rozbił z odległości kilometra. Trzy! I przyszły „Hurricane`y” niszczyć te czołgi. Myśmy

dostawali każdego dnia takie płachty kolorowe, które wyrzucaliśmy na silnik. Jeszcze w dodatku dostaliśmy takie pudełka z dymem. Trzeba było taką zapalka to przeciągnąć, wyrzucić i był dym. Zielony, czerwony, to zależy, bo każdego dnia był inny kolor. Patrzę się cholera jasna, że jeden już pikuje na nas. Jeszcze to pudełko rzuciłem z czołgu, ale to już nie pomogło. I on tak ckm po tym naszym czołgu i cztery rakiety puścił. One miały po cztery rakiety. Te cztery rakiety jakieś dziesięć metrów przed moim czołgiem eksplodowały. Cała załoga była w tym czasie w czołgu. Cholera, klęliśmy na nich! Skurczybyki, skurwysyny i tak dalej! Oni by już spadli z samych tych naszych klątw na ziemię! No i tak to idzie na tym świecie.

Jak staliśmy nad Mozą to zawiązały się właśnie te więzy polsko-holenderskie, bo większość z nas to siedziała tutaj na jednym miejscu, a myśmy tak i tu i tam byli. W Dongen (obecnym miejscu zamieszkania pana Kazimierza Matejczyka – przyp. J.Z.) byłem dwa razy. Raz 14 dni żeśmy tutaj stali. Później nad morzem w Waalwijk(?), jakieś 60 kilometrów stąd.

Janusz Zuziak: Mieszkaliście panowie wówczas na kwaterach u Holendrów?

Kazimierz Matejczyk: Tak, na kwaterach u Holendrów albo w szkołach, w jakichś większych budynkach. Pierwszy raz jak tu byłem to byłem u Holendrów, a drugi raz już w szkole, tutaj w Dongen.

Janusz Zuziak: Chciałbym na chwile powrócić jeszcze do tego wydarzenia, które miało miejsce nad Skala, do ostrzeliwania niemieckich żołnierzy uciekających na barkach, wpław itp. Czy pan brał w tym udział?

Kazimierz Matejczyk: Z naszego pułku to 1 szwadron brał w tym udział. Tam jeszcze było więcej, był 24 pułk ułanów, 10 psk tam strzelał w te barki. Ja sam nie brałem w tym udziału. Nie strzelałem. Myśmy byli w innym miejscu.

Janusz Zuziak: Może porozmawiamy chwile na temat pobytu panów w Bredzie, w okolicach, w czasie leża zimowego. Jak się wam tutaj żyło, jakie były kontakty z miejscową ludnością, jak to wyglądało w takim codziennym życiu?

Kazimierz Matejczyk: Te kontakty były nawiązywane przez to, że byliśmy u tych ludzi zakwaterowani. Na przykład jak żeśmy Moerdijk zdobyli to później jeszcze byłem w Moerdijk trzy tygodnie na posterunku. Później dopiero przyjechaliśmy na odpoczynek do Oosterhout. My mieliśmy na czołgu taką skrzynię amunicyjną niemiecką, do której kładliśmy na przykład resztki naszej żywności, puszki z masłem, puszki z jedzeniem. Jak żeśmy tam przyjechali do tych ludzi tośmy im to wszystko dali. Bo tutaj było bardzo źle. Jak różnica była. W Belgii było wszystko, a przeszło się

granicę i tu niczego nie było. A w Belgii było wszystkiego pod dostatkiem. Może z Belgii Niemcy wszystkiego nie wywieźli, ale to tak, jakby ręką uciął.

Polacy rozdawali to wszystko. Nie sprzedawaliśmy, bo na przykład Kanadyjczycy to sprzedawali. Jak to sprzedał, miał pieniądze i posłał do domu. W armii kanadyjskiej byli przeważnie ochotnicy. W tej ochotniczej armii tych żołnierzy to było najwięcej z niskich szczebli społecznych, z biedniejszych regionów. Oni dlatego to sprzedawali, a myśmy rozdawali. Dlatego zrobiliśmy sobie tutaj dobrą markę. Na przykład, jak byliśmy tutaj w Dongen, a pojechaliśmy na placówkę nad Mozę, bo zawsze z każdej załogi czołgu trzech szło na placówkę, a reszta czekała w czołgu, tutaj z tyłu, to dostawaliśmy tak z 10 tych specjalnych pocisków oświetlających Mozę. To były takie pociski na spadochronach. Spadochron miał jakieś 5 –6 metrów kwadratowych jedwabiu. A tutaj te kobiety nie miały co ubrać, nawet koszul nie miały, sukienek. Umawialiśmy się wtedy, że na przykład ja dzisiaj biorę dwa spadochrony, inny też, i tak połowę zawsze poobcinaliśmy i zabraliśmy do domu. A pocisk po wystrzeleniu poszedł do góry, zapalił się i spadał natychmiast do wody. Myśmy wtedy mówili, że nie otworzył się spadochron. Cholera, znowu się nie otworzył!

Więzy polsko-holenderskie stale się zacieśniały. Na przykład, jak pierwszy raz przyjechałem do Holandii to widziałem, taki czarny chleb mieli. A ja z moim kolegą to po pół chleba zawsze dostaliśmy na dzień. Poszliśmy na kolację do domu holenderskiego, wzięliśmy cały chleb i daliśmy tym ludziom. W tym domu radość była! Papierosy dawaliśmy, rum przydziałowy z racji tygodniowej, itd. Wszystkim się dzieliliśmy z nimi.

1 kwietnia (1945 roku – przyp. J.Z.) ruszyliśmy na północną Holandię. Na północy zdobyliśmy największą niemiecką stację radarową, którą używali do wystrzałów rakiet „V” 2. Dywizja nasza była pierwszą jednostką aliancką, która odcięła Niemców od Niemiec i Holandii. Doszliśmy, jako pierwsi do Dollart. (Pierwszy patrol z 3 brygady strzelców dotarł do zatoki Dollart już 15 kwietnia, rozpoczynając spychanie nieprzyjaciela do morza – przyp. J.Z.). Później cała dywizja odwróciła się do Niemiec.

W Niemczech nie było tak łatwo, bo Niemcy odgryzali się do ostatniego dnia, to trzeba im przyznać. Fanatycy, fanatycy do ostatniego dnia! Jakies może kilka dni przed zakończeniem wojny idziemy do ataku i przed nami dostaje strzał jeden czołg. I ten czołg się pali. To było po południu Ale my dostaliśmy rozkaz przejść dalej, koło tego palącego się czołgu. To była taka wąska dróżka. My byliśmy jako trzeci czołg. Ja tak do chłopaków mówię: „Kurczę pieczone, ten pierwszy czołg przejedzie, drugi może też,

ale nam to już chyba przypieprzą!” Bo to tak człowiek dumiał o tym, jak to może być. Ten pierwszy to zniecka przeszedł i już koło tego ognia płonącego czołgu poszedł. My musieliśmy zjechać tak trochę przez rów, znowu do góry i dalej. I tak się stało. Nasz czołg idzie, jesteśmy poza tym czołgiem palącym się może jakieś 10 metrów, trzask, huk! Ale czołg idzie dalej. Bo jak czołg dostanie wewnątrz to wybuchają iskry, to jest jedna kupa iskier w czołgu. Nic się nie stało i jedzie dalej ten czołg. Jakies 100 metrów, może 200 metrów ujechaliśmy, stanął czołg. Wyskakujemy z niego. Jeden z wózków na których opiera się gąsienica, górny wózek tylny był wyrwany, pancierz otwarty i benzyna wyleciała. Koło tego płonącego czołgu ta benzyna jeszcze się nie zapaliła, a ciekła w tamtą stronę! Bogu dzięki.

Stoimy tam. Przez radio Kowalczyk, dowódca szwadronu, mówi, że mamy tam zostać i czekać. Czekaliśmy całą noc. Rano przychodzi Kowalczyk i kazał mi iść do czołgu Gwoździa, któremu zachorował strzelec. A ten nasz czołg do Aschendorf do reperacji poszedł. Czołg poszedł do reperacji. Ja zostałem na froncie, a reszta załogi z czołgiem do Aschendorf. Tam były kobiety polskie, z przymusowych robót. I tam hulaj dusza, piekła nie ma! A ja na froncie!

Janusz Zuziak: Prawie jak za karę. A czy pamięta pan dzień, w którym wkroczył pan na terytorium Niemiec?

Kazimierz Matejczyk: Nawet człowiek nie wiedział, kiedy wkraczał, nie wiadomo było gdzie granica była, itd. Bo myśmy wszędzie po tych bocznych drogach chodzili, nie tymi głównymi.

Janusz Zuziak: Ale chodzi mi głównie o pana wspomnienie o pierwszym okresie na terenie Niemiec.

Kazimierz Matejczyk: W pierwszym okresie pobytu na terenie Niemiec staliśmy przed Küsten Kanaal kilka dni. Kilka dni tam żeśmy stali przed tym kanałem. Człowiek chodził po tych gospodarstwach, bo tam tych Niemców już nie było, albo byli w schronach. Gdzieś tam mieli schrony podziemne. Nie było Niemców widać. Więc chodziliśmy po tych gospodarstwach bo oni chowali swoje szynki i wszystko chowali przeważnie do kominów tam gdzieś zawieszali, ażeby im tego nie zabrać. Ale myśmy to wszystko znaleźli!

Z takim Pelkowskim, ochotnikiem z Argentyny, idziemy na rabunek. Jesteśmy przed jednym z gospodarstw, wychodzi taki stary Niemiec, w drewniakach jeszcze i pyta czego szukamy? A ten Pelkowski jak mu wyrznął w zęby, chłop się tylko zawinał i przewrócił. A w tym momencie przychodzi taka dziewczucha, Polka, która tam pracowała

u niego. Mówi: „Panowie, nie bijcie go, to taki dobry był gospodarz dla nas”. A ten Pelkowski powiedział tylko: „Cholera jasna!”, wyciągnął paczkę papierosów i dał temu Niemcowi i poszliśmy. Takie były różne te spotkania.

Byli tacy, którzy kulę w łeb dostali. Jak ktoś na przykład z robotników przymusowych źle mówił o jakimś Niemcu to były samosądy. Słyszałem, że dragoni jednego w taką wodę wstawili i go zastrzelili. Były takie samosądy. Zawsze tak jest.

Niemcy zaczęli się pojawiać dopiero, jak zdobyliśmy jakiś teren i zostawiali już z tyłu za pierwszą linią. Ale ja byłem zawsze naprzodzie. Ja nie mogę powiedzieć o tym co się w tyle robiło. Ja mogę powiedzieć o tym co się robiło po kapitulacji. Po kapitulacji to musieliśmy cały dzień stać, nie wolno nam było pić, musiał każdy być trzeźwy. I potem żeśmy dostali rozkaz dalej iść. Na okupację. Myśmy poszli do Wittmund. Nie do Wilhelmshaven. Do Wilhelmshaven poszedł 24 pułk ułanów i inni, a myśmy poszli do takiego miasteczka Wittmund, to jest na południe od Wilhelmshaven.

Niemcy się tam porozbrajali sami i później do obozów, do Anglików poszło wszystko. A myśmy się tam sami rozgościli.

Janusz Zuziak: Jak to miasteczko wyglądało? Czy było bardzo zniszczone, czy w dobrym stanie zachowane?

Kazimierz Matejczyk: Tam gdzie myśmy przechodzili wszystko było bardzo zniszczone. Wie pan dlaczego? To tak było. Jak żeśmy szli, jakieś gospodarstwo spotkaliśmy, dawaj, granat na „delay”, to jest na opóźniony zapłon, i w to gospodarstwo. Czy tam ktoś był czy nie był! Pocisk wpadł tam i dopiero eksplodował. Bo jak jest na prędko zapłon, to jak tylko dotknie czegoś to już eksploduje. Ale ten przejdzie i potem dopiero eksploduje. Dachówki podnosiły się do góry i spadały na dół. Wszystko się waliło. Czy tam ktoś był czy nie był, grunt, żeby było zepsute.

Janusz Zuziak: Kiedy weszliście do Wittmund, to już w samym miasteczku jego mieszkańcy zaczęli się z czasem pojawiać na ulicach. Ujawniali się, powychodzili z tych swoich piwnic i schronów.

Kazimierz Matejczyk: Tak, powychodzili już. Myśmy dostali rozkaz z tego Wittmund przejść na wsie. Czołgi na wsiach stały przeważnie. W miasteczkach więcej było piechoty.

Byliśmy w gospodarstwie, w którym byli starsi ludzie. Też płakali, oplakiwali swoich synów. Taka była tam kobieta, która miała dwóch synów na froncie rosyjskim i beczała, płakała i lamentowała. Człowiek miał dla niej jakieś współczucie, bo człowiek jest przecież człowiekiem.

Janusz Zuziak: Czy ci synowie zginęli na froncie wschodnim, wiedziała coś o ich losie?

Kazimierz Matejczyk: Nie, nic nie wiedziała o nich. Jeden z tych chłopaków miał nowy motor, taką „dekawkę”. Ja chciałem, żeby mi go sprzedała. Nie chciała, mówiąc, że jak syn przyjedzie z frontu, albo wróci z niewoli to będzie miał na czym jeździć. Biedna kobiecina. Trudno było to zarekwirować i brać.

Tam było dużo Polek, które były na robotach. Wojsko urzędowało tam z tymi babkami, przyprowadzali je na kwatery. Rozpusta tam była taka, że nie masz pojęcia. A ta kobiecina mówi do mnie ta: „Och Kazimierz, Kazimierz, tyle rozpusty w moim domu, jak wy stąd pójdziecie to chyba piorun w to uderzy”. No, ale nie uderzył chyba ten piorun.

Mężczyzn nie było. Były tylko kobiety i mężczyźni starszycy. Wszystko było w wojsku. Niemcy z rejonów zachodnich to nie byli tacy hitlerowcy. Tam było dużo ludzi na robotach przymusowych. Były tam też obozy dla Niemców. Jak coś zawinili. Koło Pappenburga. Tamta ludność niemiecka była jako tako dobra.

Janusz Zuziak: Czy ze strony tej rodziny u której pan mieszkał nie było objawów nienawiści do wojska polskiego?

Kazimierz Matejczyk: Nie, nie było. To nie byli jacyś hitlerowcy. Dam panu taki przykład. Mój kolega, nazywał się Piątek, ożenił się z Niemką tam gdzie był na kwaterze. Ożenił się z Niemką, zabrał ją do Anglii i w Anglii mieszkają, jeżdżą sobie do Niemiec na urlop, albo do Polski. Na miłość nie ma leków.

Ja tutaj (w Holandii – przyp. J.Z.) miałem taką rodzinę, do której przyjeżdżałem, zawsze z kolegą, który miał znowu taką rodzinę w Oosterhout. Chodziliśmy po tych gospodarzach i skupowaliśmy jajka, tam w Niemczech. Skupowaliśmy od nich jajka i potem tu przywoziliśmy. Ze 100-200 jajek zawsze przywieźliśmy, bo tu nie było wiele do jedzenia. Tu pierwsze lata po wojnie były jeszcze ciężkie, dopiero potem się poprawiało. Wszystko było na kartki. Przywoziliśmy te jajka do znajomych rodzin, do których przyjeżdżaliśmy.

Janusz Zuziak: Proszę powiedzieć czy w tej miejscowości w której był pan na okupacji były ze strony polskich żołnierzy przypadki złego traktowania Niemców czy przypadki rabunków, gwałtów?

Kazimierz Matejczyk: Nie, raczej nie. Bo to tak było. Maczek kazał całe miasto ewakuować. Wszystkich tych Polaków z obozów kierowano w jedno miejsce, „Maczków” to się nazywało. I tam oni byli w jednej kupie. Tak, że tych samosądów już

tak nie było. A żołnierzom to nie zależało na samosądach. Żołnierz jak gdzieś tylko widział jakąś dobrą babę to się sam tam samosądował. Tak było.

Po zakończeniu wojny to ja nie miałem fachu, nie miałem nic. W cegielni, gdzie pracowałem przed wojną to się niczego nie nauczyłem. To ja teraz dumałem co będzie, jak pójdę do cywila? Co ja będę robił? Dowódca szwadronu powiedział, że kto chce się fachu uczyć to może się zameldować i iść pułkowego garażu. W każdym szwadronie był patrol REP-u, to jest reperacyjny patrol. Tam było pięciu czy sześciu ludzi. Ale w tym pułkowym garażu to było ze trzydziestu ludzi, którzy tam reperowali większe rzeczy, czołgi itd. Większe warsztaty. I z całego szwadronu zgłosiłem się tylko ja i taki Kuś z Argentyny. On już zmarł. No i tam półtora roku pracowałem, w tym garażu. Nauczyłem się fachu. Zgłosiłem się tam jeszcze jako żołnierz, w Niemczech. I jako żołnierz w tym warsztacie te półtora roku pracowałem.

Na krótko przed demobilizacją przenieśli mnie znowu z tego warsztatu do szwadronu z powrotem. Ze szwadronu się zdemobilizowałem. W październiku 1946 roku do Holandii. Tutaj poszedłem na wikt i opierunek do tej rodziny, do której te jajka przywoziłem.

Zacząłem pracować w takim zakładzie samochodowym tutaj w Dongen. Tutaj w Dongen pracowałem w tym zakładzie do 1954 roku.

Janusz Zuziak: Dostał pan od razu pracę?

Kazimierz Matejczyk: Dostałem od razu pracę. Najpierw właściciel mnie zatrudnił na 14 dni, dla próby. Nie wiedział co potrafię. Ale po paru dniach powiedział, że mogę zostać, dostanę tyle i tyle. No i tam zostałem i pracowałem do 1954 roku.

Janusz Zuziak: Wracając jeszcze do demobilizacji, czy odchodząc do cywila dostał pan jakieś pieniądze, jakieś ubranie cywilne?

Kazimierz Matejczyk: Cywilne ubranie i wojskowe ubranie mogliśmy zabrać. W wojskowym ubraniu przyjechałem tutaj, a cywilne miałem w worku. Ja dostałem 1200 guldenów, dlatego tak dużo, bo byłem w pierwszym rzucie. Dostałem czek i ten czek mogłem zrealizować w banku. On był w funtach, ale w banku w przeliczeniu dostałem 1200 guldenów. To było wtenczas około 120 funtów chyba.

Janusz Zuziak: Czy to było w ówczesnych warunkach dużo?

Kazimierz Matejczyk: Nie, to nie było dużo. To w przeciągu dwóch miesięcy poszło w pieruny! Bo człowiek był przyzwyczajony do rozrzucania pieniędzmi. Jak trzeba było pięć guldenów zapłacić to dał sześć, albo siedem. Chojna ręka, jeszcze gdzieś poszło się

na potańcówkę, taksówka przyjechało się do domu i to tak trzasło w przeciągu paru miesięcy.

Pracę dostałem od razu. To jest prawda, że jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. Do takiego zakładu przychodzą rozmaici ludzie, przychodzą fabrykanci itd. Wtenczas samochodami jeździli tylko ludzie, którzy mieli pieniądze. To byli zamożniejsi ludzie. Ja z nimi mogłem rozmawiać na wiele różnych tematów. Później, jak ta zimna wojna się zaczęła to przychodzili i mówili, radzili się, zastanawiali co to będzie. Ja im tam zawsze jakieś kazanie powiedziałem. Czasami to aż ten właściciel niezadowolony patrzył na to, bo za długo to trwało. I ci ludzie mnie polubili. Ja tutaj nigdy nie doznałem żadnej przykrości, nigdy mi nikt niczego nie napsocił, nie powiedział niczego przykrego. Ja mówię tak, jak jest, jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. Daj spokój, będziesz miał spokój.

Kiedy zacząłem organizować swój warsztat to każdy jeden przychodził do mnie od razu. Ja nigdy nie potrzebowałem szukać i pytać o klientów, żeby przychodzili do mnie, nigdy. Te pierwsze siedem lat pracy w Dongen pomogło mi w tym, że ci ludzie mnie poznali i mnie polubili, wiedzieli, że jestem rzetelny człowiek, że jestem fachowcem itd. Bo ten gość u którego pracowałem po dwóch latach zwinął swoje gospodarstwo, bo już pouciekali mu wszyscy do mnie.

Janusz Zuziak: Na pewno w chwili opuszczania szeregów wojska polskiego na zachodzie zastanawiał się pan nad ewentualnością powrotu do Polski.

Kazimierz Matejczyk: Powrót do Polski nie był dla mnie taki – powiedzmy – pociągający. Byłem sierotą, w Polsce znałem tylko ciężkiej pracy i niedostatek. Bo u tego wujka też nie było zbyt dobrze. On miał swoje dzieci, a ta kobieta jego też nie była taka nadzwyczajna dla nas. Tak, że mnie tam nie ciągnęło. Tutaj w Holandii mi mówili: „Zostań, nie jedź tam, bo tam komuniści”, itd.

W wojsku nikt nikogo na nic nie namawiał. Było zabronione przez Maczka, ażeby oficerowie nakłaniali ludzi do wyjazdu czy do pozostania. Każdy musiał sam się zastanowić co ma zrobić. Przemyśleć i wtedy zdecydować. Ja to sobie przemyślałem. Pomyślałem, że jakoś to będzie.

Pierwszy raz do Polski pojechałem w 1958 roku. I od tego czasu to jeżdżę co roku, a czasami dwa albo nawet trzy razy na rok.

Janusz Zuziak: Jak wyglądał ten pierwszy pana przyjazd do Polski?

Kazimierz Matejczyk: Jak przyjechałem do Słubic to wszystko było jeszcze rozwalone, wszystko było jeszcze podziurawione. Ludzie tam mieszkali w nędzy. Jak

się przejeżdżało przez Nową Sól czy przez inne miejscowości to widać było, że tam jeszcze nic nie ma, że tam dopiero później się coś robiło. Te pierwsze chwile były dla nas straszne. A w ogóle te kontrole niemieckie, to były świny, ci wschodni Niemcy. Mój brat, mieszkający w Polsce, mówił o nich, że: „To są nasi przyjaciele”. Ja mu mówiłem, że nie przyjaciele tylko wrogowie.

Jak wojnę Jaruzelski zrobił w Polsce to w tym dniu żeśmy wyjeżdżali do Polski. Mieliśmy załadowane sześć TIR-ów z pomocą dla Polski i w ambasadzie nam powiedzieli, że jak chcemy to możemy jechać, ale na swoją odpowiedzialność! No to jazda! Przyjechaliśmy na granicę, a tam Niemcy skaczą, że nie wolno do Polski jechać. Cieszyli się z tego! Ja pokazałem te wszystkie nasze papiery. Pogadali, pogadali, ale mogliśmy pojechać. Jak w Jastrzębiu ta kopalnię rozbrajali to myśmy między czołgami tam jeździli.

Jak żeśmy wracali to pełno było żurnalistów, którzy się nas wypytywali, co tam jest, jak tam jest? Za dużo nie mówiłem, bo sobie myślę, że i tu trzeba żyć i tam trzeba żyć. Pojedziesz do ambasady to cię będą szarpali.

Janusz Zuziak: Jak pojechał pan pierwszy raz, gdzie pan był, w rodzinnym mieście?

Kazimierz Matejczyk: Na Śląsku i na Pomorzu. Wszystko objechałem.

Janusz Zuziak: Czy milicja się panem interesowała?

Kazimierz Matejczyk: Tam trzeba było się meldować na policji, ale ja się nigdy nie meldowałem. Nigdy. Niektórzy musieli się meldować, przesłuchiwali ich, albo coś tam. Mnie nie, ja się nigdzie nie meldowałem. Jak milicja zatrzymała za szybka jazdę czy coś podobnego to jak się powiedziało, że jest się od Maczka, to już to inaczej było. Pół litra się wyciągnęło i już. Nie ze wszystkimi, ale tak przeważnie było. Ludzie byli normalni, nie było tego, że to byli komuniści.

Mój brat był inżynierem chemii nieorganicznej i pracował instytucie chemicznym w Gliwicach. Jego dzieci, dwie córeczki, przed pójściem do łóżeczka mówiły ładnie pacierz. Ja mówię do brata: „Cholera jasna, moje dzieci już się nie modlą ani wieczorem ani rano”. Obydwie córki były do pierwszej komunii itd.

Ten mój wujek był przed wojną żołnierzem zawodowym w 16 pułku ułanów. Po wojnie był w partii i jednocześnie nosił baldachim na Boże Ciało. Mówili mu, że jak tak można?! Ale on powiedział, że nosił dawniej i teraz też będzie nosił. Ale nie wyrzucili go z tej partii.

Janusz Zuziak: Czy tutaj na obczyźnie działa pan w jakichś polskich organizacjach?

Kazimierz Matejczyk: My tutaj w Holandii, byli żołnierze właśnie, w Holandii jesteśmy zrzeszeni w PTK, to jest Polskie Towarzystwo Katolickie. Założone zostało zaraz po wojnie. Ja już jestem wiceprezesem w tym Towarzystwie jakieś 30 lat. Kiedy żeśmy sprowadzali tutaj rodziny na groby żołnierzy Dywizji to musieliśmy iść do ambasady. Żeby z Polski rodziny mogły przyjeżdżać musieliśmy pogadać tam, bo oni musieli się starać, żeby ci ludzie dostali w Polsce paszporty. A przecież 40 czy 45 lat temu to w Polsce o paszport nie było tak łatwo.

Ambasada polska w Holandii to wieńce na tych grobach polskich składała po cichu, wieczorem. Kiedyś załatwiając sprawę tych rodzin prezes PTK powiedział im w ambasadzie, żeby nie przyjeżdżali składać tych wieńców jak złodzieje, tylko żeby przyjechali wtedy jak my składamy. Żeby przyjechali jak normalni ludzie. No i zawsze ich zapraszaliśmy na to składanie. A później dostaliśmy tu taki „stempel”, że jesteśmy komunistami! Że my z komunistami współpracujemy tu!

Janusz Zuziak: Ale kto panom taką łatkę przykleił?

Kazimierz Matejczyk: Ten stempel nam dali nasi koledzy. Nasi koledzy na przykład z SPK, które jest w Utrechcie, ze Związku 1 Dywizji Pancерnej, który jest w Beneluksie. Ci, którym to się nie spodobało, nas oczernili. Ambasador przychodził do kościoła na mszę świętą, to go wodą święconą pokropili. W pierwszych rzędach siedzieli to ich tą wodą mocno kropili! Koledzy z innych kół i związków nas oczerniali. To przybrało taką nienawistną atmosferę. Myśmy na to nie reagowali nigdy.

Jak byliśmy zaproszeni do polskiej ambasady to powiedzieliśmy, że chcemy z nimi współpracować, ale ich ideologii nie popieramy. A ambasador powiedział, że nigdy nie będziemy o polityce gadać. OK. O polityce nigdy nie mówiliśmy. Mieliśmy z nimi dobrą współpracę. Jak się chce jakiegoś wroga zniszczyć to trzeba z nim rozmawiać, a nie odrzucać go, bo on będzie jeszcze większym wrogiem. Tutaj już na ostatku to oni w tej ambasadzie mieli już dosyć tego komunizmu, bo myśmy widzieli co jest, ale oni nie śmieli o tym mówić.

Janusz Zuziak: Wracając jeszcze do pierwszego okresu osiedlenia się pańskiego w Dongen czy kolegów w Bredzie, w jej okolicach. Jak wtedy wyglądało wasze organizacyjne życie. Czy mieliście już wtedy swoje koła, zebrania, itp.?

Kazimierz Matejczyk: Ci, którzy mieszkali w Bredzie mieli między sobą większy kontakt. Ale ci, którzy poza Bredą mieszkali, zaczęli organizować te kontakty dopiero jakieś 10-20 lat po wojnie. Jak już mieliśmy trochę więcej czasu. Jak już nie było tak

zagonione wszystko, to wtenczas przychodziło się do organizacji. Ja na przykład przyszedłem do PTK jakieś 35 lat temu, jako członek.

Dużo ludzi zostało z boku, nie udzielało się, bo w Bredzie i w okolicach bardzo duży jest odsetek ludzi z niemieckiej armii. Może z 90% tych ludzi nie przyznaje się do tego. Jeszcze dzisiaj żona i dzieci o tym nie wiedzą. Oni żyją ze swoją tajemnicą i umierają ze swoją tajemnicą. I obarczają innych. (...)

W moim przypadku było tak, że ja nigdy nie kłamałem. Zawsze mówiłem prawdę. I tak jest najlepiej, bo jak się zacznie kłamać to już trzeba dalej kłamać.

Janusz Zuziak: No i jak pańska służba w armii niemieckiej została przyjęta przez rodzinę holenderską do której pan przyjeżdżał?

Kazimierz Matejczyk: Normalnie. Ja wszystko powiedziałem. Opowiedziałem o całym moim życiu. Przyjęli to normalnie, jeszcze mi współczuli. Moja rodzina o tym wie, moje dzieci o tym wiedzą i najbliżsi przyjaciele wiedzą. Ja się tym, że byłem w niemieckiej armii nie szczycę, bo nie ma się czym szczycić. Trzeba tylko prawdę mówić. Prawdę mówić w swoim gronie, nie ukrywać tego, bo kto kłamie ten i kradnie. Takie jest polskie przysłowie.

Janusz Zuziak: Jest też i takie przysłowie, które mówi, że kłamstwo ma krótkie nogi.

Kazimierz Matejczyk: Tak, to prawda.

Janusz Zuziak: Czy żonę poznał pan tutaj w Dongen?

Kazimierz Matejczyk: Tak, w 1948 roku, a w 1950 pobraliśmy się. Żona pochodzi z Dongen. Teraz mieszka tutaj jakieś 20 tysięcy mieszkańców. Teraz to się rozrosło, bo zaraz po wojnie to mieszkało tutaj może 10 tysięcy. Syn ma 48 lat. Córka jest 5 lat młodsza. Żona w przyszłym roku będzie miała 80 lat.

Ta rodzina, do której przyszedłem po wojnie, też wie, że byłem w niemieckiej armii. Ale ona też tego nie rozpowiada. Ja mam z nimi stałe kontakty, oni mają też duży interes, przyjeżdżają do mnie ze swoimi samochodami itd. Te nasze więzy tak zostały.

Ja nie mogę narzekać, że mi tutaj ktoś nogi podkładał. Ja tutaj doznałem zawsze przyjaznej atmosfery. Dużo życzliwości zaznałem, kiedy budowałem swój dom w Dongen.

Najstarszy wnuk ma 21 lat.

Janusz Zuziak: Mówi trochę po polsku?

Kazimierz Matejczyk: Nie. Ja panu powiem, to jest tak, że jak matka jest Polką to dziecko mówi po polsku, a inaczej nie. Córka i syn znają kilka słów, np. „Dzień dobry”, czy coś podobnego. Ale wnuki już nie. Dużo się pracowało, nie było czasu z dziećmi

rozmawiać po polsku. Dzieci zaczęły później chodzić do szkoły i już nie mówiły po polsku.

Janusz Zuziak: Czy dzieci państwa czują się bardziej Polakami czy Holendrami?

Kazimierz Matejczyk: One się czują w 75% Holendrami, a 25% jest w nich polskiej nostalgii, że ich ojciec był polskim żołnierzem itd. Syna zawsze interesują polskie sprawy, jak cos jest na przykład w telewizji. Widać, że ich to ciągnie.

Janusz Zuziak: Mają polską telewizję?

Kazimierz Matejczyk: Ja mam polską telewizję. A dzieci nie.

Janusz Zuziak: Proszę opowiedzieć jeszcze, jak w tych latach, zaraz po powrocie wyglądała ta wdzięczność miejscowej ludności, jakie były jej przejawy?

Kazimierz Matejczyk: Jesteśmy weteranami, tak jak weterani holenderscy, ale odmówiono nam jednorazowej wypłaty 1000 guldenów. Taką wypłatę dostali weterani Holendrzy. Ci, którzy walczyli w II wojnie światowej i w Korei.

Janusz Zuziak: Czyli dopiero własna, ciężką pracą trzeba było emeryturę wypracować.

Kazimierz Matejczyk: Tak, własną pracą trzeba było dojść do czegośkolwiek.

Janusz Zuziak: Obserwował pan na pewno polskich weteranów osiadłych w Holandii, widział pan ich życie, zna pan ich losy. Czy były przypadki, że komuś się nie powiodło, czy były takie sytuacje że ktoś się nie mógł w tej nowej rzeczywistości odnaleźć, czy były przypadki załamań, popadania w nałogi?

Kazimierz Matejczyk: Ja panu powiem kto tu w nałogi jakieś popadał. To byli ci ludzie przeważnie, którzy się ożenili z kimś, kto miał dużo pieniędzy, ci którzy nie potrzebowali już zarabiać. Tutaj było około pięciu Polaków, którzy ożenili się z właścicielkami, rodzice mieli, restauracje. Pięciu ich chyba było. Wszystko przepite już jest, wszystko poumierało. Bo wódka to jest zguba narodu. Taki człowiek przyszedł do bogatej rodziny restauratorów, nie potrzebował nic robić. Piwo, tego owego, rozpił się człowiek. Jak potem ten interes obejmował to już była kaleka, to już był pijakiem. Nie dopilnował i bankrutował. Jeden taki jeszcze żyje, ale już też jest na wykończeniu. Taka grupa była właśnie najslabsza. Bo ci, którzy pracowali w fabrykach to przede wszystkim nie mieli pieniędzy tyle, żeby gdzieś pójść. A jak mieli jeszcze żonę i dzieci to musieli się z tymi pieniędzmi liczyć.

Tutaj był jeden Polak, który się ożenił z aptekarką. No to porządnie sobie żyli i jeszcze nawet drugą aptekę sobie otworzyli i żyli porządnie. Tu w Dongen było

dziesięciu Polaków. Już poumierali. Nikt z nich nikomu nie zawadzał, oni byli zawsze mile widziani i szanowani.

Janusz Zuziak: Znana jest powszechnie wdzięczność władz i mieszkańców Bredy w stosunku do żołnierzy generała Maczka za wyzwolenie ich miasta. Jak pan to ocenia? Czy rzeczywiście było to przez pana także mocno odczuwalne? Niektórzy Polacy tutaj mają pewien żal, że zapomina się coraz częściej o ich zasługach, święcie itd.

Kazimierz Matejczyk: To nie tylko tutaj zapominają, ale będą i zapominali w Polsce. W Polsce jeszcze nie zapomnieli II wojny światowej, bo w czasie II wojny światowej bardzo dużo ludzi ucierpiało, ta polska martyrologia idzie z ust do ust jeszcze, do młodszego pokolenia. Tutaj już jest przecież trzecie pokolenie. Ale to pierwsze pokolenie i to drugie pokolenie nie zapomniało. To pierwsze pokolenie szczególnie. To trzecie pokolenie to już zaczyna zapominać.

Ale nie można mówić, że tu nie ma dla nas wdzięczności. Jesteśmy od dawna także Holendrami. Ja jestem od 1950 roku Holendrem. Zrobiłem się Holendrem, jak się żeniłem. Ale Polakiem i tak zostałem. I teraz jestem i Polakiem i Holendrem, mam dwa paszporty.

Janusz Zuziak: Jest pan wiceprezesem PTK. Czy w innych organizacjach polonijnych w Holandii pan działał?

Kazimierz Matejczyk: Czasami wspieram je jakimś datkiem pieniężnym, bo wszędzie nie można być. Jestem tylko w PTK. To już dosyć jest, jak na moje lata i na moje zdrowie.

Janusz Zuziak: Czy teraz jeszcze pracuje pan zawodowo w swojej firmie czy przekazał pan już wszystko synowi?

Kazimierz Matejczyk: Na papierze jest wszystko na syna. (...) Syn już wszystkim kieruje, ja mu tylko pomagam, na ile sił wystarcza. Do operacji, która nie tak dawno przeszedłem pracowałem jeszcze fizycznie, ale teraz to jeszcze z jakieś dwa miesiące muszę odpoczywać. Ale może jeszcze wrócę do fizycznej pracy w warsztacie.

Wywiad z Władysławem KOHUTNICKIM przeprowadzony we wrześniu 1999 roku w Rosmalen

Władysław Kohutnicki urodził się 15 października 1919 roku w Kijowie. Matka: Zenajda Siemonowicz, ojciec: Romuald.

Władysław Kohutnicki: Mój ojciec był zawodowym oficerem. Wywodził się z armii rosyjskiej, a w czasie rewolucji walczył przeciwko komunistom w ramach 5 Dywizji Syberyjskiej generała Czumy. Był tam dowódcą pułku, jeszcze jako sztabkapitan. Odpowiednik naszego majora, ale w wojsku rosyjskim takiego stopnia nie było. Po przyjeździe do Polski został od razu podpułkownikiem i był w czasie wojny polsko-bolszewickiej w roku 1920 – 1921 szefem sztabu dywizji, ale której dywizji, już nie pamiętam. Następnie był dowódcą 29 pułku, albo w Kaliszu, albo w Częstochowie, tego nie pamiętam. Ale pamiętam kiedy był dowódcą pułku w Dęblinie. To był 15 pułk piechoty. Następnie był oficerem wyszkolenia 1 Dywizji Legionowej w Wilnie. Później, w 1934 albo 1935 roku, został dowódcą brygady KOP-u w Baranowiczach.

Tuż przed wojną został przeniesiony do sztabu Okręgu Korpusu VII w Poznaniu i z tym sztabem przeszedł zdaje się wojnę. Wiem tyle, że był ostatnio w Grupie Operacyjnej generała Franciszka Kleeberga.

Ojca od wybuchu wojny nie widziałem. No, to tyle co mogę powiedzieć o ojcu. Ukrywał się. Po wojnie miałem z nim kontakt listowny, ale ja nigdy nie mogłem pojechać do Polski w związku z tym, że byłem oficerem zawodowym w wojsku holenderskim.

Maturę zdałem w Słonimie, poszedłem do Szkoły Podchorążych Broni Pancernejskiej w Modlinie. Byłem uczniem Szkoły Podchorążych, kiedy wybuchła wojna w 1939 roku. Wraz z najmłodszym rocznikiem służby stałej zostaliśmy skierowani do Żurawicy z myślą, planem przydzielenia nas do batalionu nowoutworzonego, na francuskich „Renault”.

Przez to, że tam jakieś były komplikacje tylko, o ile ja wiem, 10 czy 11 z nas, z rocznika zostało nas wysłanych do batalionów. Mnie przydzielili do 2 batalionu, ale ja nigdy do tego batalionu nie dotarłem. Działania wojenne spowodowały, że nie mogłem tego batalionu odnaleźć. Nikt mi nie potrafił powiedzieć, gdzie mam go szukać. W

ogóle to nasze wysyłanie było jakieś tajemnicze, nie wolno było nikomu o tym powiedzieć. Ja jechałem jeszcze z drugim kolegą o nazwisku Bączyński. On w czasie tych wszystkich przesunięć i walk gdzieś się zawieruszył, tak że ja zostałem sam. Spotkałem innego kolegę, z którym znów byłem parę dni.

Jak powiadam, do 2 batalionu nie trafiłem, ale trafiłem na jakieś inne oddziały. Zostałem wreszcie skierowany do obrony Lwowa. Tam byłem jakieś cztery czy pięć ostatnich dni. Kiedy znalazłem jednego z kolegów, który miał wiadomości, że musimy się zbierać w okolicy miejscowości Zaleszczyki, wyjechałem motocyklem w tą stronę, ale po drodze już byli bolszewicy i mnie zabrali.

Byłem trzy dni w niewoli. Bardzo ciekawie, bo posadzili mnie jako pancerniaka na samochodzie i powiedzieli, że mogę jeździć samochodem. Jako jeniec prowadziłem radziecki samochód. Ten radziecki samochód to zarekwirowany polski samochód. Obok mnie siedział taki młody „Iwan” z długim karabinem, jeszcze dłuższym bagnetem. Tak, że kiedy myśmy jechali, ten bagnet musiał wystawać z kabiny na zewnątrz. Okna nigdy nie można było zamknąć. Ale był to dobry „Iwan”, bo dobrze mną się opiekował, zawsze miałem dosyć jedzenia.

Po około trzech dniach przyjechaliśmy znowu do Polski. Myśmy jeździli do Rosji i z powrotem, przewożąc ładunek z szerokotorowej kolei na wąskotorową, jaka była w Europie.

Janusz Zuziak: Czy Rosjanie wiedzieli, że pan był żołnierzem?

Władysław Kohutnicki: Tak, wiedzieli. Widzieli, że mam czarny beret i mogę jeździć samochodem. I tak mnie posadzili na samochód. Tego samego dnia, którego nas rano złapali, wieczorem siedziałem już na takim samochodzie. Jeździłem już trzy dni i kiedy byliśmy w Polsce poszedłem do dowódcy i powiadam: „Słuchaj ja jestem młody, ja chcę iść do matki. Pozwól mi iść do mamy”. No i on powiedział: „Dobrze”. Jak ja to usłyszałem to nie czekałem na nic innego tylko od razu wyszedłem. I kiedy wyszedłem z tego obozu byłem wolny! Bez jakichkolwiek papierów, powiedzieli: „Idź sobie do domu”. No to poszedłem. Dosłownie tak zrobiłem. W tym dniu zrobiłem jakieś 70-80 kilometrów marszu w stronę Lwowa, to był mój największy wysiłek fizyczny.

We Lwowie poszedłem do znanej mi osoby.

Janusz Zuziak: Czy to było jeszcze we wrześniu?

Władysław Kohutnicki: To było wszystko jeszcze we wrześniu. 17 przyszli bolszewicy, a to było około 22 lub 23 września. Zapytałem tej znajomej osoby, jaka jest sytuacja. Dowiedziałem się o możliwościach i o tym, że Warszawa jeszcze się broni.

Myślałem, żeby pójść w tą stronę. Poszedłem w tą stronę i natrafiłem na wojsko polskie. Jak się później okazało, to był jeszcze jeden batalion KOP-u ze zgrupowania Kleeberga. Zostałem zwymyślany przez dowódcę batalionu, że oddałem broń, że się dałem rozbroić itd. Wygonił mnie do jakiejś kompanii.

Janusz Zuziak: Miał panu za złe to, że trafił pan do radzieckiej niewoli?

Władysław Kohutnicki: Tak. Oni jeszcze walczyli przeciwko bolszewikom i przeciwko Niemcom. Mnie widzieli, jako takiego, który oddał broń. Podchorąży, który oddał broń. Dowódca batalionu tego nie mógł zrozumieć, czy nie chciał zrozumieć.

Wyznaczyli mnie do jakiejś kompanii i byłem obserwatorem. Obserwatorem dowódcy plutonu. Ale niestety lornetki nie dostałem bo nie było. Następnego dnia rano strzelała na nas artyleria, później przyszły czołgi, przejechały się przez nas i nic z nas nie zostało. Nie wiem gdzie podzieli się ludzie. Ja do dzisiaj nie mogę tego zrozumieć. To na mnie zrobiło szalone wrażenie. Zostałem zupełnie sam na polu. W czasie tej strzelaniny ja się przykrywałem trupem. Pod kogoś się schowałem, żeby mnie nie trafili.

Janusz Zuziak: Czy pamięta pan może w którym miejscu to było?

Władysław Kohutnicki: Nie, tego nie pamiętam. Ja nie miałem mapy. Nie można się było o to pytać, bo to wszystko było tajne. Jak się wypytywało oto, jaki to jest oddział itp. to wszystko to było jakieś podejrzanе. Ja nie wiem gdzie się to całe towarzystwo podziało. Czy mnie zostawili i się wycofali przedtem, czy naprawdę wszyscy byli pozabijani, tego naprawdę nie wiem. Widziałem tam dużo zabitych.

I wtedy poszedłem w stronę Pińska. Ale zanim tam doszedłem, znalazłem gdzieś jakiś pociąg, który szedł na północ. Nie pamiętam jak to było, ale w każdym razie ja chciałem się dostać z powrotem do Słonima. Stamtąd mianowicie pochodzę i to było wtedy pod zaborem rosyjskim, o ile się wtedy mogłem zorientować.

Przez Baranowicze dostałem się do Słonima. Poszedłem do mojego przyjaciela, który tam mieszkał. On był inwalidą, tak że w wojsku nie był, nie walczył. On mnie tam od razu przechował. Oficjalnie według ukazów musiałem się meldować w rosyjskiej policji. U niego dostałem cywilne ubranie i zorientowałem się w sytuacji. Okazało się, że najlepiej jest iść w stronę Wilna. Pojechałem tam, udało mi się złapać jakiś pociąg. Następnego dnia dojechałem do Wilna z myślą, że przez Litwę będę mógł dotrzeć do Francji. W międzyczasie padła Warszawa.

Tak też się stało. Przez zieloną granicę dostaliśmy się w grupie około 10 osób. W Wilnie jeszcze spotkałem kolegę z podchorążówki, który obok mnie spał, i z nim i tą

grupą przeprawiliśmy się przez zieloną granicę do Kowna. Wyrobiliśmy tam sobie papiery, ale przy ostatniej kontroli przez policję, memu koledze udało się przejść, a mnie zabrali, aresztowali mnie. Aresztowali mnie i powiedzieli: „Ty musisz wracać do Polski. My ciebie odstawimy do granicy i dalej musisz sobie sam radzić”. Zawieźli mnie gdzieś na granicę, z drugiej strony byli Niemcy. Litwa jeszcze wtedy nie była okupowana przez wojska rosyjskie.

Janusz Zuziak: Czy Litwini jakoś argumentowali to dlaczego pana nie mogą przepuścić?

Władysław Kohutnicki: Były jakieś rozmaite powody, ale powiadali, że papiery są nie dobre. Widać było, że nie chcą mnie przepuścić. Oni musieli być neutralni. Nie wolno było, żebym ja jechał do wojska. Ale najważniejsze to jest to, że byli bardzo nieprzyjemni. Ci urzędnicy jakkolwiek rozumieli po polsku, nie chcieli odpowiadać po polsku, tylko po litewsku. O to chodzi, że na Litwie była taka sytuacja, że byli ludzie, którzy chcieli nam pomóc, dawni Polacy, a byli tacy, którzy nam nie chcieli pomóc.

Jak mnie zawieźli na granicę to trafiłem na jakiegoś dobrego kapitana, który mi pokazał na mapie gdzie jestem i podpowiedział, jak uniknąć posterunków niemieckich. Ale ja miałem coś innego w głowie. Popatrzyłem na tą mapę, zapamiętałem, jak ten teren wygląda i kiedy mnie wyrzucili przy granicy zrobiłem duże kółko i poszedłem na stację kolejową. Wróciłem do Kowna, naturalnie nielegalnie. Wtedy wyrobiłem sobie drugie papiery na nazwisko Żurawski. Jeszcze się wtedy odmłodziłem i według papierów byłem urodzony w 1923 roku.

Janusz Zuziak: Czy to w Kownie ktoś pomógł panu wyrobić te nowe papiery?

Władysław Kohutnicki: Tak, w Kownie Polacy mieli tam swoich przyjaciół, którzy w tym pomagali. Miałem jakieś papiery, poszedłem z nimi do polskiego poselstwa, które wtedy oficjalnie nie istniało, ale był wydział polski przy poselstwie brytyjskim. I ci wydawali papiery. Dostałem nie paszport, a dokument zastępczy. Mam go do dzisiaj, jako pamiątkę, na nazwisko Żurawski.

Z tym papierem chciałem wyjechać, ale niestety wtedy zamknęli granicę i nie można było wyjechać. Wróciłem do Wilna. Szukałem jakiegoś podziemnego związku. Kim byli ci ludzie to naturalnie nie było wiadomo, nikt nie mówił, jak się nazywa. Spotykało się w kawiarni. Dostałem się tam przez pułkownika, przyjaciela mojego ojca, ale jak on się nazywał zapomniałem. Nie pamiętam. Naturalnie wtedy wiedziałem, ale teraz nie pamiętam.

Byłem w tej podziemnej organizacji. To był jeszcze początek, wszystko działo się jeszcze w 1939 roku. Wtedy wyszło takie zarządzenie, że uchodźcy mogą jechać do Łotwy i na Litwę na roboty. Jednocześnie z tej podziemnej organizacji wiedziałem, że Finowie szukają ochotników. Ja się zapisałem na dwa wyjazdy i w ten sposób dostałem bilet na jazdę do Tallina, a zgłosiłem się również jako ochotnik do wojska fińskiego. To wszystko było bardzo ładnie zorganizowane, bardzo tajemniczo. Pojechałem pociągiem do Tallina, podeszła do mnie jakaś ładna dziewczyna, która powiedziała: „Chodź ze mną. Nic nie pytaj, wszystko jest OK”. Ja już wtedy nie byłem sam, jechałem z kolegą. Ta dziewczyna nas zabrała, zaprowadziła do jakichś ludzi, tam dostaliśmy lokum i jedzenie. Przyszedł jakiś młody człowiek, który mówił tylko po rosyjsku. On powiedział, żebyśmy czekali tutaj. Za dwa, trzy dni będzie nowa wiadomość. Zrozumieliśmy o co chodzi. To miał być przerzut przez zatokę do Finlandii, który odbywał się nielegalnie. Organizowany miał być przez jakąś konspirację, o której nigdy nie mogłem się dowiedzieć czegoś konkretnego, bo to wszystko było tajne. Zwyczaj był taki, już od 1939 roku, że wszędzie gdzie dookoła są szpiedzy to się nie mówi o wszystkim. Im mniej się mówi, tym lepiej. Nie pyta się.

Istotnie, po tych dwóch dniach wieczorem przyszedł ten sam gość, tej młodej panny naturalnie już nigdy nie widziałem. Ona nas tam tylko przyprowadziła. Zaprowadzili nas do jakiegoś portu małego, wsadzili na dobrą, dużą łódź, barkę powiedzmy, przykrytą płachtą. I kiedy ja wszedłem tam pod spód, okazało się, że ja nie jestem sam, tzn., że nie jesteśmy we dwóch, tylko jest nas jakieś dziesięć osób. Od razu zaczęli krzyczeć, żeby nie rozmawiać, żeby być cicho. Papierosów nie wolno było palić. Wypłynęliśmy. W nocy był jeszcze jakiś mały niepokój, bo była jakaś kontrola, ale z daleka, do nas nie dopłynęli. Płynął jakiś policyjny czy wojskowy statek i dopytywał się. Jakoś sobie ci, którzy nas przeprawiali poradzili. Musieliśmy być cicho dlatego słyszeliśmy ich rozmowę.

Jakoś z rana, myślę, że to było o jakiejś 4.00 godzinie, dopłynęliśmy do Finlandii, jak się później okazało, do jednej z wysepek. Musieliśmy wszyscy prędko wysiadać, a ta barka od razu odpłynęła. Każdy próbował iść gdzie chciał. Rozeszliśmy się. Po jakiejś godzinie wszyscy już byliśmy pozbierani na jakimś posterunku. Ten posterunek był bardzo prymitywny. Przyjechał jakiś gość i zabrał nas motorówką, mnie i mojego kolegę. Myślę, że dlatego nas zabrał, bo myślał, że jesteśmy ochotnikami do armii fińskiej.

Janusz Zuziak: Czy to był posterunek policji?

Władysław Kohutnicki: Może policji, może straży granicznej albo wojskowej, nie wiem. Ten gość nas zabrał. Kiedy już byliśmy na łodzi dostaliśmy jeść. Załadowali nas w pociąg i jechaliśmy. Ja się nigdy nie dowiedziałem, dokąd myśmy jechali. Wszystko było naturalnie tajne. Nie myślałem o tym, żeby się pytać. W każdym razie dojechaliśmy do takiego obozu, przyjęli nas tam, zapisali, dostaliśmy jedzenie. Następnego dnia mieliśmy dostać mundury. Z tego co się zorientowaliśmy rozmawiając z ludźmi, którzy tam byli, to była to międzynarodowa brygada z zachodu, która się tam tworzyła. Byli tam Francuzi, byli Anglicy, Hiszpanie i inni, ale Polaków nigdzie nie widziałem.

Następnego dnia tych mundurów żeśmy nie dostali. Czekaliśmy. A trzeciego dnia powiedzieli, że wojna się skończyła i nas nie potrzebują. Przyszedł znowu jakiś gość. My byliśmy z kolegą jedynymi Polakami. Zabrał nas i zawiózł do Helsinek, do polskiego poselstwa. Tam meldowaliśmy się u wojskowego attache, on się nazywał pułkownik Łoś. Przyjął nas, pogratulował, że tak daleko dotarliśmy i powiedział, że stąd wyjechać na razie nie można, polecając abyśmy pojechali do obozu. To był obóz w miejscowości Ruukki, koło dużego miasta o nazwie Oulu. Tam było nas około trzydziestu. Komendantem obozu był major kawalerii, Korczyński. Pobyt w obozie to było czekanie właściwie. Próbowaliśmy tam na własną rękę wyjeżdżać, ale to nie podobało się ani władzom fińskim, ani polskim, bo to wytwarzało pewien niepokój, ewentualnie konflikty międzynarodowe. Tak próbowaliśmy z moim kolegą. Dostaliśmy się aż zupełnie na północ. Wleźliśmy na jakiś statek, który jednak nie odpłynął. Po trzech dniach złapali nas i odstawili znowu na policję. Siedzieliśmy w więzieniu jedną noc i pół dnia, czy coś takiego. Zawieźli nas znowu do poselstwa. Do Helsinek.

Pułkownika Łosia wtedy nie było, był jakiś cywil. Detali już nie pamiętam ale niezadowoleni byli wszyscy. Odesłali nas z powrotem do obozu. Z obozu nie tylko my uciekaliśmy, ale i inni również próbowali. Z tego obozu z trzydziestu, a może i tam było więcej osób, tylko jeden się przedostał. Do Ameryki i później do Anglii. Nawet napisał o tym jakieś wspomnienia. To jest pan Połozynski. On był później w 1 Dywizji w 10 pułku strzelców konnych. Ponieważ on był u nas w obozie bardzo krótko, nigdy z nim nie zaprzyjaźniłem się, mało żeśmy się znali, toteż po przyjeździe do Anglii nigdy z nim nie nawiązałem kontaktu.

Z Finlandii dostałem się do Szwecji. Finowie powiedzieli nam, że za to, że chcieliśmy im pomagać, ale niestety nie udało się, zorganizują nam pomoc, żebyśmy mogli pojechać do neutralnego kraju. Była to Szwecja. Tam dostałem się pod komendę

majora Brzezińskiego, może Brzozowskiego, coś takiego. Siedziałem tam, musiałem pracować najpierw w lesie a później w miasteczku prywatnie znalazłem pracę. To było dozwolone. Pracowałem najpierw w tartaku, a później w fabryce mebli. Pewnego dnia otrzymałem telefon, że mam się następnego dnia meldować w poselstwie u wojskowego attache. Tak też zrobiłem. Majora nie widziałem, przyjął mnie jakiś pan po cywilnemu, dał rozkaz wyjazdu, który jeszcze do dzisiaj mam. Następnego dnia około 9.00 czy 10.00 byłem umówiony, że muszę być gotowy. Naturalnie wszystko było tajne, nie wolno się było z nikim komunikować, nie opowiadać itd. Następnego dnia przyjechał znowu ten sam pan, zabrał nas samochodem. Oprócz mnie było jeszcze dwóch nie znanych mi ludzi. Pojechalśmy na lotnisko. Wsiadliśmy w samolot. Wystartowaliśmy. Znowu nie wolno było rozmawiać, nie wolno było świateł mieć zapalonych, papierosów nie wolno było palić. Tym samolotem przylecieliśmy do Szkocji. Wylądowaliśmy na lotnisku koło Kinross (około 40 kilometrów na północny-zachód od Edynburga, miejscowość nad jeziorem Loch Leven – przyp. J.Z.), jak się ta miejscowość nazywa, nie pamiętam.

Janusz Zuziak: Czy pamięta pan może datę, kiedy to było?

Władysław Kohutnicki: Pamiętać to dokładnie nie pamiętam, ale w mojej ewidencji to jest wszystko zapisane, mogę sprawdzić. W każdym bądź razie to był rok 1942, styczeń, luty albo marzec, jakoś w tym okresie. Dopiero wtedy dostałem się do armii polskiej.

Stamtąd zabrali nas do Londynu. Byliśmy przesłuchiwani przez angielski wywiad i po trzech dniach powiedzieli, że jest wszystko dobrze. Zaprowadzili nas, mnie i jeszcze jednego pana, do ministerstwa Obrony Narodowej, naszego polskiego, tam w Londynie. Tam się nasze drogi rozeszły. Ci, którzy byli z lotnictwa szli inną drogą, a ja musiałem się meldować u podpułkownika Brungiela. Okazało się, że to jest dowódca mojej Szkoły Podchorążych, którego znałem, ale starszy od niego był podpułkownik Korczyński i zdaje się, że ten był szefem tego biura. Miłe spotkanie, dostałem pieniądze od majora, żeby sobie coś kupić. Wysłali nas do Szkocji.

W Szkocji trafiłem do 16 Brygady Pancernejskiej, dowódcą był pułkownik dyplomowany Tadeusz Majewski. W Brygadzie, zanim dostałem przydział, przyjechał po mnie porucznik Uściński, późniejszy mój dowódca szwadronu, który znał mnie ze Szkoły Podchorążych. On był w szkole dowódcą plutonu i znał mnie osobiście. Zabrał mnie do swojego szwadronu. Naturalnie ten przydział był oficjalnie ustalony. Zostałem

przydzielony do 65 batalionu 1 szwadronu, gdzie dowódcą był porucznik Uściński. Tam zacząłem moją karierę na Wyspach Brytyjskich.

Z tymże oddziałem, który w międzyczasie zmienił nazwę i został 2 pułkiem pancernym, brałem udział we wszystkich ćwiczeniach, manewrach w Szkocji i w Anglii. Ale z tym oddziałem także wyruszyłem do akcji, jako dowódca 2 plutonu szwadronu porucznika, później kapitana Uścińskiego.

Janusz Zuziak: W jakim był pan stopniu wojskowym w momencie wyruszania do akcji?

Władysław Kohutnicki: Byłem podporucznikiem. O samej akcji to jest trudno coś powiedzieć.

Janusz Zuziak: Przepraszam, jeśli pan pozwoli, powróćmy na chwilę jeszcze do okresu pańskiego pobytu w Szkocji i w Anglii. Proszę powiedzieć może trochę na temat pańskiego codziennego, żołnierskiego życia. Jak układało się panom współżycie z ludnością cywilną, jaki był ich stosunek i podejście do żołnierzy polskich?

Władysław Kohutnicki: Myśmy byli w Szkocji ogólnie lubiani. Naturalnie, kiedy wychodziło się na ćwiczenia z czołgami, jeździło się po polach, bo nie było specjalnych obozów ćwiczeń, to robiliśmy dużo szkód. Wtedy byliśmy nie bardzo popularni u tych wszystkich, którym zrobiliśmy szkodę. To było naturalnie ustalone, że od razu były takie oddziały, które to musiały reperować, szkody zacierać i płaciło się za szkodę. Fakt sam w sobie nie był przyjemny, ale jako żołnierz zwyczajny nie miało się kontaktu z taką ludnością. Myśmy mieli kontakty, jak się wychodziło z obozu, szło się do miasteczka i każdy sobie szukał coś. Ja, jako podporucznik na przykład dostałem kwaterę, mieszkalem u Szkotów. Bardzo mili ludzie. Miałem z nimi kontakt do ich śmierci w latach siedemdziesiątych. Po moim osiedleniu się w Holandii miałem stały kontakt z nimi.

Od czasu do czasu były jakieś potańcówki. Wtedy było dużo żołnierzy, dużo wojskowych, mało dziewcząt. W naszej okolicy nie było innych, poza polskimi, oddziałów. Szkoci byli jakieś 50 kilometrów od nas. Tak, że my nie mieliśmy na co dzień z nimi kontaktu. Możliwe, że nasi dowódcy mieli jakieś kontakty na swoim szczeblu, ale my nie.

Janusz Zuziak: Wie pan doskonale, że były na terenie Wielkiej Brytanii dezercje żołnierzy pochodzenia żydowskiego z jednostek polskich. Czy u pana w oddziale coś takiego miało miejsce?

Władysław Kohutnicki: Nigdy tego nie widziałem, z tym się nie spotkałem. Słyszę to pierwszy raz od pana. Przypuszczalnie były takie dezercje, bo ja osobiście zetknąłem się z jednym takim faktem. W moim szwadronie, z mojego plutonu jeden uciekł, ale nie dlatego, że on zdezerterował z wojska, tylko jemu już się to znudziło. Tak powiedział. To był taki młody chłopak, który chciał coś robić a w wojsku to trzeba było wszystko tak robić, jak inni kazali. Wiem, że jego złapali, poszedł pod sąd i dostał kilka miesięcy. A poza tym ja nigdy o innych nie słyszałem. O dezercjach Żydów nie słyszałem. Nigdy w moim życiu nie miałem trudności z Żydami, żeby przeciwko byli czy coś takiego.

Janusz Zuziak: Czyli w jednostce, w której pan służył nie było, a przynajmniej pan nie słyszał, żeby miały miejsce jakieś antysemickie wystąpienia?

Władysław Kohutnicki: Absolutnie nie, absolutnie nie.

Janusz Zuziak: Czyli może pan powiedzieć, że stosunki między wami układały się dobrze.

Władysław Kohutnicki: Wszystko się dobrze układało. Wcale się o tym nie mówiło wtedy. Dywizja Pancerna składała się z samych prawie ochotników, każdy chciał zostać do niej przydzielony. Bo jak nie chciał to nie musiał przyjeżdżać. To nie było wtedy aktualne. Naturalnie słyszało się o tym, że w Londynie są partie polityczne, że kłócą się o to, o to, ale to była inna sprawa. Myśmy się tym nie zajmowali. Czytało się o tym ewentualnie w gazecie.

Władysław Kohutnicki: Czyli na co dzień nie interesowały pana sprawy tzw. wielkiej polityki, tej uprawianej w Londynie?

Władysław Kohutnicki: Nie. Za dużo było na głowie. Myślało się o tym, jak jest w kraju, co jest w Rosji. Takie rzeczy nas interesowały, ale nikt nie myślał o tym, żeby Żydów tłuc czy się z nimi kłócić. Mieliśmy w szwadronie na przykład jednego Żyda, bardzo przyzwoity chłopak. Nic nigdy nie można mu było zarzucić.

Janusz Zuziak: Czy w tym czasie, kiedy pan był już w Dywizji, trafiali do szeregów żołnierze, którzy mieli za sobą służbę w armii niemieckiej?

Władysław Kohutnicki: Tak, to później się zaczęło. Dopiero po inwazji, kiedy już wyszliśmy z Anglii i zaczęły się akcje na lądzie, wtedy dostawaliśmy takich. A przedtem dostawaliśmy rozmaite uzupełnienia, m.in. było u nas w szwadronie takich dwóch, którzy byli w armii marszałka Rommel'a. Ci byli przez Anglików zabrani do niewoli i później przydzieleni do nas.

Janusz Zuziak: Przed inwazją w Normandii był pan w dywizji na stanowisku dowódcy plutonu. Czy ma pan jakieś swoje przemyślenia na temat przygotowań do

inwazji, na temat szkolenia, systemu dowodzenia, relacji między żołnierzami a dowódcami etc.

Władysław Kohutnicki: Nie chcę być szowinistą, ale powiadam, że stosunki były nadzwyczajne. Naszego dowódcę szwadronu bardzo żeśmy lubili, nasz dowódca pułku, wtedy był nim pułkownik Koszutski (Stanisław – przyp. J.Z.), był po prostu noszony na rękach przez oficerów i żołnierzy. Jak się siedzi w tym samym szwadronie przez kilka lat, to się zna wszystkich dobrze i jakoś się układa. Naturalnie, że były tam jakieś, może troszkę rywalizacji. Ale trudno powiedzieć, że to cechuje ten okres. Nie. Ja mam jak najlepsze wrażenia. Podobnie później było już w wojsku holenderskim. Naturalnie, były czasami jakieś nieporozumienia, to jest zrozumiałe, ale to się wszystko na bok odsuwa, jeżeli przychodzi do konkretnej sprawy, kiedy się mówi o wyższych ideałach. Co tu dużo mówić, myśmy byli wszyscy idealistami. Najlepszy dowód, że większa część Dywizji, dużo, dużo większa część Dywizji została na zachodzie. Nie wracała do Polski. To jest ważne. I teraz nie dlatego, że powiedzieli, że w Polsce nie będziemy mieli co jeść, czy coś takiego. To nie było to. Ci, którzy wracali, to mieli jakieś prywatne powody. Ktoś musiał wracać do rodziny, do matki, do żony, do dzieci i dlatego on wrócili. A reszta została na zachodzie. Bo myśmy byli idealistami, naprawdę.

Janusz Zuziak: Proszę powiedzieć jeszcze o atmosferze w szeregach żołnierzy Dywizji przed inwazją. Jak ta atmosfera zmieniała się w miarę nieuchronnego przecież, coraz bliższego momentu wejścia panów do walki. Do walki za Polskę, za polską sprawę, za niepodległość Ojczyzny. Byliście panowie idealistami, mieliście walczyć niebawem za te właśnie ideały.

Władysław Kohutnicki: Istotnie, tak było, jak pan mówi. To były ideały, każdy to rozumiał. Ale, kiedy się wchodzi w tą sytuację, że jutro czy pojutrze się wchodzi do walki, to nie ma tego nastroju, że bierzemy szabelkę i idziemy. Nie, tego nie było. Ale była to taka poważna sytuacja. Każdy się zastanawiał, jak to będzie, ale nikt nigdy nie powiedział, że nie chce iść. Nie, tego się nie słyszało, tego nie było. Ogólnie żołnierz tak rozumiał sytuację, że taka jest nasza kolejka, nasz los, to musimy robić.

Janusz Zuziak: Przed samą inwazją odbywały się takie większe ćwiczenia, już przygotowawcze. Pan brał w nich udział. Proszę powiedzieć, jak pan to wspomina, jak układała się współpraca z innymi jednostkami?

Władysław Kohutnicki: Trudno jest o tym coś powiedzieć. Na szczeblu dowódcy plutonu, szwadronu, ma się z innymi mało kontaktu. Są takie oddziały, powiedzmy pułk

rozpoznawczy, który musi koordynować i współpracować z sąsiadami. Oni mieli kontakty. Ale pułk pancerny takich nie miał. Trudno mi o tym coś powiedzieć. Słyszało się naturalnie co opowiadał jeden, drugi, ale to dopiero od szczebla brygady wzyź.

Janusz Zuziak: Do inwazji był pan cały czas na tym samym stanowisku?

Władysław Kohutnicki: Tak, ciągle w tym samym plutonie. Przed inwazją siedzieliśmy na ćwiczeniach letnich na północny-wschód od Londynu, w miejscowości Brighton. To było miejsce postoju naszej brygady. 3 Brygada Piechoty siedziała więcej na północ, nie pamiętam, jak się ta miejscowość nazywała.

Janusz Zuziak: Czy ma pan na myśli Brighton nad morzem, na południu Anglii?

Władysław Kohutnicki: Nie, przepraszam, to w takim razie nie nazywało się Brighton. (W okresie 14 maj-15 lipiec 1944 roku 1 Dywizja Pancerna przebywała na ćwiczeniach w Anglii w rejonie Scarborough, Bridlington, Malton i Pickering, Tereny te znakomicie nadawały się bowiem na ćwiczenia jednostek pancernych. Przeprowadzono wiele intensywnych ćwiczeń, w tym jedno międzydywizyjne przeciwko kanadyjskiej 4 Dywizji Pancerniej, z którą miesiąc później czołgiści gen. Maczka razem nacierali na Niemców. – przyp. J.Z.).

W czasie jednego z takich ćwiczeń, zdaje się, że to brygadowe ćwiczenia były, przyszła wiadomość „cisza”. Zarządzili ciszę, nie można radia było używać. W żadnym wypadku. Do tego byliśmy przygotowani, że w pewnym, momencie może być wydane takie zarządzenie. Ćwiczenia naturalnie się skończyły, bo broń pancerna bez radia co mogła robić. W kolumnie jechać tylko. Ćwiczenia skończyły się, wróciliśmy do koszar. Przypuszczalnie następnego dnia była ta inwazja. Dowiedzieliśmy się, że jest lądowanie we Francji.

Janusz Zuziak: Na jakim czołgu pan wtedy jeździł?

Władysław Kohutnicki: Na czołgu „Sherman’ie” 75 mm. Natomiast, kiedyśmy już w akcji byli zaawansowani, przyszedliśmy do Holandii już, po zajęciu południowej Holandii wymienili nam czołgi na lepsze z działem 76 mm. To były dużo lepsze czołgi. Działa 75 mm to się nie nadawały do takiego wojska. Pamiętam dobrze, że w czasie akcji natknęliśmy się na niemiecki czołg „Tygrys”. Wiadomość o tym, że ten „Tygrys” tam jest dostaliśmy w czasie akcji od piechoty. Dowódca szwadronu wysłał mnie naprzód. Mieliśmy zrobić rozpoznanie. Pluton składał się z trzech czołgów. Zajęliśmy w przodzie stanowiska do rozpoznania. Istotnie, poprzez zarośla widać było, że to jest czołg. Ja strzelałem do tego czołgu i amunicją przeciwczołgową, przeciwpancerną i granatami parę razy. Chyba jakieś pięć razy. To samo zrobili inni. Ten czołg stał, nie

ruszał się. Co się okazało, załoga była wybita przez lotnictwo, ale ten czołg – widzimy – stoi. Nikt nie wysiadzie z czołgu, żeby zobaczyć co tam jest takiego. Myśmy ten czołg obserwowali z odległości jakieś 200-300 metrów. Myśmy strzelali, w końcu piechota poszła naprzód, myśmy poszli. W końcu wysiadłem z czołgu. Okazało się, że załoga jest wybita, czołg stał. Ja patrzę, jakie są rezultaty. Widać wszędzie, że trafiony, ale jemu się nic nie stało. Nic się nie stało! Jeśli natomiast niemiecki czołg z działem 75 ppanc. strzelał w „Sherman’a”, to „Sherman” został uderzony tylko pociskiem, nie trafiony, uderzony tylko, czołg stał w ogniu. Palił się. W ten sposób w Normandii na trzecim czołgu skończyłem tam walkę.

Pierwszego dnia, jak poszliśmy do akcji, było bardzo ładnie, ale nic się nie widziało. Trafiliśmy na dobrego przeciwnika. Nic żeśmy nie widzieli. Wiedzieliśmy tylko z radia, że tam są itd. Wyszliśmy do natarcia. W pierwszych chwilach nic nie widziałem, a od nas czołgi zostały wystrzeliwane. Dopiero przez te błyski dział widziałem, że tam jest nieprzyjaciel. Niemcy doskonale się kamuflowali. Doskonale to umieli i mogli. A ten, który się posuwa nie może tego używać. I tego pierwszego dnia to była nasza słynna szarża, która niestety na niczym się skończyła.

Janusz Zuziak: Czy często bywało tak, że te czołgi niemieckie sprawiały takie problemy?

Władysław Kohutnicki: Zawsze trzeba się było z tym liczyć. Z tym, że najczęściej rozwiązanie było takie, że wołało się lotników i lotnicy przychodzili nam z pomocą.

Janusz Zuziak: Czy ma pan w swych wspomnieniach z tego okresu, z okresu inwazji, coś co panu szczególnie utkwilo w pamięci, jakieś szczególne zdarzenie, które wywarło silne wrażenie?

Władysław Kohutnicki: Pierwszy dzień zrobił na mnie wrażenie. Prawdziwa akcja przeciwko dobrze uzbrojonemu przeciwnikowi. Bo to czego świadkiem osobiście byłem w Polsce to nie wyglądało tak. Ja trafiałem na małe oddziały, najczęściej spieszone, może zmotoryzowane. Ale ja nigdy nie trafiałem na oddział pancerny. Byli na motocyklach itp. To widziałem w Polsce. A tam trafiliśmy na przeciwnika, który był już przygotowany. Najważniejsze z moich spostrzeżeń to są te właśnie kamuflaże niemieckich czołgów. Przed nami były często dwie linie ustawionych czołgów, a tam nic nie można było zobaczyć. A każdy patrzył przecież przez lornetkę, nie tylko ja, ale inni też. Dopiero, jak żeśmy podeszli w tej szarży blisko pod lufy przeciwników, jak oni otworzyli ogień to wiedzieliśmy, że oni tam stoją.

Janusz Zuziak: I dopiero lotnictwo musiało was wspomóc?

Władysław Kohutnicki: Nie. Myśmy się wycofali, akcja się nie udała. 8 sierpnia pierwsza akcja się nie udała. Następnego dnia znowu Brygada nacierała, w innym szyku z innym zadaniem. Wszedł 1 pułk czołgów. Dostał również niezłe po tyłku, że tak powiem.

Jeżeli chodzi o okres walk w Normandii to były trzy takie dla mnie ważne wydarzenia. Ta pierwsza akcja właśnie. To jedno. Ta akcja jest dokładnie opisana w książce K. Jamar, „With the tanks of 1st Polish Armoured Division”. (Praca wydana została w Hengelo w Holandii. Opis wspomnianej akcji czytelnik znajdzie na stronach 55-62 – przyp. J.Z.) Pan wie co to jest „Jamar”. „Jamar” to jest skrót dwóch nazwisk. „Ja” – to jest Jazdowski, „Mar” – to jest Marowski. Ci dwaj to napisali. To znaczy Jazdowski miał fotografie, a Marowski, ze sztabu Dywizji, pisał to wszystko. Dwóch oficerów, Jazdowski z naszego pułku.

Przed akcją zamknięcia „kotła” pod Falaise dowódca pułku zrobił odprawę. Na tej odprawie byli tylko dowódcy szwadronów, ale ponieważ to się odbywało na zewnątrz namiotu, ciekawi mogli tego wszystkiego również słuchać. Ja poszedłem słuchać. Słyszałem wszystko co dowódca pułku mówił. Byłem przy tym, słyszałem, wiedziałem o co chodzi, na czym polega cały dowcip. Ale, żeby konkretnie to powiedzieć, to był nocny przemarsz na tyły Niemców. Wyznaczyli znowu 1 szwadron, jako czołowy i normalnie szedłem zawsze, jako pierwszy z 2 plutonem, a tym razem poszedł 1 pluton. Noc była dobrze ciemna. Wyjechaliśmy z miejsca postoju, gdzieś w polu. Podali nam oś marszu. Niestety mapy nie wszyscy mieli. Ta mapa, którą żeśmy mieli, okazało się, że to nie było dobre wydanie. Tak, że w końcu jechaliśmy według wiadomości, które się zbierało od kilku Francuzów, którzy tam mieszkali. Jeden z nami pojechał. Został zabity. Francuz, jako przewodnik. Chciał nam drogę pokazać. Natknęliśmy się na Niemców. Niemcy strzelali z karabinów maszynowych i zabili go. W końcu szło się, że tak powiem „na nosa”. Było dobrze ciemno, ale w pewnym momencie dostaliśmy wiadomość: „Niemiecka kolumna”. Jak to się stało? Przed nami były jakieś dwa, albo trzy jeepy od nas. Oni rozpoznali drogę i stwierdzili, że przed nami jadą czołgi niemieckie. Podali tę informację dowódcy pułku. Dowódca pułku powiedział: „Skupić się. Nie strzelać”. I jedziemy. Myśmy jechali w kolumnie obok niemieckich czołgów. Oni nie orientowali się co to jest. Przyjechaliśmy na jakieś skrzyżowanie. Widać było, że stoi tam niemiecka regulacja ruchu, pokazuje nam na lewo, a tym na prawo.

Janusz Zuziak: Czyli że jechaliście w jednej kolumnie?

Władysław Kohutnicki: Obok siebie. Dwie kolumny obok siebie. Ale to było na odcinku może 200 metrów. Taki fakt. I to robi swoje wrażenie. Nikt się nie zorientował. Dopiero, jak przejechaliśmy, jak ostatni czołg przejechał, to jeden z niemieckich oficerów coś podejrzewał, coś mu tam nie grało, zaczął świecić i zorientował się, że to alianci. Zaczęli strzelać, ale już było za późno. Tak była sytuacja. To robiło wrażenie. Taki wypadek.

Rano, gdzieś około 2.00 godziny natknęliśmy się znowu na jakieś niemieckie czujki. Jechaliśmy dalej. Wtedy zorientowano się, że to jest jakieś niemieckie dowództwo. Dowódca pułku nakazał natrzeć na nich. Okazało się, że to było dowództwo jakiejś niemieckiej dywizji. Na mnie robiło wrażenie to, że wychodzili tacy oficerowie nie w pełni jeszcze ubrani, tylko w spodniach bez kurtek i z pistoletem. Strzelali do nas, do czołgu. To robiło na mnie wrażenie, że oni z pistoletów do czołgów strzelali. Wystarczyło przecież tylko wieżę pokręcić i z karabinu wystrzelać wszystkich.

Następnego dnia, jak żeśmy się zatrzymali, mieliśmy odpoczynek. Niemcy nas przypuszczalnie obserwowali. Wtedy wyszły takie trzy „Panther’y”, ustawiły się w odległości jakiegoś kilometra od nas, na wzgórzu. Widzieli gdzie myśmy stali i zaczęli strzelać. Jeden, drugi, każdy czołg zaczyna się palić. To też robiło na mnie wrażenie. Pamiętam, że wtedy powiedziałem, że teraz jest kolejka na mnie. Myśmy akurat wtedy benzynę nabrali. Strzał w podwozie. Wszystko się paliło. Wtedy zeskoczyłem z czołgu i tak, jak byłem ubrany, w kombinezon, wleciałem do jakiegoś dołka, żeby się odsunąć, odlecieć od tego palącego się czołgu. Wiem, że przez taki płotek przeskakiwałem, przez który w normalnych warunkach nigdy bym nie przeskoczył!

Janusz Zuziak: Czy wszyscy z tego czołgu się uratowali?

Władysław Kohutnicki: Wszyscy się uratowali. Pierwszego dnia akcji straciłem czołg. Byłem wtedy dobrze poparzony. Brwi, nos, wąsy naturalnie spalone. Popalony byłem dobrze, ale nikomu się nic nie stało, poza kierowcą, który nie mógł na czas wyjść. Spalił się tam. W tym czołgu. Wyciągnęliśmy go po paru godzinach, ale był tak poparzony, że w końcu zmarł.

W tym drugim przypadku nikt nie zginął, ale czołg spalił się. W pierwszej akcji 8 sierpnia natarcie było całego pułku, frontalnie na nieprzyjaciela dobrze okopanego, zamaskowanego dobrze. I dostaliśmy po tyłku, że tak powiem. To było pierwszego dnia. Tam straciliśmy dużo czołgów. Z mojego plutonu żaden nie został, wszystkie trzy zostały spalone. Wtedy, jak dostałem strzał pod wieżę, czołg stanął w płomieniach, wszyscy musieliśmy wysiadać. Wszyscy wysiedliśmy, poza kierowcą. Ale tego nie

widać od razu, każdy zeskakuje i kładzie się natychmiast. Zanim się człowiek zorientuje. Biegają jeszcze inni ludzie z innych czołgów. Nie ma orientacji. Opis tej właśnie akcji jest u Jamara.

Drugi czołg straciłem stojąc na postoju. Myśmy wcale nie mogli strzelać. Każdy sobie zdawał z tego sprawę, że z działa 75 mm na odległość kilometra nie ma sensu strzelać. Była taka organizacja, że dwa czołgi w plutonie były z działami 75 mm i jeden czołg 17-to funtówka. To było dobre przeciwpancerne działo. W takich sytuacjach trzeba było tą podciągać. Ale Niemcy wiedzieli o tym i jak zaczynali strzelać to zawsze celowali najpierw w tą 17-to funtówkę. Zwykle dwie takie 17-to funtówki były u nas niesprawne, trafione, więc trzeba było czekać na uzupełnienie. Wtedy nic nie można było zrobić, co najwyżej rzucało się jakąś zasłonę dymną. Właściwie biernie żeśmy stali i czekali. Niemalże bezbronni. I tylko dowódca dawał rozkazy, że 17-to funtówka musi przyjechać tu i tu. A ona stała gdzieś tam zupełnie na boku, gdzieś ustawiona w kolumnie. Musiała wymijać, szukać miejsca. To trwało, a w międzyczasie Niemcy nam jeden, dwa czy trzy czołgi rozwalili. To zrobiło na mnie wrażenie.

Trzeci raz to było, kiedy byliśmy już na „Maczudze”, broniliśmy jej. Czołgi nie stały w miejscu tylko ciągle się zmieniały, albo na lewo, albo na prawo przesuwane było. Żeby mieć lepsze, dogodnie stanowiska strzeleckie, żeby móc w Niemców strzelać. Niemcy też stale gdzieś zmieniali pozycje, odchodzili, więc stale trzeba było się przegrupowywać. Pamiętam, że jechałem naprzód, Niemcy strzelali i zestrzelili mego sąsiada. Widziałem to i pomyślałem sobie, że teraz jest kolej na mnie. Nic nie można było zrobić. Do tyłu nie można się było cofnąć, bo był rozkaz iść naprzód. Teren jest nie zakamuflowany, dość odkryty. Idzie się plutonem, trzema czołgami, jeden wybiera sobie lepszą ścieżkę, drugi gorszą. To zależy, jak kto wychodzi do akcji. Tak też się stało. Ten, który był najbardziej widoczny, najmniej zakamuflowany dostał pierwszy strzał. Ja byłem lepiej zakamuflowany, za jakąś górką stałem. Górka była taka mała, może jak czołg. No, dostałem dlatego pod wieżę strzał. A co się z trzecim stało to już nie wiedziałem, bo trzeba było wysiadać.

Janusz Zuziak: Chciałbym zapytać pana o jedną rzecz, o wydarzenie, o którym opowiadał mi jeden z żołnierzy, czołgista z 1 Dywizji. On twierdzi, że zdarzały się takie sytuacje, że w czasie walki załogi czołgów niemieckich, w których znajdowało się dwóch czy trzech żołnierzy pochodzenie polskiego, Ślązaków czy na przykład z Pomorza, zabijały lub w jakiś inny sposób pozbywały się członków niemieckich załogi i

przechodziły na stronę polską czy też ogólnie mówiąc aliancką. Czy pan słyszał może o takim zdarzeniu?

Władysław Kohutnicki: Nie, nie słyszałem.

Janusz Zuziak: Ale czy pana zdaniem coś takiego było w ogóle możliwe na froncie?

Władysław Kohutnicki: W zasadzie możliwe. To zależy oczywiście od warunków i sytuacji. Na przykład w Normandii siedział jeden czołg obok drugiego. Zawsze zgrupowanie było. Ale kiedy wchodziliśmy już do Niemiec to Niemcy nie mieli już tak dużo czołgów. Z paru czołgów zbierali gdzieś jeden pluton czy coś takiego, może batalion. One działały osobno, więc coś takiego było możliwe. Druga rzecz, jak żeśmy od Holandii szli w kierunku Wilhelmshaven, teren był nie bardzo odpowiedni dla czołgów. Trzeba było się zawsze posuwać po dobrych druzkach, bo to był okres albo jesieni, październik, albo znowu styczeń czy luty. To wszystko było podmokłe, zamrznięte albo nie zamrznięte. Jak się czołgiem jechało, to kłapa. Tak, że posuwanie się czołgami to było zawsze wzdłuż druzek. Jest to możliwe, że jak gdzieś czołg niemiecki działał w odosobnieniu, to takie sytuacje przejścia były w zasadzie możliwe, ale ja nie słyszałem o takich wypadkach. Nigdy się z tym nie spotkałem. Nigdy nie słyszałem, że ktoś w polskiej dywizji wziął jakieś niemieckie czołgi do niewoli. Po fakcie, po jakiejś bitwie to się szło naprzód i tam zostawały jakieś postrzelone czołgi niemieckie. Widziało się takie, ale dobrze jadących, sprawnych czołgów nigdy nie widziałem.

Janusz Zuziak: Miał pan zapewne bezpośrednią styczność z jeńcami niemieckimi. Jaka była pana reakcja, co pan odczuwał w takich momentach, jak reagowali pana koledzy, stając twarzą w twarz z jeńcami niemieckimi? Jakie były wówczas panów zachowania, czy były one może nacechowane jakąś agresją do jeńców niemieckich?

Władysław Kohutnicki: Mnie się wydaje, że wszystko było odpowiednio. Myśmy, natrafiając i walcząc z Niemcami widzieli, że to jest żołnierz. Ja nie miałem w sobie osobiście takiej nienawiści. SS-man gdyby się trafił to byłoby inaczej, ale zwyczajnego żołnierza traktowało się, jak żołnierza. Braliśmy do niewoli Niemców, ale sytuacja była taka, że z czołgu nie można było nikogo wysadzić, żeby się nim zajął. Jeńców oddawało się piechocie. Co oni tam później robili? Na miejscu żadnych złych rzeczy nie było. Takich rzeczy, żeby zabierano Niemcom zegarek, czy tam straszono, że uszy się obetnie, nigdy nie widziałem, nigdy o tym nie słyszałem.

Janusz Zuziak: Ale czy słyszał pan może o takich sytuacjach, które już później miały miejsce, po przekazaniu jeńców piechocie, że jeńcy ci byli źle traktowani, bici czy wręcz zastrzeleni?

Władysław Kohutnicki: Może ktoś tam dostał po buzi, to jest bardzo możliwe, bardzo możliwe. Ale żeby ich jakoś specjalnie męczyć, nie słyszałem. W moim pułku tego nie było na pewno. Ale powiadam, sytuacja była taka, że myśmy się tym nie zajmowali. Kiedyśmy szli tutaj w Holandii i w Niemczech zawsze działaliśmy szwadronem czołgów z jedna kompanią piechoty. Ci z piechoty zajmowali się jeńcami.

Janusz Zuziak: Wróćmy może jeszcze do pańskiego szlaku wojennego. Mówiliśmy o Normandii, działaniach we Francji. Jak później to wyglądało?

Władysław Kohutnicki: Na „Maczudze” zostałem ranny i wywieźli mnie rannego do Anglii, później do Szkocji. Odłamek, przypuszczalnie z pancerza, włożył mi w ramię. To była paskudna rana, nie chciała się szybko goić. Nikt wtedy z mojego czołgu nie zginął. Czołgi się paliły, ale wszystkim udało się uratować, poza tym kierowcą, o którym mówiłem, że zmarł na skutek poparzeń.

Po powrocie ze szpitala, to już było wtedy, kiedy staliśmy na granicy holenderskiej. Tak, że w walkach w Belgii nie brałem udziału.

Janusz Zuziak: Czyli okres walk w Belgii spędził pan w szpitalu. Długo pan był w szpitalu?

Władysław Kohutnicki: Jakies dwa miesiące.

Janusz Zuziak: Czy po leczeniu wrócił pan do tej samej jednostki, do tego samego pododdziału?

Władysław Kohutnicki: Do tej samej jednostki, tak.

Janusz Zuziak: Kiedy pan wrócił do oddziału? Czy jeszcze przed walkami w rejonie Baarle-Nassau i wyzwoleniem Bredy, czy już po tych walkach?

Władysław Kohutnicki: W trakcie tych właśnie walk. Jak akcja na Bredę była to już byłem. 10 dni pułk stał na granicy belgijskiej, na granicy Belgia- Holandia, i wtedy dołączyłem.

Janusz Zuziak: No i jak tutaj, już na terenie Holandii pańska droga wojenna przebiegała?

Władysław Kohutnicki: Były duże braki i w sprzęcie i w ludziach. Kiedy wróciłem, zostałem od razu zastępcą dowódcy szwadronu.

Janusz Zuziak: Czy to był ten sam szwadron w którym służył pan wcześniej?

Władysław Kohutnicki: Tak, ten sam szwadron. Sam przebieg walk to jest dość znana rzecz. Był na przykład taki niemiły wypadek, że jako zastępca dowódcy szwadronu nie miałem czołgu. Jeździłem na „Scout-car’ze”. Czekałem, kiedy dowódca szwadronu będzie zabity, albo ranny, wtedy musiałem objąć dowództwo.

Janusz Zuziak: Lepiej zdecydowanie było nie doczekać tego momentu.

Władysław Kohutnicki: Tak, na pewno. O samych działaniach nie bardzo chyba jest sens opowiadać, bo przecież jest to już i opisane i dziesiątki ludzi już o tym opowiadały.

Janusz Zuziak: Może ma pan w pamięci jakieś własne przeżycia, historie osobiste, które w szczególny sposób utkwiły w pańskiej pamięci?

Władysław Kohutnicki: Jak żeśmy już stali w Oosterhout, zaczęła się ofensywa Rundstedta, na południu od nas. Wtedy przyszły rozmaite zarządzenia, m.in. nasz szwadron dostał zadanie obrony lotniska Etten Leur (miejsowość na południowy-zachód od Bredy – przyp. J.Z.). Nie pamiętam, jak się nazywa to lotnisko, ale na mapie mogę pokazać. Jechaliśmy szwadronem, żeby to ubezpieczać. Spodziewaliśmy się albo lądowania tam, albo spadochroniarzy. Musieliśmy rozpoznawać drogi, ustalać na wszelki wypadek wiele spraw. To było takie ciekawe, napięcie było. Każdy już opowiadał, że Niemcy siedzą już w powietrzu. Okazało się, że nikt tam nie przyleciał. W każdym bądź razie u nas było takie nastawienie. To było takie ciekawe.

Kiedy staliśmy na linii Mozy, wtedy następowała wymiana i uzupełnianie sprzętu. Wymieniano przede wszystkim czołgi. Na dużo lepsze. Chodzi w tym wypadku o działo. Działo 75 mm, tak jak powiedziałem, to nie jest działo przeciwpancerne, to jest działo artyleryjskie, zdolne do strzelania pociskami rozpryskującymi, granatami, a nie pociskami przeciwpancernymi. Te nowe czołgi miały także szersze gaśienice i przez to nie tak łatwo siadały na mokrym terenie.

Janusz Zuziak: Jak pan wspomina swoje pierwsze kontakty z ludnością holenderską tutaj w trakcie postoju w rejonie Bredy?

Władysław Kohutnicki: Ja osobiście wspominam to nadzwyczajnie. Ja tutaj znalazłem przyszłą żonę! W tym okresie właśnie.

Janusz Zuziak: Czy żona pana pochodzi w Bredy?

Władysław Kohutnicki: Nie, z Hertogenbosch.

Janusz Zuziak: W jakich okolicznościach poznał pan żonę?

Władysław Kohutnicki: Bardzo zwyczajnie. Kiedyśmy przyszli do Hertogenbosch, tylko jeden szwadron tutaj stał w Hertogenbosch. Reszta pułku była na południe, w Vught m.in. Tam było dowództwo pułku i 3 szwadron, a drugi szwadron znowu był

wysunięty do innej wioski. A nasz 1 szwadron dostał miejsce przeznaczenia w Hertogenbosch, z tym, że myśmy musieli współpracować razem z brygadą piechoty morskiej. Oni mieli tu swój odcinek. Myśmy byli przydzieleni, żeby ich wspierać naszymi działami i czołgami.

Kiedyś tu przyjechali nasi kwatermistrzowie przydzielili kwatery. Ja dostałem adres rodziny u której miałem mieszkać. Poszedłem tam istotnie. Przyjęła mnie bardzo mile pani, pokazała pokój, który dostałem, zostawiłem swoje rzeczy i poszedłem. Dopiero wieczorem, jak przyszedłem okazało się, że tam jest jeszcze córka. To jest moja przyszła żona.

Kontakty były bardzo miłe. Myśmy mieli tutaj w Hertogenbosch dwie ulice zajęte przez Polaków, gdzie naprawdę Holendrzy dawali miejsce i szukali kto przyjdzie do nich mieszkać! W ten sposób. Bardzo mile nas przyjęli. Mieliśmy m.in. swoje kasyno oficerskie w jakimś takim pokoju, który dostaliśmy. Urządziliśmy je tam.

Ponieważ staliśmy tutaj dwa miesiące prawie, tak się złożyło, że trzeba było coś robić. Mieliśmy kontakty z miejscową ludnością, ale najważniejsze, zbieraliśmy się w kasynie oficerskim i mieliśmy tak zwane wieczory rozpaczy. Dlaczego mówię wieczory rozpaczy? Tak żeśmy wtedy mówili. Wówczas wyszła cała sprawa Jałty. To było bardzo aktualne wtedy. No, ale co było robić. Do Polski wracać, co robić? Takie dyskusje były. Dużo się tam o tym nie mówiło, ale zawsze, jak się zbierali tylko oficerowie, to zastanawiali się co dalej robić, pytał się jeden drugiego. Tak się gadało w towarzystwie. No i tak jedna wódeczka, piwo, w końcu zaczęliśmy śpiewać. Śpiewaliśmy sobie dawne legionowe piosenki, także ludowe. I to tak było wesoło, w ten sposób spędzaliśmy wieczór. To nazywaliśmy wieczorem rozpaczy. Najważniejsza kwestia to była kwestia Jałty właśnie. Myśmy sobie zdawali sprawę, że to jest nie dobrze.

Janusz Zuziak: Czy były w tym okresie jakieś głosy padające z ust pańskich kolegów, żeby w związku z Jałtą przestać walczyć dalej?

Władysław Kohutnicki: Może ktoś indywidualnie miał takie zdanie. Ale to nie było powszechne.

Janusz Zuziak: Czy mógłby pan coś więcej powiedzieć na temat stosunków państwa tutaj z Holendrami. Jak układały się te relacje w okresie waszego pobytu na ziemi holenderskiej? Czy tylko były objawy sympatii, czy też zdarzały się jakieś mniej przyjemne wydarzenia? Przecież pewien odłam Holendrów nastawiony był dosyć mocno proniemiecko.

Władysław Kohutnicki: Po wojnie wszystkich tych, którzy byli po stronie Niemców, internowano, kobietom włosy ścinano itd. Takie były szykany. Jak się popatrzy procentowo to nie tak dużo było. W Bredzie możliwe, że było inaczej, w Hertogenbosch nie było. Ja nie mogę powiedzieć, że w czasie wojny wśród Holendrów było dużo zwolenników Niemiec. Można jedno powiedzieć, była taka przed wojną część, która była proniemiecka i oni utworzyli nawet swoje bataliony wojskowe. Jak się to nazywało to zapomniałem w tej chwili, ale były takie. Ale w czasie okupacji, kiedy myśmy tutaj byli to już tego nie było. Ci, którzy ewentualnie byli po stronie niemieckiej, to albo uciekli, albo ich tam pozamykali. Wiadomo było, że iluś tam siedziało. W Bredzie na przykład. Tutaj w Hertogenbosch nie. Nie mogę powiedzieć, że tu gdzieś się spotykało ludzi, którzy byli nam wrogo nastawieni, przeciwnie. Poza tym Polacy byli troszkę inni jak Kanadyjczycy i Anglicy. To robiło też swoje.

Janusz Zuziak: W czym się ta „inność” objawiała? W języku, kulturze, zachowaniu?

Władysław Kohutnicki: Na pewno w języku, bo nikt nie mówił po polsku a po angielsku czy tam po „kanadyjsku”. Po angielsku wiele osób mówiło tutaj, tak jak po niemiecku. Z Polakami nikt się nie mógł dogadać, ale Polacy byli dobrze wychowani, mieli to zaplecze bywania w obcych domach, szanowania ludzi, dostosowania się do obyczajów. Tak, że myśmy zawsze mieli tu dobrą markę. To trwało niedługo, ale przez tych kilka miesięcy dobrze się zapisaliśmy. Tak dalece, że była pewna sympatia pewnych osób specjalnie dla Polaków, w wyniku czego po wojnie, kiedyśmy byli już w Niemczech, powstał tutaj w Hertogenbosch Komitet, który w dowód wdzięczności za oswobodzenie, a właściwie pomoc w oswobodzeniu, bo Hertogenbosch było oswobodzone przez Brytyjczyków, ale później byliśmy tutaj i sławiliśmy Polskę, więc w dowód wdzięczności, naszego udziału tutaj, podarowano nam Złotą Księgę, która jest, istnieje i jest w muzeum. Ja ją tam oddałem. Jest w Muzeum Maczka w Londynie. (Muzeum gen. Maczka znajduje się w Bredzie, natomiast Władysław Kohutnicki ma tu najprawdopodobniej na myśli Instytut Polski i Muzeum Sikorskiego w Londynie-przyp. J. Z.).

W skład tego Komitetu weszło trzech wysoko usytuowanych ludzi. Okazało się, że jeden z nich miał rodzinę spokrewnioną z polską rodziną Gutowskich. A Gutowski to był nasz dowódca pułku, obecnie generał. Ta księga została przywieziona przez tych ludzi, przez tą delegację, do Dywizji, a później przewieziona do miejsca postoju naszego dowództwa i tam była oficjalnie wręczona.

Gutowski żyje jeszcze, ma 89 lat. To jest ostatni dowódca 2 pułku pancernego, jeden jeszcze z żyjących dowódców pułków z tego okresu. W maju bodaj tego roku (1999 – przyp. J.Z.) został mianowany przez naszego Prezydenta obecnego, Aleksandra Kwaśniewskiego, generałem brygady. I kiedy był w Polsce w miesiącu sierpniu, przywiózł urnę z prochami swojej żony do Polski, żona była Polką, i był przyjęty przez Prezydenta i otrzymał patent generała brygady.

Janusz Zuziak: Proszę powiedzieć, jak w okresie, kiedy zawiązywały się te pierwsze nici sympatii żołnierzy polskich z dziewczętami holenderskimi, reagowała na to holenderska płéć męska? Nie było z ich strony jakiejś zazdrości?

Władysław Kohutnicki: Może i była, ale to się nie uwidaczniało. Były takie zwyczaje, że Holendrzy- w czasie wojny również- organizowali potańcówki. Zbierali się tam żołnierze rozmaitych narodowości. Również i Polacy. Tak się zawiązywały te znajomości. Ja osobiście przez to, że mieszkałem u mojej przyszłej żony, właściwie u jej rodziny, nawiązałem stosunki i tak to pozostało.

Janusz Zuziak: Ale ślub pan brał już później...

Władysław Kohutnicki: Ślub brałem po powrocie, w czasie okupacji w Niemczech. Na ślubie był dowódca pułku, pułkownik Koszutski.

Janusz Zuziak: Czy w okresie pobytu w Hertogenbosch, więzi przez pana zawiązane były już tak silne, że wiedział pan wtedy, że po zdemobilizowaniu wróci do tego miasta, do tej rodziny, do swojej sympatii, do przyszłej żony?

Władysław Kohutnicki: Nie, tak nie mogę powiedzieć. Zawsze sobie myślałem, że jak się ożenię, to moja żona idzie tam, gdzie ja pójdę. W tym wypadku jeszcze była ewentualnie Polska, albo powrót do UK. Natomiast kwestia Holandii powstała dopiero później, kiedy mi zaproponowano wstąpienie do holenderskiego wojska. Wtedy dopiero. W czasie postojów w Hertogenbosch jeszcze o ślubie nie myślałem. Jak to się mówi, jeszcze wtedy miałem swoją dziewczynę, a o ślubie myślałem dopiero po wojnie, po zakończeniu wszystkiego.

Kontakty były takie, że przeważnie ludzie zapraszali tych żołnierzy, którzy mieszkali, do siebie. I tak się te kontakty nawiązywały. Plus jeszcze takie potańcówki, gdzie każdy miał wstęp, o ile zapłacił za bilet.

Janusz Zuziak: No i potem musiał pan pójść z Dywizją dalej. Jak ten pański szlak wyglądał dalej?

Władysław Kohutnicki: Tak, jak rozkaz nakazywał szliśmy w stronę Wilhelmshaven, nie wiedząc jeszcze wtedy, że to będzie nasz ostatni etap. Zadania były takie w tym

okresie, że musieliśmy północno-wschodnią część Holandii oczyszczać z niemieckich sił. W ten sposób szliśmy do Goor w Holandii, gdzieśmy walczyli. (miejsce holenderska położona około 15 kilometrów na zachód od Hengelo, w pobliżu granicy holendersko-niemieckiej – przyp. J.Z.). Później na północ Meppel, Emmen i przyszedliśmy do miejscowości, która się nazywa Ter Apel i stamtąd wchodziliśmy do Niemiec. Nasz pułk wchodził do Niemiec przez miejscowość, która się nazywa Bourtange. Tam były dość ciężkie walki. Natknęliśmy się tam bowiem na oddziały SS, jakieś rezerwowe, czy coś takiego. W każdym razie to było wyraźnie widać z postawy nieprzyjaciela, z którym ześmy walczyli.

Dochodząc do granicy Niemiec w miejscowości Bourtange stoczyliśmy walkę. Bodajże dwa dni później przyszła wiadomość, że od razu za granicą jest obóz polskich kobiet. Ta wiadomość przyszła do dowódcy pułku. On od razu sam wsiadł do czołgu, zebrał tych którzy nie byli zaangażowani w akcję. Pojechał tam i ten obóz oswobodził. To był obóz Oberlangen. Ostatnio w Warszawie na zjeździe 1 Dywizji poznałem pewną panią, która napisała książkę o tym obozie w Oberlangen. Tą książkę dostałem. Właśnie jestem w trakcie czytania. (Na obszarze wyzwolonym przez 1DPanc. znajdowały się obozy koncentracyjne i obozy jeńców. Szczególnie ważnym wydarzeniem stało się uwolnienie-12 kwietnia-przez 2 pułk pancerny obozu jeńców w Oberlangen i Niederlangen, gdzie znajdowało się około 1700 kobiet polskich, uczestniczek powstania warszawskiego. – przyp. J.Z.)

Ja nie pojechałem do tego obozu. Ja byłem przy szwadronie. Walczyłem naturalnie, strzelałem do Niemców, Niemcy do mnie strzelali, jak to na wojence bywa.

Janusz Zuziak: Zatrzymajmy się na moment przy dniu, w którym przekraczał pan granicę holendersko-niemiecką. Czy zastanawiał się pan jakoś szczególnie nad tym, że oto przyszła ta chwila, na którą się oczekiwało, że teraz będzie się Niemców biło na ziemi niemieckiej.

Władysław Kohutnicki: Nie. Na mnie wrażenie najważniejsze zrobiło to, że Niemcy w pewnych miejscowościach, w tym wypadku mam na myśli miejscowość Weisel(?), były strasznie zbombardowane. To o czym ja teraz mówię, to było już drugie wejście mojego pułku do Niemiec, bo pierwszy raz przekroczyliśmy granicę przez Ren. Bo ażeby dotrzeć do miejscowości Bourtange, trzeba było Ren przekroczyć, a ten Ren przekraczało się na wysokości tak, jak jest ogólnie Hertogenbosch, Nijmegen, Haren (późniejszy Maczków – przyp. J.Z.), w tym rejonie jest przejście i z drugiej strony, po drugiej stronie mostu była miejscowość, nazywa się Weisel(?). Ona była strasznie

zburzona. Nie, ja się mylę co do nazwy, w każdym bądź razie tam żeśmy weszli. Na trasie przemarszu 1 Dywizji to jest wyraźnie podane. To na nas zrobiło wrażenie, te spustoszenia, jakie tam były. Później wróciliśmy do Holandii, mieliśmy znowu moje czerwono-białe domki, okrzewione trochę, bardzo mile. A wchodząc drugi raz do Niemiec na Bourtange, po stronie niemieckiej była miejscowość Rhede. No, żeby powiedzieć, że ono było strasznie zbombardowane, nie. W każdym bądź razie myśmy tam pomagali.

Janusz Zuziak: Ale pomagaliście panowie w sensie...

Władysław Kohutnicki: W sensie zniszczenia. W czasie walk, nie po walkach. Mianowicie była taka zasada, to się zaczęło już od akcji na Brede, generał Maczek powiedział, że Brede trzeba zająć wojskami, nie bombardować przedtem. Artylerii nie wolno było użyć. To w mniejszej mierze dotyczyło czołgów. Bo jak był nieprzyjaciel, to można było strzelać. Ale tą zasadę utrzymywaliśmy później również.

Janusz Zuziak: Czyli zmasowanego przygotowania artyleryjskiego się unikało?

Władysław Kohutnicki: Tego nie było. I również czołgi oszczędzały budynki po stronie holenderskiej. Natomiast, jak żeśmy przeszli granicę to było tak, że teraz możemy strzelać wszędzie. Jeśli coś było nie wiadomo, strzelać.

Janusz Zuziak: A pamięta pan pierwsze kontakty z ludnością cywilną niemiecką, już po wejściu na teren Niemiec?

Władysław Kohutnicki: Wszyscy byli strasznie wystraszeni, to było widać. I nie wiadomo czy to dlatego, że Polacy przyszli, czy dlatego, że to nieprzyjaciel przyszedł, czy dlatego, że się obawiali, że jeszcze będą strzelać. Nie wiadomo, ale widać było wyraźnie, że każdy się bał. To nas uderzało. Kiedy było się w Holandii, to wylatywali z chorągiewkami, z kawą, z herbatą, czy coś. To jest ta różnica.

Później zatrzymywaliśmy się w niektórych miejscowościach na nocleg, Niemcy byli posłuszni, wszystko robili, żeby nas nie drażnić. Przypuszczam, że oni nie tylko w stosunku do Polaków, ale również innych, Anglików czy Kanadyjczyków, tacy byli.

Janusz Zuziak: Czy zdarzały się w pana otoczeniu, czy słyszał pan o przypadkach złego traktowania Niemców. O jakichś pobiciach czy zastrzeleniu?

Władysław Kohutnicki: Ja o tym słyszałem, ale przy dalszych dyskusjach, rozmowach na ten temat, jak się pytało, gdzie to było, to nikt tego nie wiedział. Tak, że ja nie wiem czy to jest fabuła, czy to jest coś zakamuflowane. Nie wiem, nie mam pojęcia. Ja się osobiście nie spotkałem z czymś takim. Ja mogę gwarantować przypuśćmy za nasz pułk. W 2 pułku na pewno nie było tego, a co się gdzieś indziej

stało, tego nie wiem. Ale takie zdanie to słyszałem. Owszem słyszałem, ale powiadam jeszcze raz, jak się zapytałem gdzie to było, tego nikt nie wiedział.

Janusz Zuziak: W rozmowach z byłymi żołnierzami Dywizji pojawia się ten wątek właśnie. Że miały miejsce takie zdarzenia.

Władysław Kohutnicki: Bardzo możliwe, że to były, jakby to powiedzieć, wyskoki ludzi czy tam jakiegoś plutonu, czy coś takiego. Ale żeby powiedzieć, że to nasze wojsko robiło... A jak o takich rzeczach się mówi, to zawsze jest dużo przesady, dużo, dużo opowiadania, a jak się przyciska i pyta gdzie i co, to nikt nie wie. Tak jest i w tym wypadku.

Janusz Zuziak: Czyli mówi pan, że Niemcy byli bardzo przestraszeni?

Władysław Kohutnicki: Tak, absolutnie! To się widziało. Wykonywali wszystko!

Janusz Zuziak: Jak byliście panowie już nieco dłużej na okupacji, to chciał, nie chciał, musieliście się z nimi bliżej kontaktować. Mieszkaliście przecież u rodzin niemieckich.

Władysław Kohutnicki: Tak, domy były rekwirowane. Oni się temu wszystkiemu poddawali i znosili, jak można. Naturalnie od czasu, do czasu ktoś przyszedł z czapką w rękę i prosił o to, albo owo, o pozwolenie. To było w czasie okupacji, tak było. Ale ogólnie, ja przypuszczam, było wszystko w porządku, z tym, że były wyraźne rozkazy, których myśmy przestrzegali, że nie było żadnego bratania się. To było zabronione i tego nie wolno było. Nie można było iść z dziewczynami poflirtować czy coś takiego. Tak, że jak ktoś coś robił, to bardzo po cichu.

Janusz Zuziak: Jeden z panów opowiadał, że pewien żołnierz poznał Niemkę i z tego co on mówił to, że tak powiem, na dobre się poznali, bo wzięli ślub po prostu.

Władysław Kohutnicki: Tak. W szwadronie gdzie ja służyłem też tak było. To się dopiero okazało z chwilą, kiedy musieliśmy opuszczać Niemcy i trzeba było wybierać, czy jedziesz do Anglii, czy do Polski. Wtedy to wyłaziło. Czyli ten zakaz był przestrzegany, a jak ktoś coś robił, to robił po cichu. Tak, że nikomu to nie wpadało w oko. W moim szwadronie, wiem, że został taki jeden tam gdzie myśmy byli. Ożenił się z tą kobietą, mieli później sklep z obuwem. Wiele lat później, jakieś dziesięć lat później, nie, trochę mniej, osiem lat później byłem tam, pytałem o niego, ale on już nie żył. Gdzie inni coś robili, to tylko ze słyszenia wiem. Słyszałem, że ktoś miał jakąś dziewczynę w innej wiosce i tam jeździł do niej.

Janusz Zuziak: Czy już później w trakcie pobytu panów na okupacji zdarzały się jakieś wrogie akcje niemieckie, czy na przykład któryś z żołnierzy został gdzieś napadnięty, pobity?

Władysław Kohutnicki: Nigdy o tym nie słyszałem. Kto to będzie mógł powiedzieć, to ktoś z żandarmerii. Ci, którzy później tam wyszukiwali to wszystko. A kogo my mamy tutaj z żandarmerii? Mamy jednego, ale jak on się nazywa? Mieszka w Rotterdamie, ożeniony z Holenderką, był przedstawicielem Dywizji na teren Holandii. On jest z żandarmerii, on mógłby coś powiedzieć.

Janusz Zuziak: Jak długo był pan na okupacji w Niemczech?

Władysław Kohutnicki: Na okupacji byłem do 1947 roku. Dwa lata. A później stamtąd pojechałem do Anglii, po demobilizacji. W międzyczasie podczas pobytu na okupacji w Niemczech, za zgodą władz polskich, złożyłem podanie o przyjęcie do wojska holenderskiego. Dopiero dwa lata później, przy demobilizacji, dostałem odpowiedź. Napisano mi, że w zasadzie jest możliwość i że będą traktowali mnie, jak wszystkich młodych Holendrów, którzy chcą wstąpić do służby wojskowej.

Janusz Zuziak: Tą prośbę kierował pan oczywiście do władz holenderskich?

Władysław Kohutnicki: Tak, do władz holenderskich, za zgodą naszych.

Janusz Zuziak: Czy poza panem więcej było takich osób, które chciały wstąpić w szeregi armii holenderskiej?

Władysław Kohutnicki: Nie. Nie słyszałem o tym. Z oficerów o nikim nie słyszałem.

Janusz Zuziak: A przez ten okres dwóch lat pobytu w Niemczech przyjeżdżał pan tutaj do Holandii na urlop, na przepustki?

Władysław Kohutnicki: Tak jest. Przez pierwsze pół roku jeździłem tutaj na wszystkie urlopy, jakie były. Do tej właśnie rodziny, u której byłem w okresie zimowego postoju. A później moja żona przyjechała do Niemiec. Miała pozwolenie wydane przez „bezpieczeństwo”.

Janusz Zuziak: A kiedy państwo braliście ślub?

Władysław Kohutnicki: W 1945 roku. Jeszcze na okupacji. I żona ze mną była tam, na okupacji, a później, kiedy ja jechałem do Anglii, ona wróciła do Holandii.

Janusz Zuziak: Czy żona nie myślała, żeby pojechać wówczas razem z panem do Anglii?

Władysław Kohutnicki: Tak, oczywiście, ale musiała najpierw starać się o papiery, jako Holenderka. Ja nie miałem wtedy jeszcze pisemnej odpowiedzi, że zostanę

przyjęty do armii holenderskiej, ale przez znajomych już tak słyszałem, że to będzie wszystko pozytywnie załatwione.

Janusz Zuziak: Czyli zdawał pan sobie już sprawę z tego, że będzie mógł wrócić do Holandii?

Władysław Kohutnicki: Tak jest. Pojechałem do Anglii i powiedziałem, że jak nie zostanę w wojsku, to będę czegoś innego w Holandii szukał. Tak żeśmy sobie układali te plany. Ale powiadam, że już prywatnie miałem wiadomości, głównie przez żonę, że to jest na dobrej drodze. Kiedy dostałem odpowiedź oficjalną od Holendrów, że oni mnie przyjmują na zasadach i warunkach takich samych, jakie stawiają swoim oficerom rezerwy, to przyjechałem. To już było w 1949 roku. Nie, to był koniec 1948 roku, a do wojska wstąpiłem w lipcu 1949 roku.

Janusz Zuziak: Gdzie pan zaczynał służbę wojskową w armii holenderskiej?

Władysław Kohutnicki: Przyjechałem najpierw do Holandii, bo stawiali taki warunek, że ja muszę mieszkać na terenie Holandii, inaczej nie mają możliwości wydawania jakichś przepisów, dekretów itd. Dlatego przyjechałem wcześniej. A po drugie to jak ja będę tutaj mieszkał, to muszę się starać o obywatelstwo. To były takie dwa warunki, a poza tym będę traktowany tak, jak wszyscy inni oficerowie rezerwy.

Przyjechałem tutaj. Dwa miesiące później wezwali mnie do selekcji do Centrum Selekcji Oficerów. Przechodziłem tam testy, pozytywnie, tak, że wiedziałem, że zostanę przyjęty. Od razu tam miałem dwóch kolegów, tam poznałem. Takich, z którymi się później bardzo przyjaźniłem.

Janusz Zuziak: Na jakim stanowisku zaczynał pan swoją służbę w armii holenderskiej?

Władysław Kohutnicki: Zaczynałem bardzo wysoko, jak na ówczesne warunki. Z zachowaniem stopnia wojskowego z wojska polskiego. Już po sześciu miesiącach zostałem komendantem szkoły podoficerskiej. To było wysoko. Czy pan sobie zdaje sprawę, obcokrajowiec, mało znany dostaje takie stanowisko. No, to ja uważam, że wysokie stanowisko otrzymałem. Jeszcze nie będąc oficerem.

Janusz Zuziak: A gdzie ta szkoła podoficerska była zlokalizowana?

Władysław Kohutnicki: To było w Amersfort, w Centrum Wyszkożenia Kawalerii. Szkoła podoficerska kawalerii.

Janusz Zuziak: Jaka była wówczas reakcja pańskich holenderskich kolegów na taki szybki awans?

Władysław Kohutnicki: Nikt mi tego nigdy nie powiedział, ale prawda była taka, że nikt nie chciał zostać komendantem szkoły podoficerskiej, bo to była strasznie ciężka praca, bardzo dużo pracy było. Nikt mi nie miał za złe, że ja właśnie zostałem komendantem, zawiści żadnej nie było.

Janusz Zuziak: Czy wtedy już mówił pan dobrze po holendersku?

Władysław Kohutnicki: Nie. Jeszcze nie. Nigdy nie mówiłem dobrze, do końca nie mówiłem dobrze. Ale byłem rozumiany, zawsze co chciałem powiedzieć to było zrozumiane. Akcent nie zawsze był odpowiedni, ale nie było kłopotów ze zrozumieniem.

Janusz Zuziak: Jaki był stosunek pańskich podwładnych do pana osoby, jako obcokrajowca, komendanta nie Holendra?

Władysław Kohutnicki: Stosunki były dobre. Ja nigdy w czasie mojej służby nie spotkałem się z jakimś niemiłym podejściem, nie. Albo ustosunkowali się neutralnie, albo z zaciekawieniem. To było najważniejsze.

Janusz Zuziak: Jaka była pozycja społeczna zawodowego żołnierza armii holenderskiej w tym okresie, w którym zaczynał pan swoją służbę?

Władysław Kohutnicki: Nie najlepsza. Wojsko w Holandii zawsze było traktowane, jako drugorzędna warstwa. Może jest w tym co powiedziałem trochę przesady, jak pan zapyta Holendra, to powie, że nie, ale jak się przechodzi z polskiego wojska do holenderskiego i myśli się o tym, jak to było przed wojną, to porównując sytuację w tej mierze w Holandii, to tutaj nie było najlepiej. Ale sytuacja polityczna była taka, przecież wtedy nie zapominało się o tym, że połowa, no może jedna trzecia, chodziła ze znaczkami złamanej szabli. To była tendencja przeciwko wojsku. Wojsko w Holandii nie było popularne. Źle płacone i dlatego w wojsku siedzieli głównie ci, którzy może byli zmuszeni, albo naprawdę idealisci. Wojsko w Holandii nie było tak popularne, jak było w Polsce. To czułem.

Janusz Zuziak: Czy to trwało przez cały okres służby, czy też może ulegało zmianie?

Władysław Kohutnicki: Nie, później się sytuacja poprawiła, ale ostatni znowu się pogorszyła. Ale to już nie jest moja sprawa.

Jedno co muszę podkreślić, to fakt, że ja wyjątkowo dobrze trafiłem. Bo przez to, że ja byłem w czołgach w wojsku polski, przeszedłem tutaj do kawalerii pancerniej, na czołgach. A kawaleria, zgodnie jeszcze z tradycją przedwojenną, to było coś lepszego. Przed wojną, kiedy przecież w armii holenderskiej słabo płacono, to w kawalerii siedzieli sobie ludzie, którzy mieli pieniądze. Jak na przykład ktoś został dowódcą

szwadronu to siedział na tym stanowisku w stopniu rotmistrza i dziesięć lat i zadowolony był. Dobrze mu było. Jeszcze po wojnie było tak, że kto siedział w korpusie kawalerii to miał coś takiego co go wysuwało przed innych. O tych z kawalerii mówiło się, że są dobrze wychowani, dobrze ułożeni i często z pieniędzmi. W hierarchii wojskowej wyżej stali. Kawaleria była małym korpusem oficerskim. Zaczęło się od tego, że były tylko dwa pułki w porównaniu z piechotą, gdzie było od razu dziewięć pułków. Ten wąski korpus oficerów kawalerii przejął z przedwojennej tradycji to, że kawalerzyści muszą być czymś lepszym. Istotnie tak było, ja to dobrze widziałem, bo kiedy w końcu mojej kariery doszedłem do stanowiska w dowództwie brygady, gdzie siedzieli też i inni oficerowie, nie tylko z kawalerii, to widziałem tą różnicę.

Janusz Zuziak: Ile lat i na jakich stanowiskach służył pan w armii holenderskiej?

Władysław Kohutnicki: Ja wszystkie stanowiska liniowe w wojsku przeszedłem, do dowódcy batalionu i później sztabowe w Centrum Wyszkożenia i w brygadzie.

Janusz Zuziak: Z jakiego stanowiska odszedł pan na emeryturę wojskową?

Władysław Kohutnicki: Jako szef wydziału wyszkolenia Centrum Wyszkożenia Broni Pancernych. To był rok 1975. Z mojej kariery wojskowej jestem bardzo zadowolony. Miałem i mam jeszcze ciągle bardzo miłe wspomnienia. Pięć lat służby w Niemczech.

Janusz Zuziak: Czy poza Niemcami gdzieś jeszcze w innych krajach pan służył?

Władysław Kohutnicki: Prowadziliśmy ćwiczenia na terenie Francji, często jeździliśmy do Belgii, gdzie jest taki plac ćwiczeń Leopoldsburg (miejscowość położona około 60 km na wschód od Brukseli – przyp. J.Z.). Ale to wszystko były ćwiczenia, nie stacjonowałem tam.

Janusz Zuziak: Czyli karierę swoją w wojsku wspomina pan bardzo dobrze?

Władysław Kohutnicki: Tak, absolutnie. Ja jestem bardzo zadowolony! Jako obcokrajowcowi dobrze mi się tu służyło. W wojsku zawsze chciałem być w służbie liniowej. Były takie niemiłe stanowiska, jak na przykład dowódca szwadronu. Byłem na takim stanowisku w Niemczech, zupełnie na północy. Ja nie miałem nic przeciwko temu. Holendrzy chcieli służyć tam, gdzie mieli dom, tam gdzie mieli dzieci.

Janusz Zuziak: Czyli panu to po prostu nie przeszkadzało.

Władysław Kohutnicki: Nie przeszkadzało.

Janusz Zuziak: A żonie?

Władysław Kohutnicki: Też nie. Uważała, że ja muszę to robić, że skoro robię to z przyjemnością, to to jest ważniejsze.

Janusz Zuziak: A czy żona pana pracowała?

Władysław Kohutnicki: Nie, nie pracowała po ślubie nigdy. Ona pracowała przed wyjściem za mąż. W czasie wojny była w jakimś klasztorze, a po zawarciu pokoju była nauczycielką w jednej z miejscowości niedaleko stąd. Kiedy wyszła za mąż to już nie pracowała.

Janusz Zuziak: A kiedy osiedliliście się państwo na stałe w Hertogenbosch?

Władysław Kohutnicki: Na emeryturze. T, że ja mieszkam tutaj to jest przypadek. To nie jest tak, że to było zaplanowane. Mianowicie ja siedziałem w Niemczech i już wtedy było wiadomo, że za pięć lat będę musiał wyjść z wojska, no to żeśmy się rozglądali za tym co gdzie i kiedy robić. Mieszkaliśmy w Niemczech i szukaliśmy miejsca. Przysyłano nam rozmaite prospekty i w jednym z takich prospektów były te domy, w których obecnie mieszkamy. One były dopiero budowane. Wyliczyłem, że to będzie akurat na czas, to znaczy, że na dwa lata przed pójściem na emeryturę znowu będę w Holandii. Chciałem to mieć w 1973 roku. Domy były wcześniej wybudowane, tak że myśmy przyjechali tu w 1972 roku.

Janusz Zuziak: Czy po odejściu na emeryturę pracował pan jeszcze zawodowo?

Władysław Kohutnicki: Nie pracowałem. Nie pracowałem, bo gdybym pracował to wtedy zmniejszają emeryturę. Ja tego nie chciałem. Uważam, że tak jak jest, jest dobrze.

Ja zawsze się starałem być samodzielny w wojsku. Zawsze chciałem być dowódcą jakiegoś oddziału, który nie byłby podległy innym. I z początku to mi się dobrze udawało, bo były takie szwadrony samodzielne. To mi się dobrze udawało. Jak na stanowisku w takim szwadronie w wojsku człowiek się dobrze spisuje to nie ma się kłopotów. A przez to miałem dojsie do wyższych dowódców. Bo taki szwadron podlegał nie jakiemuś batalionowi, ale od razu dywizji, albo korpusowi. Tak, że znało się najwyższe osoby. Jako rotmistrz byłem na rozmaitych bankietach, na których bywał dowódca korpusu. Byli wszyscy dowódcy batalionów i jeden dowódca szwadronu.

Janusz Zuziak: Wspominał pan, że pierwsza żona pańska mówiła po polsku. Czy pan nauczył żonę języka polskiego?

Władysław Kohutnicki: Sama się uczyła, sama studiowała. Ona była ze mną na okupacji w Niemczech, później, jak stacjonowałem z holenderską brygadą w Niemczech to też ze mną pojechała.

Janusz Zuziak: A czy syn nauczył się trochę polskiego?

Władysław Kohutnicki: Syn się uczył, później zapomniał, teraz znowu przypomina sobie. On rozumie dużo, ale mówi gorzej, z silnym obcym akcentem. On mówi dobrze po francusku, niemiecku i po angielsku. Ale jak był w Polsce to się dogadywał.

Janusz Zuziak: Jaka była reakcja pańskiego ojca, kiedy dowiedział się, że jest pan żołnierzem zawodowym armii holenderskiej?

Władysław Kohutnicki: Jak była pierwsza reakcja to nie wiem. Później się tylko dopytywał co ja robię i jak to wygląda. Ojciec używał takiego pewnego kryptonimu. W pułku ojca był Węgier o nazwisku Stainer. To był kapitan, pochodził z Legionów Piłsudskiego. Tak, że dobrze siedział tam w wojsku. I ojciec mi pisał czy ja jestem tak, jak ten Stainer. Myśmy rozumieli o co chodzi. A kiedy zostałem dowódcą batalionu to powiedziałem sobie, że napiszę do ojca o tym. Wtedy napisałem, że zostałem dowódcą samodzielnego batalionu.

Jako wojskowemu nie wolno mi było jeździć do Polski bez zezwolenia ministerstwa. Nie wolno mi było jeździć do krajów Układu Warszawskiego. Moja siostra napisała mi, że ona chce jechać do Jugosławii i pytała czy ja bym tam mógł przyjechać. Przez znajomości moje pytanie o pozwolenie dotarło do mojego byłego zastępcy dowódcy szwadronu, który był szefem II oddziału. On rozpatrzył moją sprawę i powiedział, że mogę jechać. Dostałem zezwolenie z ministerstwa, że ja mogę na kilka tygodni jechać do Jugosławii. Pojechałem tam i spotkałem siostrę.

Janusz Zuziak: W którym to było roku?

Władysław Kohutnicki: Myślę, że w 1958. Siostra przyjechała tam z mężem na wakacje. Siostra jest „arzt”, doktorem, mąż również. Mąż niestety już nie żyje. Jako lekarze mają się dobrze.

Janusz Zuziak: Kiedy był pan pierwszy raz w Polsce po wojnie?

Władysław Kohutnicki: To było rok po wyjściu z wojska czyli w 1976 roku.

Janusz Zuziak: Czy ojciec pana żył jeszcze wtedy?

Władysław Kohutnicki: Nie. Wrażenie z pierwszej wizyty było takie, że gorszego nie mogło być. Byłem wtedy na Pomorzu, w Gdańsku, w Gdyni, byłem we Wrocławiu, w okolicy Brzegu i byliśmy w Bytomiu, tam mieszka część rodziny.

Janusz Zuziak: Jakie były wówczas pańskie wrażenia?

Władysław Kohutnicki: Może pan sobie wyobrazić, że wtedy w Holandii było tak, jak jest teraz. W Polsce na każdym skrzyżowaniu wisiała flaga polska i czerwona, a na nich napisane „My proletariat” itd. Takie hasła. Wjeżdżamy do tego Bytomia, dziura obok dziury a obok jeszcze jedna dziura. Ale patrzy się w górę, na każdym słupie do

oświetlenia dwie flagi, polska i czerwona. Czy szlag człowieka nie może trafić? Takie było moje wrażenie. To było latem.

Janusz Zuziak: Może to akurat było święto 22 Lipca?

Władysław Kohutnicki: Bardzo możliwe. W Polsce były na zakrętach slogany, ale w DDR również. Te dziury w zestawieniu z tymi flagami, to mi nie grało. To mnie najbardziej uderzyło. Bo gdzie tu jest logika! Wydaje się pieniądze, żeby to powiesić wszystko i to jest na nic, a tych dziur się nie łąta. Widziałem wówczas bardzo wyraźnie, że mentalność Polaków była bardzo niemiła. Bardzo niemiła. Jak się weszło do takiego sklepu, przecież to coś okropnego! I zachowanie ludzi i urządzenie tego sklepu. Czy pan sobie wyobraża, że jak kupowałem książkę to osiem osób było zaangażowanych w jej sprzedaży! Ja liczyłem to! Pierwsza dawała mi ta książkę, ale ona nie mogła kwitu wypisywać, musiała to inna robić. To była druga. Z tym kwitem musiałem iść do pani naczelnik. Po co, nie wiem, ale tam musiałem iść.

Janusz Zuziak: W księgarni?!

Władysław Kohutnicki: W księgarni! Ona podpisywała kwit. Z tym kwitem szło się do kasy, jedna przyjmowała ten kwit, a druga wydawała pieniądze. A jeszcze inna pakowała, a dawała mi do ręki jeszcze jedna! Osiem osób! Ja to liczyłem! Coś okropnego! No, ale w ten sposób nie było w Polsce bezrobotnych.

Janusz Zuziak: Rzeczywiście, aż trudno uwierzyć. Bezrobocie ukryte było, to wiadomo, ale ja muszę powiedzieć, że w księgarni z czymś takim się nie spotkałem.

Władysław Kohutnicki: To było uderzające. A te sklepy jakie były. Dziura przy wejściu, tam siedzi jedna panienka, tam siedzi druga, ale nic kupić nie można, bo w sklepie nic nie ma! Ale tej dziury nie ma kto poprawić. To było coś takiego czego ja nigdy nie mogłem zrozumieć. Logika nie grała w tym wypadku. Takie pierwsze wrażenia.

Janusz Zuziak: A czy później jeździł pan jeszcze do Polski?

Władysław Kohutnicki: Naturalnie, prawie każdego roku. Na wakacje, po to, żeby spotkać się z rodziną, żeby kraj pooglądać.

Janusz Zuziak: Czy jeżdżąc w następnych latach przyzwyczał się pan do tych dziur...

Władysław Kohutnicki: Do tej komuny, do tych stosunków, do tego wejścia do sklepu, gdzie zaraz krzyk, że musisz koszyczek wziąć. Bo tutaj na zachodzie tego nie było, tutaj w sklepie zawsze mówią „Dzień dobry”, a tam krzyczał ktoś, żeby koszyczek wziąć. To było nieprzyjemne.

Janusz Zuziak: A jak pan widzi Polskę teraz, po tych kilku latach przemian, jak się panu podoba?

Władysław Kohutnicki: Jak pan weźmie Warszawę, co pan chce? Tak, jak na zachodzie. Duża różnica w porównaniu z tym co było. Widać również biedę, ale to wszystko poza Warszawą. Powiedzmy, jak ja jadę do Wesolej samochodem, tam mieszka syn mojej siostry, jadę ulicą, przedłużeniem Ostrobramskiej. Kiedyś na jednym zakręcie zawsze była dziura i stała kałuża. Teraz jest poprawione, dziur nie ma. Normalnie, tak, jak należy. W sklepie ludzie rozmawiają przyzwoicie, nikt nie krzyczy „Tam stać!”, „Czekaj!” itd. Nie, wszyscy są uprzejmi, bardziej uprzejmi. Może nie tak, jak na zachodzie. Często, kiedy wchodzę w Polsce do sklepu to mówię do sklepowej: „Proszę się teraz uśmiechnąć”. Uśmiecha się, bo ja tak powiedziałem, jest zaskoczona.

Janusz Zuziak: Czyli mówi pan, że widoczne są te wszystkie zmiany w Polsce?

Władysław Kohutnicki: Absolutnie! Na lepsze. W Brzegu na przykład również były straszne kawałki drogi, wejścia do sklepów, wyposażenie sklepów. Teraz wszystko jest lepiej. Ja słyszę od Polaków, którzy w Polsce mieszkają, że nie wszyscy mają pieniądze. Ale nikt mnie nie przekona, że wszystko jest możliwe do osiągnięcia w ciągu dziesięciu lat. To jest niemożliwe, to jest niemożliwe. I tak przez te dziesięć lat zrobiono dużo. Na pewno nie wszystkim żyje się łatwo, to nie można powiedzieć, ale jest jakiś ład. Szczególnie te zewnętrzne rzeczy są bardzo widoczne.

Janusz Zuziak: Jadąc do Wesolej przejeżdża pan obok Rembertowa. Jeżeli będzie pan jechał następnym razem to serdecznie zapraszam do odwiedzenia Wojskowego Instytutu Historycznego, który mieści się na terenie Akademii Obrony Narodowej, właśnie w Rembertowie. Serdecznie zapraszamy, będzie nam niezwykle miło gościć pana u siebie w Instytucie.

Władysław Kohutnicki: Bardzo dziękuję.

Janusz Zuziak: Jeśli można, to chciałbym żebyśmy jeszcze wrócili do pańskiego życia w Holandii. Do okresu pańskiej służby wojskowej i życia już na emeryturze. Chodzi mi o to czy działał pan w jakichś polskich organizacjach, czy angażował się pan w życie polonijne? Jest tutaj przecież kilka polskich organizacji, że wspomnę choćby o Polskim Towarzystwie Katolickim.

Władysław Kohutnicki: Pan mówi o Polskim Towarzystwie Katolickim więc zacznijmy od tego. Otóż Polskie Towarzystwo Katolickie zostało założone w 1953 roku zdaje się. Mało się o tym słyszało, przynajmniej ja o tym mało słyszałem. Ale jest taki rok 1968, zapowiedziano, że przyjedzie tu generał Maczek. A dlaczego? Bo Związek 1

Dywizji, razem z innymi ma komplikacje. Nie tak jest, jak należy. Koła 1 Dywizji, które było założone, już nie ma. A dlaczego nie ma? Bo stosunki były takie nieprzyjemne, że się rozpadło. Nie było koła.

Janusz Zuziak: A co było tego przyczyną? Na jakim tle te stosunki uległy takiemu pogorszeniu?

Władysław Kohutnicki: Ja nie wiem. Ja miałem tylko jedno nieprzyjemne takie spotkanie, kiedy poszedłem na zebranie, na którym wybory zarządu były czy coś takiego. Nie szło to, jak u Holendrów, za bardzo demokratycznie. Poza tym straszny bałagan był, ale kiedy ja zwróciłem na to uwagę to zostałem zbesztany przez prezesa. Zabrałem wtedy czapkę i wyszedłem. Więcej tam nie poszedłem.

Ale zostawmy ten pierwszy wypadek, kiedy mnie zbesztali. Idziemy dalej. Jest taka sytuacja, że Koła 1 Dywizji nie ma, a jest Polskie Towarzystwo Katolickie. Jak się pyta na lewo, na prawo, co i tak dalej, u nich wszystko gra. Prezesem jest taki i taki pan z 1 Dywizji, były sierżant czy wachmistrz żandarmerii. On to prowadzi. Wszystko jest dobrze, ale jak jest rocznica oswobodzenia Bredy to przyjeżdża ambasador polski i oni z nim idą razem kwiaty składać. I przyjmują tego ambasadora, idą do burmistrza razem itd. Dowiedziałem się dlaczego tak robią. Okazało się, że jak jadą do Polski to nie trzeba wymieniać wszystkich pieniędzy, tylko trochę. Oni dostają wize bezpłatne i ewentualnie, jak nie mają paszportu to dostają go bezpłatnie. Paszport konsularny. Ja to słyszałem z boku. Na przykład, jak nie mają pieniędzy to mogą składać podania do konsulatu i konsulat daje im pieniądze. Jak chcą sprowadzić kogoś, to konsulat jest im pomocny itd. Przez to oni są prokonsularni, że tak powiem. Ale w ten czy inny sposób dowiedziałem się o przyjeździe generała Maczka. Poprosiłem kilku panów, m.in. z SPK, sąsiadów z Belgii z 1 Dywizji. Ja z nimi, tak, że było nas sześciu. Omawialiśmy tą sprawę, mówiliśmy też o PTK. Ja napisałem do nich list. Oni powiedzieli, że nie przyjdą. Myśmy byli niemile zaskoczeni tym, że oni nie chcą przyjść na spotkanie z Maczkiem, przez nas organizowane. Myśmy zrobili takie przyjęcie bez nich, w Bredzie.

Janusz Zuziak: Czyli ten podział funkcjonował?

Władysław Kohutnicki: Tak, funkcjonował. Wtedy po pobycie generała Maczka było ustalone, że my robimy swoje święto 1 Dywizji w Bredzie. I tak to szło wszystko. My, to znaczy Związek 1 Dywizji w Beneluksie, wtedy Holandię podciągnięto do istniejącego już zarządu, który urządzał tutaj święto oswobodzenia Bredy osobno. I zapraszaliśmy burmistrza i inne jakieś osobistości, m.in. dowódcę garnizonu itd.

Janusz Zuziak: Czy to było robione zupełnie poza środowiskiem pancerniaków osiadłych w Bredzie?

Władysław Kohutnicki: Poza tym środowiskiem zupełnie, w jakiejś kafejce a najlepiej to było w restauracji „Drożnyj”. Tam żeśmy to robili, szliśmy na cmentarz, mieliśmy mszę odprawianą przez księdza. I to trwało. Teraz się znowu pokłócili. Dlaczego to upadło? Bo któregoś roku burmistrz powiedział, że to już będzie ostatnia taka uroczystość ponieważ miasto nie ma pieniędzy. To znaczy nie tylko pieniądze, ale i lokum odpada i wszystko co się chce zrobić trzeba z własnych pieniędzy płacić. Później rzekomo, tak kiedyś słyszałem, ktoś z otoczenia burmistrza powiedział, że nie można tak postąpić, że na małą skalę trzeba robić, ale robić z miejscowym towarzystwem czyli z Polskim Towarzystwem Katolickim. PTK to są wszyscy z Dywizji, tylko, że oni się oddzielili, powiedzieli, że oni są towarzystwem katolickim.

Janusz Zuziak: Czy są poza PTK jakieś grupy żołnierzy 1 Dywizji Pancерnej, które odcinają się od tej organizacji?

Władysław Kohutnicki: Tak jest. Wszyscy ci, którzy nie mieszkają w Bredzie nie należą do PTK. Tak było powiedzmy dwa lata temu. Czy teraz w międzyczasie coś się tam zmieniło, nie wiem.

Janusz Zuziak: Kilka dni temu byłem u jednego byłego żołnierza 1 Dywizji Pancерnej w miejscowości Made, na północ od Bredy i on okazuje się też nie wiedział nic na temat obchodów święta oswobodzenia Axel organizowanego w październiku, nie wiedział nic o uroczystościach w Baarle-Nassau. Pytał mnie kto to organizuje itd. On był bardzo rozżalony na to środowisko w Bredzie, miał do nich żal o to, że urządzą uroczystości, ale nigdy nie powiadamiają ludzi mieszkających nieco z dala od Bredy.

Władysław Kohutnicki: Takie słyszałem głosy, że ono urządzą to dla siebie tylko. Burmistrz robi to tylko we własnym zakresie dla tych, którzy mieszkają na jego terenie. Ale tego, że nie zapraszają kogoś spoza Bredy to nie można im za złe brać, jak nie mają pieniędzy.

Wspomniał pan o obchodach w Axel. Tam również jest sytuacja taka niemiła. Tam także burmistrz się pokłócił z towarzystwem, które to tam zawsze robiło, ten zarząd usunięto czy sam się podał do dymisji i powstało nowe Towarzystwo Przyjaciół 1 Dywizji. Tak się to nazywa. Ono ma siedzibę w Axel i ono to urządza, zbiera wszędzie adresy. Między innymi do mnie napisali również. Z tym prezesem rozmawiałem przypadkowo teraz będąc w Warszawie. On był zaproszony na zjazd 1 Dywizji.

1 Dywizja Pancerna ma swój zarząd główny w Londynie i koła w niektórych krajach. Na terenie Belgii i Holandii jest jedno wspólne Koło Beneluks.

Janusz Zuziak: Czy Koło to organizuje jakieś własne uroczystości oswobodzenia Bredy, czy też organizuje to głównie burmistrz?

Władysław Kohutnicki: Nie organizują i ja im to właśnie wytykam. Zostawiają to burmistrzowi. Jak burmistrz zorganizuje to dobrze. Bo w naszym statucie, na naszym zebraniu ostatnim było wyraźnie powiedziane, że obowiązkiem Koła Beneluks jest organizowanie święta oswobodzenia miasta Bredy. Ale oni się teraz odsunęli, powiedzieli, że nie mają pieniędzy. Inną sprawą jest to, że trzeba rozumieć politykę burmistrza. Ci, którzy mieszkają na terenie Bredy to są ci, którzy głosują. To jest ważne. A ci, którzy przyjeżdżają nie głosują, to co go to interesuje. Tak konkretnie jest. Oni się liczą z taką grupą ludzi, Polaków, w sumie z rodzinami będzie jakieś 60 osób, to jest 60 głosów. A ci, którzy przyjeżdżają z zewnątrz i tylko trzeba im płacić, wódkę postawić czy śniadanie robić, to dla nich nie jest interesujące. I tak jest. Nie zapominajmy, że tu na zachodzie to jest wszystko wyrachowane. Patriotyzm mają dla Holandii, a dla Polski już nie bardzo.

Janusz Zuziak: Wiem od osób związanych z Muzeum gen. Maczka w Bredzie, że tutaj na terenie Holandii nie ma nawet dokładnego spisu wszystkich żyjących w tym kraju żołnierzy Maczka. Jest to zapewne rezultat rozbicia organizacyjnego, o którym pan mówił. Nawet SPK rzekomo nie posiada dokładnego wykazu polskich kombatantów.

Władysław Kohutnicki: SPK istnieje, ma siedzibę w Utrechcie, prezesem jest pan Opolski, były adiutant z 1 pułku pancernego. Prezes jest bardzo stary i od niego dużo inicjatywy nie wychodzi, ale tam jakoś gra to jeszcze, jest sekretarz, jest skarbnik, jest Koło Rotterdam. To jest SPK, to jest stowarzyszenie wszystkich kombatantów. Jak się w Holandii składa jakiś wieniec to tylko SPK się wysuwa, a 1 Dywizji wcale nie widać. Natomiast w Belgii to widać 1 Dywizję.

Janusz Zuziak: Gdyby pan mógł na koniec dokonać takiego krótkiego podsumowania pańskiego życia na ziemi holenderskiej.

Władysław Kohutnicki: Po pierwsze, najważniejsze, ja jestem bardzo zadowolony z tej sytuacji, jaka jest w Holandii, po drugie, jeżeli chodzi o nasze sprawy, to są dobrze kierowane, jeżeli o mnie chodzi to uważam, że ja dosyć i dużo zrobiłem propagandy dla polskiego wojska. W wojsku na przykład przez to, że pracowałem i byłem ceniony,

każdy powie, że Polak to dobry żołnierz. Przez to, że ja się prezentuję, jako holenderski oficer pochodzenia polskiego, to robię również swoje.

Janusz Zuziak: Jaki jest obecnie i jaki był w poprzednim okresie obraz Polski widziany oczyma Holendrów, pana znajomych czy kolegów? Jak oni przed 1989 rokiem patrzyli na Polskę, czy jest widoczna jakaś zmiana obecnie?

Władysław Kohutnicki: Sprawa i sytuacja Polski była w Holandii i jest, a przypuszczam, że będzie w przyszłości także popularna. Nie zapominajmy tej sytuacji w Polsce, kiedy była ta wojna Jaruzelskiego, kiedy ogłaszali stan wojenny. Nie zapominajmy skąd przyszła pierwsza pomoc, z Holandii właśnie. Powstała duża ilość komitetów, które pomagały Polsce, może nie tyle pieniężnie, w gotówce, ale w naturze. Sam widziałem rozmaite listy fabryk, które dawały rozmaite konserwy, ser i najważniejsze przecież to odzież. Ile szpitali oddawało pewien nie używany tutaj sprzęt medyczny. I to wszystko szło do Polski. Polska była zawsze popularna.

Janusz Zuziak: Czy zauważył pan wyraźne zmiany w stosunku do Polski wśród pańskich przyjaciół holenderskich, znajomych czy sąsiadów?

Władysław Kohutnicki: Tak, naturalnie. Tu nie ma wątpliwości. Ton nadaje absolutnie prasa. Prasa to wyciąga wszystkie sprawy. Jak Układ Warszawski upadł, Polska stawała się wolna, Polska starała się o przyjęcie do NATO, Polska została przyjęta do NATO, to wszystko było roztrąbione. Naturalnie jest także krytyka, jest krytyka. Kiedy tutaj w Holandii dyskutowano kiedyś nad wstąpieniem do NATO, ja zapisałem się do partii, która głosiła, że my wszyscy z zachodu musimy trzymać się razem. Kiedyś przyszedł na zebranie taki pan, który powiedział, że przyjmowanie Polski do NATO i płacenie za to, nie ma sensu. No to ja podziękowałem prędko za towarzystwo i ja nie jestem już członkiem. Takie rzeczy też wychodzą.

Janusz Zuziak: Czy ktoś z pana znajomych, Holendrów, bywał w Polsce?

Władysław Kohutnicki: Wielu było. Obok mnie na rogu mieszka Holender, który pracuje w Rosji, często przejeżdża przez Polskę, zatrzymuje się w Polsce, żonaty jest z Rosjanką, a mieszka często tu albo w Rosji. W prasie się czyta rozmaite ogłoszenia o wakacjach w Polsce, zachęcają do wyjazdów turystycznych do Polski. Niech pan dobrze obserwuje w Polsce ile holenderskich samochodów tam jest na drodze. Ile samochodów, gdzie się przyjeżdża, najwięcej Niemców w hotelu a drudzy są Holendrzy. Jeszcze mam taka obserwacje z Polski. Jak się idzie w Polsce do kawiarni to nie wolno powiedzieć, jak się chce być szybko obsłużonym, że się jest z Holandii albo z

Polski, nie wolno poprosić po polsku, tylko trzeba mówić po niemiecku. Wtedy dostanie się od razu.



SPIS TREŚCI

WSTĘP	1
Wywiad z Janem Bula	5
Wywiad z Kazimierzem Matejczykiem	45
Wywiad z Władysławem Kohutnickim	76



~~S/4490~~ 2.1

Cryst. 355.4